



STRÓŻNICZKA
BRAMY

MICHELLE ZINK *autorka Poróżna i Inne*

*Kenneth, Rebekah,
Andrew i Caroline
- to Wam dedykuję tę książkę.
Noszę Was zawsze w sercu.*

Rozdział 1

Nie muszę odczytywać słów przepowiedni, aby ją sobie przypomnieć, kiedy tak siedzę przy biurku w swoim pokoju. Są wyryte w moim umyśle, równie wyraźnie jak znamię, którym naznaczony jest mój nadgarstek.

Z drugiej strony, gdy dotykam dłońmi splekanej oprawy Księgi Chaosu, którą przed śmiercią mój ojciec ukrył w bibliotece, uspokajam się, czując jej trwałość. Otwieram zniszczone przez czas okładki i zatrzymuję się wzrokiem na wsuniętej do środka kartce papieru.

Przez osiem miesięcy, od momentu gdy wraz z Sonią przybyłam do Londynu, czytanie tekstu proroctwa było moim rytuałem poprzedzającym nocny spoczynek. Powracałam do niego w tej cichej godzinie, kiedy w Milthorpe Manor panuje największy spokój, bo cały dom i służba milkną, a Sonia twardo śpi w swoim pokoju na drugim końcu korytarza. Właśnie o tej porze usiłowałam rozszyfrować słowa przepowiedni, starannie przetłumaczone i spisane ręką Jamesa. Chciałam znaleźć jakąś nową wskazówkę, która pomogłaby mi odszukać brakujące strony Księgi, a przede wszystkim - drogę do odzyskania wolności.

Dziś wieczór, słysząc, jak ogień syczy w kominku, pochylam głowę nad kartką i jeszcze raz odczytuję proroctwo, które nieubłaganie wiąże mój los z losem siostry bliźniaczki, a jednocześnie stawia nas po przeciwnych stronach.

*Ludzkość przetrwała pożogę i pokój,
Aż do zesłania Strażników,
Którzy jako żony i kochanki pojęli ziemskie kobiety,
Budząc tym Jego gniew.
Dwie siostry, ukształtowane w jednym rozkołysanym oceanie,
Jedna Strażniczką, druga jest Bramą.
Jedna strzeże spokoju, druga za magię oddała umiłowanie.
Strącone z nieba Dusze błakają się
- Podczas gdy Siostry wciąż toczą bitwę,
Dopóki Bramy nie wezwą ich do powrotu*

*Lub Anioł nie przyniesie Kluczy do Czeluści.
Armia, wkraczająca przez Bramy.
Samael, Bestia, przez Anioła.
Anioł chroniony jest tylko cienkim woalem.
Cztery Znamiona, Cztery Klucze, Krąg Ognia
Zrodzone pierwszym tchnieniem Samhainu
W cieniu Mistycznego Kamiennego Węża w Aubur.
Niech Brama Anioła kołysze się bez Kluczy,
A potem tylko Siedem Plag i Niemożność Odwrotu.*

Śmierć

Głód

Krew

Ogień

Ciemność

Susza

Zniszczenie

Otwórz ramiona, o, Pani Chaosu, a spustoszenie zesłane przez Bestię

Popłynie jak rzeka,

Bo wszystko stracone, gdy Siedem Plag tutaj spadnie.

Był czas, kiedy te słowa niewiele dla mnie znaczyły. Nie były niczym więcej, jak tylko legendą spisaną w zakurzonym tomie, który przed śmiercią ojciec schował w bibliotece. Tak było, zanim na moim nadgarstku nie pojawił się nagle wizerunek węża, zanim nie poznałam Soni i Luisy, dwóch z czterech Kluczy, również napiętnowanych, choć trochę inaczej niż ja.

Tylko moje znamię ma w środku literę C. Tylko ja jestem Aniołem Chaosu, upartą Bramą, podczas gdy moja siostra jest Strażniczką. Nie winię natury za ten błąd. Miało stać się odwrotnie, lecz nastąpiły komplikacje przy naszym urodzeniu. I tak doszło do tego, że tylko ja jestem w stanie zakazać Samaelowi wstępu - na zawsze.

Albo wezwać go i doprowadzić do końca świata - przynajmniej takiego, jaki znamy.

Zamykam książkę i staram się wymazać słowa z mojej głowy. Jest zbyt późno, żeby zastanawiać się nad końcem świata i moją rolą w niedopuszczeniu do niego. Już sam ciężar tych myśli sprawia, że tęsknię za szczególnym ukojeniem, jakie daje sen. Wstaję od biurka i wsuwam się pod kołdry leżące na moim ogromnym, ozdobionym kolumnkami łożu.

Gaszę lampkę na nocnym stoliku. Teraz pokój jest oświetlony tylko błyskami ognia z

kominka, ale ta prawie niezmacona ciemność nie budzi we mnie takiego strachu jak dawniej. Teraz moje serce wypełnia się trwogą, gdy napotykam zło ukryte w miejscach pięknych i dawno poznanych.

* * *

Minęło wiele czasu, odkąd podróżowanie po Równinie myliło mi się ze zwykłymi marzeniami sennymi. Tym razem, zapadłszy w sen, nie potrafię jednak stwierdzić, czy podróżuję, czy marzę.

Znajduję się w lesie. Intuicja podpowiada mi, że to las otaczający naszą rezydencję Birchwood Manor - jedyny dom, w jakim mieszkałam, nim osiem miesięcy temu przyjechałam do Londynu. Są tacy, co twierdzą, że wszystkie drzewa wyglądają tak samo i że nie da się odróżnić jednego lasu od drugiego, ale mnie otacza krajobraz dzieciństwa, który przecież znam aż za dobrze.

Przez liście okrywające gałęzie wysoko nad moją głową przedziera się słońce. Światło jest tak niewyraźne, że może to być rano lub wieczór, czy też jakakolwiek inna pora dnia. Zaczynam się zastanawiać, po co tu jestem, bo teraz nawet w snach mam wyznaczony jakiś cel. Nagle gdzieś z tyłu ktoś mnie woła:

- Li-a... Chodź tu, Lia...

Odwracam się, ale dopiero po pewnym czasie dostrzegam w niewielkiej odległości jakąś postać między drzewami. Dziewczynka jest mała i stoi nieruchomo jak posązek. Jej złote loki połyskują w migotliwym świetle wypełniającym las. Chociaż upłynął już prawie rok, odkąd widziałam ją w Nowym Jorku, poznałabym ją wszędzie.

- Coś ci pokażę, Lia. Chodź tu szybko. - Jest to ten sam śpiewny głos, który słyszałam, kiedy wręczała mi medalion ozdobiony znakiem, jaki szpeci mój nadgarstek, znakiem, który jest ze mną zawsze i wszędzie.

Po chwili dziewczynka wyciąga rączkę i gestem wzywa mnie, bym podeszła bliżej. Jej uśmiech jest zbyt znaczący, by uznać go za przyjemny.

- Pospiesz się, Lia. Nie chciałabyś przegapić tego spotkania. - Dziewczynka okręca się na pięcie i biegnie, aż podskakują jej loki. Znika między drzewami.

Idę za nią, omijając pnie i omszałe gałęzie. Stąпам boso, ale zagłębiając się w las, nie czuję bólu kaleczonych stóp. Dziewczynka porusza się wdzięcznie i szybko jak motyl. Jej postać w białej sukience miga pomiędzy drzewami, tu i tam, jak duch. Staram się nadażyć za małą, ale koszula nocna zaplątuje mi się w ciernie i gałęzie. Staram się jakoś je odgarniać, żeby w gąszczu nie stracić dziewczynki z oczu, ale jest już za późno. Nie widzę jej.

Stoję w miejscu, rozglądając się wokół po lesie. Straciłam poczucie kierunku, kręci mi się w głowie, ogarnia mnie fala paniki, kiedy zdaję sobie sprawę, że zgubiłam się w tej masie drzew i liści. Nie dociera tu nawet słońce.

Za moment znowu dobiega mnie głos dziewczynki. Nieruchomieję, nasłuchuję. Jest tak niezapomniany jak melodia, którą zanuciła kiedyś w Nowym Jorku, uciekając przede mną w podskokach.

Podążam za dźwiękiem, a na moich przedramionach, choć są schowane w rękawach nocnej koszuli, wyskakuje gęsia skórka. Czuję, jak podnoszą mi się drobne włoski na karku. Nie potrafię jednak zawrócić. Lawirując między większymi i mniejszymi pniami, idę za głosem dziewczynki, aż nagle słyszę szum rzeki.

Ta mała stoi nad brzegiem, jestem tego pewna. Rzeczywiście, kiedy mijam ostatnią kępę drzew, dostrzegam odcinek rzeki i samą dziewczynkę. Jest na drugim brzegu - nie wyobrażam sobie, jak zdołała pokonać nurt. Nuci melodyjnie, lecz w jej piosence pobrzmiwa tak niesamowity ton, że cierpnie mi skóra. Zbliżam się do rzeki, cały czas widząc dziewczynkę na przeciwległym brzegu.

Ona natomiast chyba mnie nie dostrzega. Śpiewa sobie dalej, z dłońmi zanurzonymi w wodzie. Nie mam pojęcia, co widzi w krystalicznie czystych falach, ale wpatruje się w nie z niebywałą uwagą. Potem podnosi wzrok, nasze oczy się spotykają, a ona bynajmniej nie wygląda na zdziwioną, przypatrując mi się, kiedy tak stoję po drugiej stronie.

Obdarowując mnie uśmiechem, zdaje się wiedzieć, że będzie mnie prześladował.

- Świetnie. Cieszę się, że przyszedłeś.

- Dlaczego znów mnie nachodzisz? - kręcę głową. W ciszy lasu moje pytanie odbija się echem. - Co jeszcze masz dla mnie?

Dziewczynka ma spuszczonego wzrok, przepuszcza wodę przez palce, jakby mnie nie słyszała.

- Przepraszam - staram się być stanowcza - ale chciałabym się dowiedzieć, dlaczego wezwałś mnie tu do lasu.

- Już niedługo - odpowiada bezbarwnym głosem. - Zobaczysz. - Podnosi głowę i wpatruje się we mnie swoimi niebieskimi oczami. Kiedy znowu zaczyna mówić, mieni się na twarzy. - Czy przypuszczasz, że sen jest dla ciebie bezpiecznym schronieniem, Lia? - Jej drobna buzia drży, a głos obniża się o ton. - Czy uważasz, że jesteś tak silna, że nie można cię tknąć?

Ten głos zupełnie nie pasuje do twarzy, ale ta twarz właśnie się odmienia. Już rozumiem. Teraz nie uśmiecha się do mnie dziewczynka z lasu. O, nie. To moja siostra Alice.

Nic nie poradzę na to, że się boję. Dobrze wiem, co skrywa jej uśmiech.

- Czemu tak się dziwisz, Lia? Wiesz przecież, że zawsze cię znajdę.

Potrzebuję chwili, żeby móc przemówić spokojnie i nie okazać strachu.

- Czego chcesz, Alice? Chyba powiedziałyśmy sobie wszystko, co było do powiedzenia.

Moja siostra przekrzywia głowę, a mnie jak zawsze wydaje się, że potrafi przejrzeć moją duszę na wylot.

- Wciąż sobie powtarzam, że kiedyś zmądrzejesz, Lia, i że zdasz sobie sprawę, na jakie ryzyko narażasz nie tylko siebie, ale i swoich przyjaciół. I tych członków rodziny, którzy pozostali jeszcze przy życiu.

Chciałabym poczuć wściekłość na tę wzmiankę o rodzinie, naszej rodzime, bo czyż to nie Alice wepchnęła Henry'ego do rzeki? Czy to nie ona skazała go na śmierć w odmętach? Jednak moja siostra przemawia teraz łagodniejszym tonem, aż zastanawiam się, czy ona także oplakuje tę stratę.

Mimo wszystko postanawiam odpowiedzieć głosem zimnym jak stal.

- Niebezpieczeństwo, na jakie narażamy się teraz, jest ceną za wolność, jaką zdobędziemy potem.

- Potem? - pyta Alice. - To znaczy kiedy, Lia? Nie znalazłaś jeszcze dwóch pozostałych Kluczy, a zważając na podeszły wiek detektywa, którego wynajął ojciec, możesz nie znaleźć ich nigdy.

Jej krytyczna opinia na temat Philipa wprawia mnie w złość. To jemu ojciec powierzył poszukiwania Kluczy, zresztą Philip nadal niestrudzenie pracuje dla mnie. Oczywiście pozostałe dwa Klucze nie na wiele się zdadzą, jeżeli nie odzyskam brakujących stron Księgi Chaosu, ale już dawno temu przekonałam się, że nie ma sensu rozmyślać o zbyt odległej przyszłości. Ważne jest to, co dzieje się tu i teraz.

Alice na nowo podejmuje rozmowę, jakby czytała mi w myślach.

- A co z zagubionymi stronami? Obydwie wiemy, że najpierw musisz je znaleźć. - Spokojnym wzrokiem patrzy w wodę i zanurza w niej rękę, jak wcześniej ta mała dziewczynka. - W twojej sytuacji bez wątpienia rozsądniej byłoby zdać się na Samaela. On przynajmniej może zapewnić bezpieczeństwo tobie i twoim bliskim. Poza tym może zagwarantować ci miejsce w świecie, który nastanie, rządzony przez Niego i Dusze. W końcu do tego dojdzie, bez względu na to, czy zgodzisz się nam pomóc, czy nie.

Dotąd sądziłam, że nie mogę być już bardziej chłodna wobec swojej siostry, lecz teraz moje serce zamienia się w kamień.

- Bardziej prawdopodobne jest raczej to, że ty będziesz mieć zapewnione miejsce w nowym porządku świata. Bo przecież o to ci chodzi, prawda? Przecież po to współpracowałaś

z Duszami, nawet wtedy, gdy byliśmy małe.

Napotkawszy mój wzrok, Alice wzrusza ramionami.

- Nigdy nie udawałam, że jestem altruistką. Chciałabym tylko spełnić rolę, jaka powinna była przypaść mnie zamiast tej, która została mi narzucona w wyniku komplikacji.

- Jeżeli właśnie tego pragniesz, nie mamy już o czym mówić.

- Chyba nie jestem właściwą osobą, żeby cię przekonać - Alice znowu patrzy w wodę.

Wydaje mi się, że to już koniec szoku, koniec strachu, przynajmniej na ten czas. Ale wtedy moja siostra podnosi wzrok, a jej twarz po raz kolejny się przemienia. Przez moment widać cię buzi dziewczynki, potem znowu własne oblicze Alice, lecz tylko na krótką chwilę. Twarz się marszczy, przeobraża z sekundy na sekundę, a głowa przybiera dziwaczny kształt.

Stoję na brzegu jak skamieniała. Ogarnia mnie przerażenie, nie mogę się ruszyć.

- Nadal mi odmawiasz, Pani? - Niewątpliwie poznaję ten głos, który kiedyś dotarł do mnie za pośrednictwem Soni. Jest przerażający, nienaturalny, nie należy do żadnego znanego mi świata. - Nie masz gdzie się skryć. Żadnego azylu, żadnego spokoju - mówi Samael.

Choć siedział, teraz się podnosi. Wzrostem dwa razy przewyższa zwykłego śmiertelnika. Jego postać jest przeogromna. Czuję bardzo wyraźnie, że gdyby chciał, mógłby jednym susem stanąć na tym brzegu rzeki i rzucić mi się do gardła. Mój wzrok przyciągają potężne kruczoczarne skrzydła zwinięte za jego plecami.

Ze strachem niezaprzeczalnie splata się pragnienie. Chęć, by pokonać nurt rzeki i zanurzyć się w te miękkie, puszyste skrzydła. Mój puls, najpierw spokojny, teraz przyspiesza. Bum-bum. Bum-bum. Bum-bum. Przypominam sobie ten rytm z ostatniego spotkania z Samaelem na Równinie. Tym razem też jestem przerażona, słysząc, jak bicie mojego serca narasta i zrównuje się tempem z pulsem Samaela.

Robię krok w tył. Każda moja cząstka każe mi uciekać, ale boję się odwrócić. Cofam się tylko o dalszych kilka metrów, nie spuszczać oczu z jego twarzy, tej nieustannie przekształcającej się maski. Chwilami jest tak piękny, jak tylko może być śmiertelny człowiek, ale potem znów się zmienia i staje się tym, kim naprawdę jest.

To Samael. Bestia.

- Pani, otwórz Bramę, jak nakazuje ci obowiązek i twoje posłannictwo. Skutkiem odmowy będzie tylko cierpienie - gardłowy głos nie dobiega z drugiego brzegu rzeki, lecz odzywa się w moim umyśle, tak jakby to były moje własne słowa.

Kręcę przecząco głową. Muszę zebrać wszystkie siły, jakie posiadam, żeby odejść. Na szczęście udaje mi się - odwracam się i uciekam, mijając pierwszy rząd drzew nad brzegiem rzeki. Nie wiem, gdzie biec dalej... Ryk Samaela wstrząsa pniami, jak gdyby drzewa żyły i

przyłączały się do pościgu.

Usiłuję się bronić, rozdzielam ciosy między drapiące mnie po twarzy gałęzie. Biegnę, pragnąc wybudzić się z tego snu, przerwać tę podróż. Nie mam jednak czasu na obmyślanie jakiegokolwiek planu - potykam się o wystający z ziemi korzeń i przewracam się. Uderzenie jest tak silne, że przez chwilę przed oczami mam ciemność. Zaraz jednak podpieram się rękoma i próbuję podnieść się na nogi. Wydaje mi się, że zdążę uciec, że wstanę i pobiegnę dalej...

Naraz czuję dłoń chwytającą mnie za ramię i słyszę syczący głos:

- Otwórz Bramę.

* * *

Prostuję się na łóżku, tłumiąc krzyk. Włosy z tyłu głowy mam mokre od potu. Mój oddech się rwie, a serce wali w piersi, jakby nadal biło w duecie z jego sercem. Nawet światło wdzierające się do środka przez szparę w zasłonach nie osłabia strachu wywołanego snem. Trwam tak przez kilka minut, przekonując samą siebie, że to naprawdę tylko mi się śniło. Powtarzam to sobie tak długo, że prawie udaje mi się uwierzyć.

Ale na poduszce jest krew.

Unoszę dłoń do twarzy i dotykam palcami policzka, potem je oglądam. Wszystko rozumiem. Czerwona plama nie kłamie.

Podchodzę do toaletki, gdzie stoją słoiczki z kremami, perfumami, pudrem. Prawie nie rozpoznaję tej dziewczyny w lustrze. Włosy ma potargane, a w oczach widać ciemność i lęk.

Szrama na policzku, choć nieduża, na pewno tam jest. Patrząc na plamę krwi, przypominam sobie gałęzie bijące mnie w twarz podczas ucieczki przed Samaelem.

Niestety, nie da się zaprzeczyć, że zmuszono mnie do tej samotnej podróży. Uzgodniłyśmy z Sonią, że nierozsądnie jest podróżować w pojedynkę, nawet mimo moich rosnących umiejętności poruszania się po Równinie. Teraz nie ma znaczenia fakt, że moja siła jest nawet większa niż Soni. Jedno jest pewne: moje szybko ujawniające się zdolności są niczym w porównaniu z wolą i potęgą Dusz, a przede wszystkim z wolą i potęgą mojej siostry.

Rozdział 2

Naciągam cięciwę łuku i przytrzymuję ją, dopiero po chwili wypuszczam strzałę. Frunie w powietrzu, a potem z cichym stuknięciem ląduje w centrum tarczy ustawionej trzysta metrów ode mnie.

- Trafiłaś w sam środek! - krzyczy Sonia. - I to z takiej odległości!

Spoglądam na nią i śmieję się, przypominając sobie, że kiedyś nie umiałam trafić do celu nawet z kilkakrotnie mniejszej odległości, i to korzystając z pomocy pana Flannigana, Irlandczyka, którego zatrudniłyśmy, żeby nauczył nas podstaw łucznictwa. A teraz stoję sobie tutaj, ubrana w męskie spodnie, i strzelam z taką łatwością, jakbym w życiu nie robiła nic innego. Przez moje ciało przepływa fala adrenaliny i pewności siebie, w równych proporcjach.

Nie potrafię jednak w pełni napawać się swoją umiejętnością. Zamierzam przecież pokonać własną siostrę i to ona może być tarczą dla moich strzał - gdy przyjdzie pora wypuścić je z łuku. Po tym, co się wydarzyło, powinnam z radością przyjąć jej porażkę, jednak kiedy myślę o Alice, niełatwo mi zdobyć się na tak proste emocje. Moje serce zatruwa wręcz przedziwna mieszanka złości i smutku, goryczy i żalu.

- Ty spróbuj - uśmiecham się i staram się mówić pogodnym tonem, zachęcając Sonię, żeby teraz ona strzeliła do mocno sfatygowanej tarczy. Obie jednak wiemy, jak małe jest prawdopodobieństwo, że w ogóle w nią trafi. Zdolności Soni w zakresie komunikowania się ze zmarłymi oraz podróżowania po Równinie najwyraźniej nie przekładają się na talent do łucznictwa.

Moja przyjaciółka przewraca oczami i unosi łuk ku swojemu szczupłemu ramieniu. Jej mina budzi moją radość, bo do niedawna Sonia była jeszcze zbyt poważna na takie wygłupy.

Przygotowuje strzałę i naciąga cięciwę, a ręce drżą jej z wysiłku. Wypuszczona strzała kolebie się w powietrzu, a potem bezgłośnie opada na trawę kilka metrów od celu.

- Hmm, to chyba dość upokorzeń jak na jeden dzień, prawda? - Sonia nie czeka na moją reakcję. - Pojedziemy konno nad staw przed kolacją?

- Tak, jedźmy - odpowiadam, nie zastanawiając się ani chwili nad propozycją. Niechętnie zrezygnuję z wolności w Whitney Grove na rzecz ciasnego gorsetu i oficjalnej kolacji, które czekają mnie dziś wieczorem.

Zarzucając łuk na plecy, a strzały pakuję do kołczanu. Wychodzimy ze strzelnicy i idziemy w stronę naszych koni. Wsiadamy i zaraz ruszamy przez pola, w kierunku migotliwej, błękitnej linii horyzontu. Na grzbiecie mojego ogiera, Sargenta, spędziłam już tyle godzin, że jazda konna weszła mi w krew. Mknąc, podziwiam więc wspaniałą, niezmierzoną przestrzeń, jaka rozciąga się wszędzie wokół. W zasięgu wzroku nie ma żadnej żywej duszy, a bezludny krajobraz budzi moją wdzięczność za to, że było mi dane trafić do tak spokojnego zakątka jak Whitney Grove.

We wszystkich kierunkach rozpościerają się pola. Zapewniają mnie i Soni prywatność, kiedy jeździmy konno w męskich spodniach i ćwiczymy strzelanie z łuku - w samym Londynie takich rozrywek raczej nie uznano by za odpowiednie dla młodych kobiet. Domek w Whitney Grove jest uroczy, ale do tej pory służył nam tylko wtedy, gdy chciałyśmy się przebrać do jazdy lub wypić filiżankę herbaty, by zwalczyć późniejsze zmęczenie.

- Ścigajmy się! - woła Sonia przez ramię. Już zaczęła się ode mnie oddalać, ale nie przeszkadza mi to. Kiedy daję Soni fory podczas wyścigów, czuję, że wciąż jesteśmy na równej stopie, przynajmniej podczas tak prostej rozrywki jak ściganie się konno.

Spinam Sargenta ostrogą i pochylam się ku jego szyi, bo muskularne nogi wierzchowca właśnie zerwały się do biegu. Jego grzywa, niczym czarne płomienie, muska moją twarz. Trudno nie podziwiać błyszczącej sierści i niebywalej szybkości tego konia. Wkrótce prawie doganiam Sonię, więc ściągam lekko cugle i zostaję nieco w tyle za jej siwkim.

Sonia pozostaje na prowadzeniu, kiedy przekraczamy niewidzialną, ustaloną podczas poprzednich wyścigów linię mety. Konie zwalniają, a ona spogląda na mnie przez ramię.

- Wygrałam! Nareszcie!

Uśmiecham się, podjeżdżając klusem do miejsca, gdzie zatrzymała się nad stawem.

- No cóż, to było tylko kwestią czasu. Jeździsz już doskonale.

Sonia promienieje, kiedy zsiadamy z koni i prowadzimy je nad wodę. Piją, a my stoimy w milczeniu. Jestem zdumiona faktem, że Sonia nawet nie dostała zadyszki. Trudno sobie wyobrazić, że kiedyś bała się w ogóle wsiąść na konia, a co dopiero galopować po pagórkach, tak jak teraz mamy w zwyczaju przynajmniej trzy razy w tygodniu.

Ponieważ nasze konie ugasiły już pragnienie, prowadzimy je do wielkiego kasztanowca rosnącego niedaleko brzegu. Przywiązujemy je do pnia, a same wyciągamy się na niekoszonej trawie, opierając się na łokciach. Wełniane bryczesy, które zakładamy do jazdy, drapią mnie w uda, ale nie narzekam. Nosić je to luksus. Za kilka godzin zostanę wciśnięta w jedwabną suknię z okazji uroczystej kolacji wydanej przez Towarzystwo.

- Lia... - wiatr niesie głos Soni.

- Tak?

- Kiedy pojedziemy na wyspę Altus?

Odwracam się w jej stronę.

- Nie wiem. Pewnie kiedy ciocia Abigail uzna, że jestem gotowa do podróży i przyśle po mnie. Czemu pytasz?

Przez kilka minut jej zazwyczaj spokojna twarz jest pociemniała z niepokoju. Wiem, że Sonia myśli o tym, na jakie niebezpieczeństwo narażamy się, szukając zagubionych stron Księgi.

- Po prostu chciałabym mieć to już za sobą, i tyle. Czasami... - Sonia rozgląda się po okolicy otaczającej Whitney Grove. - Cóż, czasami wszystkie nasze przygotowania wydają mi się bez sensu. Nie jesteśmy bliższe odnalezienia tych kartek, niż byliśmy zaraz po przyjeździe do Londynu - w jej głosie pobrzmiwa niesłyszany wcześniej ton, a mnie nagle robi się żal, iż byłam tak zaprzątnięta swoimi własnymi problemami i własną stratą, że nie przyszło mi na myśl, aby porozmawiać o kłopotach, które dźwiga moja przyjaciółka.

Kieruję wzrok ku czarnej aksamitnej tasiemce obwiązanej wokół nadgarstka Soni. Medalion. *Mój* medalion. Wiem, że nosi go, bym ja była bezpieczna, a mimo to chciałabym poczuć miękkość aksamitki i chłód złotej ozdoby na swojej skórze. Mój dziwny związek z medalionem jest jednocześnie moim przekleństwem i motywem wszelkiego działania. Tak było od momentu, gdy medalion znalazł do mnie drogę.

Biorę Sonię za rękę i uśmiecham się, czując jednocześnie smutek tego uśmiechu.

- Przepraszam, że tak rzadko dziękuję ci za to, że zgodziłaś się pomóc mi nieść moje brzemię. Nie wiem, co bym zrobiła, gdyby nie twoja przyjaźń. Naprawdę.

Sonia odpowiada nieśmiałym uśmiechem cofa swoją dłoń, a potem macha nią niefrasobliwie.

- Nie bądź śmieszna, Lia! Wiesz, że dla ciebie zrobiłabym wszystko. Absolutnie wszystko.

Jej słowa są pociechą w zmartwieniu, które skrycie mnie dręczy. Wszystkiego muszę się bać, nikomu nie mogę ufać. Dlatego tak ważny jest spokój płynący z przyjaźni, która - jestem tego pewna - łączy nas na zawsze, bez względu na to, co nadejdzie.

* * *

Goście przybyli na kolację wydaną przez Towarzystwo są równie uprzejmi, jak wszędzie indziej. Różnica tkwi głębiej i jest widoczna tylko dla obecnych.

Gdy przebijamy się przez tłum, czuję, jak wszystkie dawne troski opadają ze mnie. Mimo

że przepowiednia wciąż jest tajemnicą moją i Soni, to właśnie tutaj chyba najbardziej mogę być sobą. Poza Sonią, mam znajomych tylko pośród członków Towarzystwa, dlatego zawsze będę wdzięczna ciotce Virginii za to, że napisała mi list polecający.

Ponieważ w ścisku zauważam starannie ufryzowaną siwą głowę, biorę Sonię za ramię.

- Chodź. Widzę Elspeth.

Starsza kobieta, która również nas dostrzegła, przeciska się z gracją wśród zgromadzonych i wkrótce, uśmiechnięta, stoi przed nami.

- Lia, kochanie, tak się cieszę, że przyszłaś! I ty też, droga Soniu! - Elspeth Shelton pochyla się i całuje powietrze w okolicy naszych policzków.

- Za nic nie chciałybyśmy stracić takiej uroczystości! - Bładoróżowa buzia Soni pięknie odcina się od głębokiego karminu jej sukni. Po latach spędzonych w zamknięciu u pani Millburn w Nowym Jorku, tutaj, otoczona czułą opieką innych osób, które mają podobne albo i całkiem odmienne zdolności niż ona, moja przyjaciółka rozkwitła.

- Oczywiście! - odpowiada Elspeth. - Wprost nie mogę uwierzyć, że dopiero osiem miesięcy temu stanęłyście u naszych drzwi z listem od Virginii. Teraz te spotkania straciłyby wiele uroku bez waszej obecności. Muszę natomiast przyznać, że twoja ciocia na pewno spodziewała się, iż będę was bardziej pilnować - Elspeth figlarnie mruga, a Sonia i ja śmiejemy się w głos. Elspeth z pewnością odnalazła swoje powołanie w organizowaniu imprez i spotkań Towarzystwa, a mnie i Soni pozostawia wiele swobody. - Chcę jeszcze przywitać się z innymi gośćmi, spotkamy się przy kolacji - dodaje.

Podchodzi do mężczyzny, w którym rozpoznaję sędziwego Arthura Frobishera, mimo że ów dżentelmen ostatnio usiłuje nam udowodnić, iż potrafi stać się niewidzialny. W kularowych rozmowach słyszy się, że Arthur pochodzi z dawnego rodu arcykapłanów - druidów. Nie zmienia to jednak faktu, że jest stary, a jego zaklęcia słabe, dlatego jak przez mgłę można dostrzec zarys jego siwej brody i pogniecionej marynarki, kiedy całkiem głośno rozprawia z jednym z młodszych członków Towarzystwa.

- Zdajesz sobie sprawę, że ciocia Virginia wpadłaby w szal, gdyby dowiedziała się, jak kiepsko pilnuje nas Elspeth? - żartuje stojąca obok mnie Sonia.

- Naturalnie. Ale w końcu jest rok 1891. A poza tym jak miałyby się dowiedzieć? - szczerzę zęby w uśmiechu.

- Jak ty będziesz cicho, ja też nic nie powiem! - śmieje się Sonia, składając ukłony osobom przewijającym się przez pokój. - Przywitajmy się z gośćmi, dobrze?

Rozglądam się z nadzieją, że zobaczę kogoś znajomego. Mój wzrok pada na młodego mężczyznę, który stoi przy pięknie rzeźbionej balustradzie schodów.

- Idziemy, przywitamy się z Byronem.

Przechodzimy przez pokój, a za nami, wraz z dymem z kadzidełek, snują się strzępy rozmów, wypełniając powietrze. Gdy docieramy do Byrona, w jednakowym tempie wiruje przed nim pięć jabłek. On sam stoi z zamkniętymi oczami i ramionami opuszczonymi wzdłuż ciała.

- Lia i Sonia! Dobry wieczór! - witając się, Byron nie otwiera powiek. Jabłka dalej tańczą w kółko. Już dawno temu przestałam się zastanawiać, skąd on wie, że przed nim stoimy, skoro ma zamknięte oczy, i jak to jest możliwe, że wykonuje jednocześnie jakąś salonową sztuczkę.

- Dobry wieczór - odpowiadam. - Widzę, że idzie ci coraz lepiej. - Wskazuję głową jabłka, choć on w zasadzie nie powinien widzieć tego gestu.

- Tak, ta sztuczka podoba się dzieciom i, oczywiście, pięknym paniom - Byron otwiera oczy i spogląda na Sonię, a kiedy jedno z czerwonych jabłek ląduje na jego dłoni, wręcza je mojej przyjaciółce z uroczystym ukłonem.

- Może zostać i poprosz Byrona, żeby zdradził któryś z sekretów swojego talentu, a ja pójdę przynieść nam trochę ponczu, dobrze? - Z błysku w oczach Soni wnioskuję, że lubi towarzystwo Byrona, a jego wzrok nie pozostawia wątpliwości, że odwzajemnia uczucie.

- Jesteś pewna, że dasz sobie sama radę? - Sonia uśmiecha się nieśmiało.

- Pewnie. Zaraz wracam.

Zaczynam przepychać się w stronę kryształowej wazy z ponczem ustawionej w drugim końcu salonu. Przechodzę koło fortepianu - rozbrzmiewa melodią, chociaż nikt nie siedzi przy klawiaturze, staram się więc odgadnąć, kto spośród gości przebywających w pomieszczeniu może tak grać. Tęczowe pasmo energii łączy klawisze z młodą kobietą siedzącą na sofie - to ona jest tą zdolną pianistką. Uśmiecham się w przestrzeń, zadowolona ze swojej spostrzegawczości. Towarzystwo daje mi nieograniczone możliwości rozwijania swoich umiejętności.

Kiedy docieram do wazy z ponczem, odwracam się, żeby spojrzeć na Sonię i Byrona. Tak jak się spodziewałam, są pochłonięci rozmową. Gdybym wróciła z ponczem zbyt szybko, okazałabym się kiepską przyjaciółką.

Właśnie dlatego opuszczam salon i idę za szumem głosów dobiegających z zaciemnionego pokoju w dalszej części korytarza. Drzwi są tylko przymknięte, a przez szparę zauważam grupkę osób siedzących wokół okrągłego stolika. Jennie Munn przygotowuje obecnych do udziału w seansie. Ze zrozumiałych względów budzi to moje zadowolenie - jej wrodzone zdolności zostały wyszkolone i ukształtowane przez Sonię.

Jennie prosi osoby zgromadzone przy stole, aby zamknęły oczy; a ja domykam drzwi i idę dalej w stronę niewielkiego dziedzińca na tyłach budynku. Zbliżam się do wyjścia, zastanawiając się, czy nie przydałby mi się płaszcz, kiedy dostrzegam swoje odbicie w zwierciadle na ścianie. Nie jestem próżna. Próżność była niezmiennie przywilejem Alice. Ja w zasadzie zawsze uważałam, że jest ładniejsza ode mnie, mimo że jako bliźniaczki wyglądamy identycznie. Teraz jednak, widząc swoją twarz odbitą w lustrze, z trudem sama siebie poznaję.

Twarz, którą niegdyś oceniałam jako zbyt okrągłą, dziecinną, ma teraz klasycznie zarysowane kości policzkowe. Zielone oczy; odziedziczone po mamie, które zawsze były najładniejszym elementem tej twarzy; teraz patrzą z taką siłą i intensywnością, jak nigdy przedtem; jak gdyby całe cierpienie, wszystkie zwycięstwa i nowa pewność siebie, jakie przypadły mi w ostatnich miesiącach, kryły się w ich głębi niczym cenne kamienie. Nawet włosy; przedtem po prostu kasztanowe, teraz lśnią, zdrowe i wypielęgnowane. Ogarnia mnie skryta, niespodziewana fala zadowolenia. Wychodzę w zimny wieczór na dziedziniec za siedzibą Towarzystwa - solidnym budynkiem z brązowego piaskowca.

Tak jak się spodziewałam, nikogo tam nie ma. To moje ulubione miejsce odosobnienia, gdzie chronię się zawsze podczas uroczystych kolacji. Do tej pory nie przyzwyczaiałam się do ciężkiego zapachu kadzidła, używanego przez co bardziej zapalone wróżbitki i spirytystów, i teraz staram się jak najgłębiej oddychać chłodnym nocnym powietrzem. Tlen przedziera się przez moje płuca i wreszcie przestaje mi się kręcić w głowie. Ruszam brukowaną ścieżką wijącą się poprzez ogród pielęgnowany przez samą Elspeth. Nigdy nie miałam smykałki do sadzenia roślin i prac ogrodowych, potrafię jednak rozpoznać niektóre zioła i krzewy; bo Elspeth bardzo starała się podszkolić mnie w tej dziedzinie.

- Nie boisz się chodzić sama po ciemku? - z mroku ogrodu dochodzi mnie czyjś niski głos.

Podnoszę głowę, ale nie mogę dostrzec ani twarzy; ani sylwetki mężczyzny; do którego należy.

- Nie. A ty?

Odpowiedzią jest śmiech, który jak grzane wino przepływa przez całe moje ciało.

- Nic a nic. Prawdę mówiąc, czasem myślę, że bardziej powinienem bać się światła.

Zmuszam się do powrotu do rzeczywistości i otwieram ręce w ciemność.

- Jeśli to prawda, dlaczego się chowasz? Tu nie ma światła.

- Masz rację. - Staje w miejscu, gdzie dociera słaby blask półksiężyca. Jego czarne włosy błyszczą nawet w tak nikłej poświacie. - Czemu wychodzisz do zimnego, pustego ogrodu,

kiedy możesz być w środku, bawić się w gronie przyjaciół?

Dziwnie jest natrafić na kogoś nieznanego na spotkaniu Towarzystwa, dlatego podejrzliwie mrużę oczy.

- A czemu cię to martwi? I co sprowadza cię na spotkanie Towarzystwa?

Pytam, gdyż wszyscy członkowie zazdrośnie chronią sekrety naszego zgromadzenia. Dla niewtajemniczonych jesteśmy zwykłym, prywatnym klubem, ale polowania na czarownice z dawnej przeszłości mogłyby okazać się niczym w porównaniu ze skandalem, jaki zapewne wybuchnąłby, gdyby istnienie naszego Towarzystwa stało się powszechnie znanym faktem. Mimo że w "oświeconym" społeczeństwie niektóre jednostki szukają porad zwykłych spirytystów, siła, jaką dysponują niektórzy z naszego grona, mogłaby przerazić nawet osoby o najbardziej otwartym umyśle.

Mężczyzna podchodzi bliżej. Nie widzę, jaki kolor mają jego oczy, wiem jednak, że przypatruje mi się wyteżonym wzrokiem. Obserwuje moją twarz, potem szyję, a w końcu zatrzymuje się na piersiach, które ledwie rysują się pod moją suknią zieloną jak mech. Wtedy szybko spogląda w bok i robi krok w tył, wcześniej jednak czuję, jak otacza nas ciepło naszych ciał, a w powietrzu słyszę przyspieszony oddech - nie wiem, czy mój, czy jego.

- To Arthur mnie zaprosił - z głosu mężczyzny zniknęła serdeczność, mówi teraz jak poprawnie zachowujący się dżentelmen. - Arthur Frobisher. Nasze rodziny przyjaźnią się od lat.

- Rozumiem. - W nocnej ciszy słysząc moje westchnienie. Nie wiem, czego się spodziewałam i dlaczego ze strachu wstrzymałam oddech. Pewnie trudno jest komuś zaufać, kiedy się wie, że Dusze potrafią przybrać dowolny kształt, a najłatwiej postać człowieka.

- Lia! - z tarasu rozlega się głos Soni.

- Jestem w ogrodzie - odpowiadam, odrywając wzrok od oczu mężczyzny.

Słyszę na tarasie stukot jej pantofelków, który narasta, w miarę jak Sonia zbliża się do mnie brukowaną ścieżką.

- Co ty tu robisz? Myślałam, że przyniesiesz nam poncz...

Wykonuję nieokreślony ruch ręką w kierunku budynku.

- W środku jest gorąco, pełno dymu. Chciałam trochę odetchnąć.

- Elspeth kazała już podawać kolację.

Wzrok Soni przenosi się na mojego towarzysza. Ja też patrzę na niego i zastanawiam się, czy uważa mnie za źle wychowaną.

- To moja przyjaciółka, Sonia Sorrensen. Soniu, poznaj... Przepraszam, nawet nie wiem,

jak masz na imię.

Mężczyzna chwilę się waha, a potem składa grzeczny, niezbyt głęboki ukłon.

- Dimitri. Dimitri Markov. Bardzo mi miło.

Nawet w ciemności ogrodu trudno nie dostrzec, jak zaintrygowana jest Sonia.

- Cieszę się, że mogę pana poznać, panie Markov, ale musimy zasiąść do kolacji, nim Elspeth przyśle po nas ekspedycję poszukiwawczą! - Wyraźnie widać, że zamiast iść na kolację, wolałaby zostać w ogrodzie i ustalić, co tu porabiam z ciemnowłosym, przystojnym nieznajomym.

- No cóż, nie możemy do tego dopuścić, prawda? - w odpowiedzi mężczyzny dał się usłyszeć uśmiech. Dimitri wskazuje głową na siedzibę Towarzystwa. - Panie przodem.

Podążam za Sonią, krok za mną idzie Dimitri. Świadoma jego spojrzenia, czuję przyjemny dreszcz, jednocześnie starając się przegonić pokusę niewierności wobec Jamesa i, szczerze mówiąc, próbując stłumić swoją całkiem silną nieufność.

Rozdział 3

Tego samego wieczoru, o późniejszej porze, siedzę przy biurku w swoim pokoju, miętosząc w palcach kopertę z kolejnym listem od Jamesa.

Nie ma sensu dłużej zwlekać z przeczytaniem go. Nawet teraz wiem, że zwłoka niczego nie ułatwi. Nie będzie nagłego przyływu sił, który pomógłby mi uporać się z cierpieniem - bo ono na pewno nadejdzie, jak zawsze gdy odczytuję jego listy. Nieotwieranie koperty to nie jest rozwiązanie. James zasługuje na to, żeby go wysłuchać. Jestem mu winna przynajmniej tyle.

Biorę srebrny nożyk do otwierania listów i jednym ruchem przesuwam go pod skrzydełkiem koperty. Szybko wyciągam kartkę, żeby nie zdążyła zmienić zdania.

3 czerwca 1891 r.

Lia, najdroższa!

Dzisiaj spacerowałem nad rzeką; naszą rzeką, i myślałem o Tobie, przypominałem sobie Twoje włosy, błyszczące w słońcu, miękki zarys Twojego policzka, kiedy przechylasz głowę, Twój uśmiech, gdy przekomarzasz się ze mną. Takie wspomnienia to nic nowego. Myślę o Tobie codziennie. Kiedy wyjechałaś, najpierw próbowałem wyobrazić sobie, jak wielka tajemnica mogła Cię zmusić do tego, żebyś mnie opuściła. Nie udało mi się, ponieważ ja sam nie mam żadnego sekretu, żadnej obawy, żadnych planów, którymi nie chciałbym podzielić się z Tobą. I chyba zawsze uważałem, że Twoje odczucia są takie same.

Wydaje mi się, że nareszcie pogodziłem się z Twoim wyjazdem... choć wyjazd to mało powiedziane. Ty porzuciłaś mnie bez słowa i nawet moje liczne listy nie wywołują żadnej odpowiedzi, nie mam żadnej nadziei.

Chciałbym móc Ci powiedzieć, że nadal wierzę w Ciebie i naszą wspólną przyszłość. I może rzeczywiście jeszcze wierzę. Ale teraz mogę zrobić tylko jedno - pozostać sam ze swoim życiem i swoją stratą, bez Ciebie. Można więc stwierdzić, że obydwójce będziemy żyli tak, jak musimy.

Gdyby nasze drogi ponownie się spotkały, gdybyś zechciała kiedyś wrócić do mnie, może

będę jeszcze czekał przy naszym głazie nad rzeką. Może któregoś dnia podniosę wzrok i zobaczę, że stoisz w cieniu wielkiego dębu, pod którym kryliśmy się tak często, wykradłszy się z domu.

Cokolwiek się zdarzy, moje serce zawsze należy do Ciebie, Lia.

Mam nadzieję, że myślisz o mnie dobrze.

James

Nie jestem zdziwiona. Ani trochę. Zostawiłam Jamesa. Mój jedyny list do niego, napisany w przeddzień wyjazdu z Sonią do Londynu, nie zawierał żadnych odpowiedzi, żadnych wyjaśnień. Była w nim tylko deklaracja miłości i niejasna obietnica powrotu. Muszą się wydawać Jamesowi całkiem puste, zważając na to, że nie odpisuję na jego listy. Nie mogę winić go za to, co teraz czuje.

Moje myśli wędrują teraz swoją znaną, ukochaną drogą. Wyobrażam sobie, jak mówię Jamesowi wszystko, jak zwierzam mu się, robię to, czego nie umiałam, nim wyjechałam z Nowego Jorku. Jak mnie wspiera, gdy ja staram się doprowadzić przepowiednię do zakończenia, które wreszcie pozwoliłoby nam zaplanować wspólną przyszłość.

Szybko jednak uświadamiam sobie, jak płonne są moje marzenia. Dotychczas prorocstwo powodowało, że ludzie, których kochałam, tracili życie, a w pewnym sensie ja straciłam również swoje. Nie zniosłabym śmierci jakiegokolwiek kolejnej osoby, a co dopiero Jamesa. To nieuczciwe mieć nadzieję, że będzie na mnie czekał, skoro nie mogę mu nawet podać powodu, dla którego wyjechałam.

Przykra dla mnie prawda jest taka, że James wykazuje się mądrością, podczas gdy ja wyłącznie naiwnością. Moje serce kurczy się na myśl, którą odpycham od siebie, której unikałam, do której nie chciałam zanadto się zbliżyć.

Ale ona mimo wszystko istnieje.

Wstaję i niosę list w stronę dogasającego kominka. Sądzę, że uda mi się wrzucić go w ogień bez wahania. Że nie będę zastanawiać się nad przyszłością, która jest nieprzewidywalna, dopóki nie położę kresu przepowiedni.

Jednak to nie takie proste. Moja ręka zatrzymuje się z własnej woli gdzieś w połowie drogi i coraz bardziej rozgrzewa w ciepłe kominka. Wmawiam sobie, że list to tylko papier i atrament, że James prawdopodobnie będzie na mnie czekał, kiedy wszystko się skończy: Ale list to także zwiastun pamięci, którego nie mogę przyjąć. Gdybym zachowała go w

nienaruszonym stanie, czytałabym go w kółko. A to odrywałoby mnie od moich obowiązków.

Ta świadomość sprawia, że w końcu wypuszczam go z dłoni - tak jakby już się palił, jakby parzył mnie samym swoim istnieniem. Patrzę jak brzegi wyginają się pod wpływem ciepła. Przez chwilę jest tak, jakbym nigdy nie przeczytała słów starannie wykaligrafowanych ręką Jamesa. Jakby list wcale nie przyszedł.

Po zniszczeniu kartki cała się trzęsę. Krzyżuję ramiona na piersiach, próbując opanować drżenie. Mówię sobie, że bez względu na to, czy chcę tego, czy nie, przeszłość mnie już nie wiąże. Henry nie żyje. James już nie jest mój. Alice i ja, za sprawą przeznaczenia, staniemy naprzeciwko siebie jako nieprzyjaciółki.

Teraz są już tylko Klucze, proroctwo i ja.

* * *

Nie wiem, jak długo spałam, ale ogień w kominku już dogasa. Rozglądam się po ciemnym pokoju, szukając źródła dźwięku, który mnie zbudził, i dostrzegam postać zwiewną jak duch, ubraną na biało, znikającą za drzwiami.

Spuszczam nogi z łóżka. Stopami nie dosięgam podłogi, ale zsuwam się dalej na krawędź i zeskakuję. Gruby dywan jest miękki, ale chłodny w dotyku. Przechodzę przez pokój i wydostaję się na korytarz.

Jest tam cicho i pusto, drzwi do innych pomieszczeń są pozamykane. Czekam, aż oczy przyzwyczają się do słabego światła kinkietów. Kiedy potrafię już odróżnić zarysy mebli stojących w korytarzu, ruszam w stronę schodów.

Po stopniach schodzi postać ubrana w białą koszulę nocną. To pewnie jedna ze służących bo tylko one wstają w nocy: Starając się nie pobudzić innych, cicho wołam:

- Przepraszam, czy wszystko w porządku?

Postać zatrzymuje się u podnóża schodów i odwraca w moją stronę. Dopiero wtedy mój głośny oddech rozlega się na cały uśpiony dom.

Mam przed sobą twarz mojej siostry.

Tak jak podczas ostatniego spotkania w lesie, uśmiecha się kącikami ust. To uśmiech delikatny, a zarazem przebiegły. Taki, na jaki stać tylko Alice.

- Alice? - imię, które wypowiadam, jest jednocześnie znajome i przerażające. Znajome, bo to moja siostra. Przerażające, ponieważ wiem, że to nie jest naprawdę ona, z krwi i kości. Nawet w tym mdłym świetle widzę, że ta postać nie jest materialnym ciałem.

To niemożliwe, myślę. Niemożliwe. Żaden śmiertelnik podróżujący po Równinie nie może przekroczyć bariery świata fizycznego. Nie w widzialnej formie. Jest to jedna z najstarszych

zasad wydanych przez Obserwatorów, zwanych dawniej Radą Aniołów, którzy nadal ustalają i wprowadzają w życie reguły rządzące przepowiednią, dotyczące Równiny i Pozaświatów.

Wciąż jeszcze zastanawiam się nad zakazanym sposobem pojawienia się Alice, kiedy zarys jej sylwetki zaczyna się zacierać, postać staje się niemal przezroczysta. Nim zniknie, oczy mojej siostry robią się zimne jak stal. Potem sylwetka rozplywa się.

Chwytam się balustrady, muszę się o nią oprzeć. Kiedy zdaję sobie sprawę, jakie znaczenie ma takie ukazanie się Alice, zaczyna mi się kręcić w głowie. Oczywiście moja siostra jest potężną Zaklinaczką i była niesamowicie doświadczona już przed moim wyjazdem do Londynu, ale teraz, skoro potrafiła przenieść się na tak wielką odległość, najwyraźniej stała się jeszcze silniejsza pod moją nieobecność.

Naturalnie nie powinnam była się łudzić, że będzie inaczej. Mimo że nadal jestem w trakcie odkrywania swoich własnych umiejętności, staję się silniejsza z każdym dniem. Z tego wynika jasny wniosek, że z Alice dzieje się podobnie.

Jednak złamanie zasady ustalonej przez Obserwatorów może oznaczać tylko jedno: przez te wszystkie miesiące Dusze nie dawały o sobie znać, ponieważ na ich rzecz pracowała moja siostra.

Zatem cokolwiek zaplanowały, cokolwiek nadejdzie, z pewnością wynagrodzi im ten długi okres milczenia.

Rozdział 4

- Dzień dobry, Lia - do pokoju wchodzi Philip, wnosząc ze sobą atmosferę spokoju i kompetencji. Drobne zmarszczki wokół jego oczu są dziś bardziej widoczne niż wcześniej, zastanawiam się więc, czy jest zmęczony podróżą, czy po prostu pogłębiły się dlatego, że z racji wieku mógłby być moim ojcem.

- Dzień dobry. Usiądź, proszę. - Sadowię się na sofie, podczas gdy Philip zajmuje miejsce na krześle obok kominka. - Jak udała się podróż?

Obydwoje zdajemy sobie sprawę, że pewnych słów i sformułowań należy unikać - tych, które mogłyby komuś ułatwić zrozumienie naszej rozmowy.

- To nie była ona - Philip kręci głową. - Tym razem miałem wielką nadzieję, ale... - Sfrustrowany, opiera się o krzesło, a w jego rysach jeszcze wyraźniej widać zmęczenie. - Czasami jestem załamany, bo wydaje mi się, że nigdy nie odnajdziemy tej dziewczyny, nie mówiąc już o ostatniej, całkiem nieznannej osobie.

Staram się opanować rozczarowanie. Philip Randall pracował bez wytchnienia, aby odszukać dwa brakujące Klucze. To, że do tej pory nam się nie udało, nie jest jego winą. Mamy tylko jedno nazwisko, Helene Castilla, pochodzące z listy, którą Henry tak zawzięcie chronił. Nie zdołaliśmy znaleźć osoby o takim nazwisku, która jednocześnie miałaby znamię. Przepowiednia wymaga, aby pozostałe dwa Klucze, podobnie jak Sonia i Luisa, nosiły znak Jorgumanda i były urodzone w okolicach Avebury, dnia 1 listopada 1874 roku o północy. Od narodzin Kluczy upłynęło już prawie siedemnaście lat, a wyrykowość zapisów metrykalnych z angielskiej prowincji nie pomaga nam w poszukiwaniach.

Teraz Helene może przebywać w każdym miejscu na świecie. Może nawet nie żyć.

Próbuję rozładować frustrację Philipa.

- Może powinniśmy się cieszyć. Gdyby to było łatwe, ktoś na przykład znalazłby ją przed nami. - Philip przesyła mi coś w rodzaju wdzięcznego uśmiechu, więc mówię dalej. - Nie wątpię, że wkrótce znowu natrafimy na jakiś trop.

- Wskazówek nigdy nie brakuje - odpowiada z westchnieniem Philip - ale kiedy docieram wreszcie do jakiejś osoby, najczęściej ma tylko jakieś zwykłe znamię od urodzenia albo bliznę po dawnym urazie czy oparzeniu. Myślę, że przez najbliższe parę dni przejrzę najnowsze raporty i ustalę kolejność działań, nim zaplanuję następną podróż. - Wzrok Philipa

wędruje ku drzwiom biblioteki, a potem wraca do mnie. - A ty? Dowiedziałaś się czegoś nowego?

To pytanie gwałtownie psuje mi nastrój. Nie wierzę, że ciotka Abigail i Obserwatorzy nie wiedzą o tym, iż Alice podróżuje po Równinie, używając swojej mocy w zakazany sposób. Wezwanie mnie na wyspę Altus jest tylko kwestią czasu, bo muszę znaleźć zaginione stronice, zanim moja siostra jeszcze bardziej urośnie w siłę.

- Nie - kręcę przecząco głową - ale niedługo być może ja też wyruszę w podróż.

- W podróż? - Philip prostuje się na krześle. - Chyba nie zamierzasz podróżować sama?

- Niestety tak. To znaczy najprawdopodobniej pojedzie ze mną Sonia i, jak przypuszczam, przewodnik, którego potrzebujemy. Poza tym będę sama.

- Ale... dokąd się wybierasz? I na jak długo?

Nieczęsto się zdarza, że muszę ukryć jakąś ważną sprawę przed Philipem. Ponieważ zatrudnił go niegdyś mój ojciec, Philip wie o prorocztwie znacznie więcej niż jakakolwiek inna postronna osoba poza Edmundem, naszym starym woźnicą. Mimo wszystko nie wyjawiałam mu niektórych szczegółów, w trosce o swoje i jego bezpieczeństwo. Dusze są pełne zła, a ich siła jest niezmiernie. Łatwo sobie wyobrazić, że mogłyby znaleźć sposób, by wykorzystać Philipa do własnych celów.

- Powiedzmy, że podróż jest konieczna ze względu na prorocztwo i że wrócę tak szybko, jak to możliwe - uśmiecham się.

Philip wstaje i przeczesuje włosy palcami w geście chłopięcej irytacji. Zachowując się tak, wydaje się młodszy. Nagle uświadamiam sobie, że być może ma mniej lat, niż sądziłam, pomimo swojej pewności siebie i mądrości, dzięki którym tak bardzo przypomina mi ojca.

- Wystarczająco niebezpiecznie jest nawet w Londynie. Nie możesz planować samotnej podróży. - Stoi wyprostowany. - Będę ci towarzyszył.

Przechodzę przez pokój i chwytam go za rękę. Nie wydaje mi się to nieodpowiednie, choć ostatni raz dotykałam w ten sposób Jamesa, nim opuściłam Nowy Jork.

- Drogi Philipie, to niemożliwe. Nie wiem, jak długo mnie nie będzie, a rozsądniej byłoby, gdybyś ty kontynuował poszukiwania, podczas gdy ja zajmę się trochę innymi sprawami. Poza tym ta część przepowiedni dotyczy tylko mnie, choć bardzo chciałabym, żeby ktoś mógł wyręczyć mnie w tym obowiązku. - Przysuwam się i pod wpływem niespodziewanego impulsu gładzę go wierzchem dłoni po chłodnym policzku. Oczy mu ciemnieją i zdaję sobie sprawę, że jego zaskoczenie jest jeszcze większe niż moje. - To bardzo uprzejmie z twojej strony, że oferujesz mi swoje towarzystwo. Wiem, że pojechałbyś ze mną, gdybym się zgodziła.

Philip unosi dłoń do swojego policzka, a ja mam dziwne wrażenie, że wszystko, co powiedziałam po tym, jak go przelotnie dotknęłam, zostało zapomniane. Do tematu mojej podróży już nie wracamy.

* * *

Tamtej nocy podróżuję do Birchwood. Nie przenoszę się w Pozaświaty celowo, ale też nie chcę ich opuścić. Wiem, że Sonia martwiłaby się, gdyby wiedziała, że podróżuję bez opieki, jednak poczynania mojej siostry intrygują mnie tak bardzo, że nie potrafię zrezygnować z okazji, żeby przyjrzeć się z bliska, choć na krótko, jej życiu.

A może też życiu Jamesa, cichutko szepcze moje serce.

Niebo jest czarne jak atrament, nieskończone. Tylko sierp księżycy oświetla wysokie, kołyszące się trawy na łąkach. W liściach drzew szemrze wiatr i zdaję sobie sprawę, że to cisza przed burzą, ten moment, po którym nastąpią rozdzierające grzmoty i błyskawice. Teraz jednak panuje jeszcze niesamowity spokój.

Birchwood Manor, nasz dom, stoi ciemny, wspaniały, jego kamienne ściany wznoszą się w nocne niebo jak mury twierdzy. Wygląda na opuszczony, nawet z daleka. Nie świecą latarnie przy głównym wejściu, które kiedyś zapalano, a witrażowe okna biblioteki też są ciemne, choć dawniej lampa na biurku ojca była zostawiana na całą noc.

Staję przy drzwiach, boso na lodowatym marmurze. Zimno wnika w moją skórę, ale nie zwracam na nie uwagi - zupełnie tak, jak podczas podróży po Równinie. Wielki szafkowy zegar w holu cicho tyka, kiedy wspinam się po schodach. Nawet teraz instynktownie omijam czwarty, skrzypiący stopień.

Jak wiele rzeczy w moim życiu, również i ten budynek stał się dziwny. Rozpoznaję jego wygląd zewnętrzny - stare, wytarte dywany, rzeźbioną, mahoniową balustradę schodów - ale nastąpiła zmiana w jego chemii, jakby nie składał się już z dawnych zasobów kamienia, drewna i zaprawy, które tworzyły dom znany mi od urodzenia.

Oczywiście Ciemny Pokój nadal znajduje się na końcu korytarza. Nie dziwi mnie, że drzwi są otwarte, a z wnętrza sączy się światło.

Podchodzę bliżej. Nie boję się, czuję tylko ciekawość, bo rzadko zdarza się, aby podróż po Równinie nie wiązała się z jakimś celem. Drzwi do mojego pokoju, mojej starej sypialni, są zamknięte, tak jak do pokoi Henry'ego i ojca. Przypuszczam więc, że Alice aktualnie zajmuje się tylko sobą. Zakładam, że łatwiej jej zapomnieć, że kiedyś byliśmy rodziną, jeśli wszystkie drzwi pozostają zamknięte.

Dla mnie to nie ma znaczenia, bo ja wbrew pozorom nie przechowuję urywków

przeszłości i wspomnień o rodzinie w ciemnych zakamarkach serca, lecz w jego najjaśniejszych oświetlonych przestrzeniach gdzie widzę je wciąż dokładnie.

Nie wahając się, wchodzę do Ciemnego Pokoju. Dzięki regułom ustalonym przez Obserwatorów pozostaję niewidzialna. Takie jest prawo - nawet gdybym chciała, żeby stało się inaczej, nawet gdybym pragnęła osiąść tę zakazaną władzę, po którą najwyraźniej sięgnęła Alice.

Ale nie chcę.

Po wejściu do środka natychmiast spostrzegam swoją siostrę. Siedzi na podłodze w środku kręgu - tego samego, w którym obserwowałam ją wiele miesięcy wcześniej - wyciętego w drewnianej podłodze i zakrytego starym dywanem. Moje doświadczenie jako Zaklinaczki jest na pewno o wiele mniejsze niż mojej siostry, rozumiem jednak, że krąg ma wzmocnić zaklęcie i chronić osobę znajdującą się wewnątrz. Teraz na ten widok drzę, nawet w zmienionej postaci pozwalającej na podróżowanie.

Alice ma na sobie jedną ze swoich białych nocnych koszul. Dobrze je pamiętam, miałyśmy ich całe stosy, były zdobione lawendowymi tasiemkami. Ja już takich nie noszę - należą do innego świata. Widzę natomiast, że Alice ich używa. Wygląda nadzwyczaj niewinnie i ślicznie, kiedy tak siedzi na piętach z zamkniętymi oczami, a jej wargi poruszają się w prawie bezgłośnym szepcie.

Przez jakiś czas stoję w miejscu, przypatrując się, jak na jej twarzy gra na przemian światło i cień, bo krąg otoczony jest zapalonymi świecami. Jej ciche, niezrozumiałe słowa wprawiają mnie w dziwne odrętwienie. Staję się senna, choć przecież tak naprawdę śpię w Londynie, w swojej fizycznej postaci. Jednak kiedy Alice otwiera oczy, moja czujność powraca.

Spodziewam się, że będzie patrzeć w pustkę pokoju, lecz jej wzrok, omijając cienie, spokojnie wędruje w moją stronę, jak gdyby wiedziała, że stoję w pobliżu. Nagle nawet bez słów rozumiem, że tak rzeczywiście jest, a Alice odzywa się, zaglądając w głąb mojej duszy, tak, jak tylko ona potrafi.

- Widzę cię - mówi. - Widzę cię, Lia. Wiem, że tu jesteś.

* * *

Ubieram się niespiesznie, rozmyślając nad swoją dziwną wycieczką do Birchwood. Światło dnia wcale nie rozjaśnia tajemnic tego zdarzenia. Rozum podpowiada mi, że pewnie wcale nie podróżowałam, że miałam zwykły sen, bo między dwoma wymiarami, astralną Równiną i światem materialnym, rozciąga się zasłona, której nie można uchylić. Człowiek

może dostrzec, co dzieje się na Równinie, kiedy się tam znajduje, tak jak znajdowałam się ja - Alice natomiast przebywała w świecie fizycznym.

Mimo wszystko jestem przekonana, że *podróżowałam* i że Alice *wiedziała*, iż weszłam do pokoju. Sama to powiedziała. Zastanawiam się, co mam zrobić z tą nową wiedzą, kiedy ktoś puka do drzwi.

Nie dziwi mnie, że Sonia wchodzi do środka, nie czekając na zaproszenie, chociaż ja nie jestem całkowicie ubrana. Już dawno temu zrezygnowaliśmy z tych ceregieli.

- Dzień dobry - wita mnie. - Dobrze spałaś?

- Niezupełnie. - Przesuwam w szafie strojne aksamitne sukienki i sięgam po coś prostszego, z brzoskwiniowego jedwabiu.

- To znaczy? - pyta Sonia, marszcząc brwi. - Coś się stało?

Z westchnieniem, przykładając do siebie sukienkę, siadam na łóżku obok przyjaciółki. Nieoczekiwanie ogarnia mnie poczucie winy. Ostatnio nie byłam z Sonią szczerą. Nie opowiedziałam jej o mojej przerażającej wyprawie nad rzekę tej nocy, kiedy widziałam Samaela i obudziłam się ze szramą na policzku. Nie zdradziłam jej również, że innej nocy na schodach Milthorpe Manor ujrzałam Alice.

Tymczasem nasza przyjaźń nie toleruje tajemnic.

- Byłam w nocy w Birchwood - zaczynam szybko, żeby się nie rozmyślić.

Mimo wszystko nie spodziewałam się, że aż tak się rozgniewa - rumieniec zalał jej policzki.

- Nie wolno ci podróżować po Równinie beze mnie, Lia! Wiesz o tym! To niebezpieczne!
- syczy.

Oczywiście ma rację. Miałyśmy w zwyczaju poruszać się po Równinie we dwie, i to tylko wtedy, gdy Sonia uczyła mnie jak najlepszemu wykorzystywaniu moich umiejętności. Robiliśmy tak dla mojego własnego dobra, bo zawsze istnieje niebezpieczeństwo, że Dusze zatrzymają mnie tak długo, aż przerwie się astralna nić wiążąca duszę z ciałem. Gdyby tak się stało, spełniłyby się moje najgorsze obawy - przez całą wieczność musiałabym błąkać się w lodowatej Pustce.

Mimo to tak wielkie poruszenie Soni zaskakuje mnie, a widząc jej troskę o mnie, czuję ogromny przyływ serdeczności. Kładę dłoń na jej ramieniu.

- Nie poszłam tam z własnej woli. Zostałam... wezwana.

- Przez Alice? - Sonia unosi brwi i zmartwiona marszczy czoło.

- Tak... Chyba tak... Nie wiem! Ale widziałam ją w Birchwood i myślę, że ona widziała mnie.

Sądząc po minie, Sonia niewątpliwie jest w szoku.

- Jak to: widziała cię? Nie może cię zobaczyć, kiedy przebywa w fizycznym świecie, a ty jesteś na Równinie. Złamałaby zasady! - Sonia waha się, spoglądając na mnie z nieodgadnionym wyrazem twarzy. - Chyba że to ty korzystałaś z zakazanej mocy...

- Nie bądź śmieszna! Oczywiście, że nie. Chociaż jestem Zaklinaczką, nie mam pojęcia, jak zgromadzić taką moc, i chyba nie chcę wiedzieć!

Wstaję i wkładam sukienkę przez głowę. Ześlizguje się w dół, po mojej halce i pończochach. Kiedy wreszcie wyłaniam się z masy pastelowego jedwabiu, napotykam wzrok Soni, więc dodaję:

- Nie wydaje mi się, żeby Alice przejmowała się tym, co ustalają Obserwatorzy, i pewnie właśnie tego należało się spodziewać.

- Co masz na myśli?

- Widziałam ją jeszcze raz - wzdygam. - Tutaj, w Milthorpe Manor. Zbudziłam się kiedyś w środku nocy i zobaczyłam jakąś postać na schodach. Myślałam, że to Ruth czy inna pokojówka, ale kiedy ją zawołałam, odwróciła się i... wyglądała jak Alice.

- Co to znaczy: "wyglądała jak Alice"?

- Widziałam ją bardzo niewyraźnie. Dlatego wiem, że nie była to postać materialna. Ale to była ona - kiwam głową, z każdą chwilą nabierając pewności - jestem o tym przekonana.

Sonia wstaje i podchodzi do okna wychodzącego na ulicę. Przez długi czas milczy. Kiedy wreszcie się odzywa, w jej głosie słychać podziw i grozę.

- A więc widzi nas. I pewnie może nas słyszeć.

Potwierdzam skinieniem głowy, choć Sonia stoi odwrócona plecami.

- Tak przypuszczam.

- Jakie to ma znaczenie dla nas? - Moja przyjaciółka staje przodem do mnie. - I dla znalezienia brakujących kart Księgi?

- Żadna z Sióstr z własnej woli nie zdradziłaby Alice, gdzie znajdują się te strony. Lecz skoro ona obserwuje nasze poczynania, może dotrzeć do stronic przed nami, a potem albo wykorzystać je do własnych celów, albo przynajmniej ukryć je przed nami.

- Ale przecież ona nie może się tu dostać, nie w fizycznej postaci! I nie na tak długo, żeby cały czas nas śledzić! Musiałyby przyplłynąć statkiem do Londynu i osobiście podążać naszym tropem, a to wymaga czasu.

- O ile ktoś nie uczyni tego za nią.

- Więc co możemy zrobić, Lia? - Sonia patrzy mi w oczy. - Jak powstrzymamy ją przed odszukaniem stron, jeżeli kontroluje nas z takiej odległości?

Wzruszam ramionami. Odpowiedź jest prosta, nietrudno ją znaleźć.

- Musimy być pierwsze.

Mam nadzieję, że Sonia nie zdaje sobie sprawy, iż te słowa są silniejsze niż moja wiara. Świadomość, że wkrótce może dojść do konfrontacji z Alice, wywołuje we mnie głęboki niepokój, tym bardziej że moja siostra jest gotowa do starcia i chciałaby puścić tryby prorocstwa w ruch. Mam złe przeczucia. W obliczu siły, jaką dysponuje Alice, moje własne przygotowania wydają się po prostu żałosne.

A przecież to wszystko, co mam.

Rozdział 5

Siedzimy z Sonią na niewielkim patio znajdującym się na tyłach Milthorpe Manor. Otoczenie rezydencji nie jest tak rozległe jak w Birchwood, ani tak spokojne, jednak bujna zieleń krzewów i piękne kwiaty pozwalają się tu schronić przed zgiełkiem i brudem Londynu. Siedzimy na identycznych krzesłach, mrużąc oczy od słońca.

- Przynieść parasol? - pyta Sonia dla przyzwoitości. Mówi jednak tak ospałym głosem, że od razu wiadomo, iż zupełnie nie dba o to, czy będziemy mieć ochronę przed promieniami.

Nie otwieram oczu.

- Raczej nie. W Anglii tak rzadko można cieszyć się słońcem. Dlatego nie mam zamiaru zasłaniać się przed nim.

Krzesło stojące obok poskrzypuje. Wiem, że Sonia obróciła się, żeby na mnie spojrzeć. Gdy zaczyna mówić, w jej głosie słychać przekorę i wesołość.

- W taki dzień porcelanowe panienki z Londynu na pewno uciekają do cienia.

- Cóż, tym gorzej dla nich - podnoszę głowę, zasłaniając oczy ręką. - Tak się cieszę, że nie jestem jedną z nich.

- Ja też! - Wiatr niesie śmiech Soni poprzez ogród.

Nagle odwracamy się w stronę domu, bo dochodzą stamtąd podniesione głosy. Wydaje się, że to jakaś sprzeczka, ale nigdy nie słyszałam, żeby tutejsza służba się kłóciła.

- Cóż tam się... - Sonia nie kończy zdania, bo naraz słychać tupot zbliżających się kroków, a głosy stają się coraz bardziej donośne. Wstajemy z miejsc i, przestraszone, patrzymy na siebie, bo dobiegają nas strzępki rozmowy.

- Niedorzeczne! Nie musi pani...

- Na litość boską, bardzo proszę...

Pierwsza wyłania się zza węgła młoda kobieta, tuż za nią podąża Ruth.

- Przepraszam, panienko, starałam się wytłumaczyć jej, że...

- A ja starałam się wyjaśnić, że nie ma potrzeby, żeby nas anonsować jak obcych!

- Luisa?

To bez wątpienia ona: orli nos, bujne, kasztanowe włosy, pełne, czerwone usta. Ja jednak wciąż nie mogę uwierzyć, że stoi przede mną moja przyjaciółka.

Luisa nie ma czasu na odpowiedź, gdyż za jej plecami natychmiast pojawiają się kolejne

dwie postacie. Jestem tak zaskoczona, że nie mogę wydusić słowa.

Na szczęście Sonia nie traci głowy.

- Ciocia Virginia! L. Edmund?

Przez chwilę stoję nieruchomo, pragnąc upewnić się, czy to jawa, czy sen, który przytrafił się podczas popołudniowej drzemki. Edmund uśmiecha się. Jest to wprawdzie cień tego uśmiechu, który zawsze miał na podorędziu, gdy jeszcze żył Henry, ale wystarcza, żebym otrząsnęła się ze zdumienia.

Wtedy ja i Sonia rzucamy się na nich, piszcząc z radości.

* * *

Po entuzjastycznym powitaniu ciotka Virginia i Luisa zasiadają wraz ze mną i Sonią w salonie, gdzie raczymy się herbatą i ciasteczkami, a tymczasem Edmund zajmuje się bagażami. Ciasteczka tutejszej kucharki mają złą sławę, parę osób już połamało sobie na nich zęby. Z trwogą przyglądam się więc, jak ciotka Virginia próbuje ugryźć twardy jak kamień herbatnik.

- Niezbyt miękkie, prawda? - pytam.

Ciotka żuje przez dłuższą chwilę, a potem niemal słyszę, jak połknięty suchy kawałek ciastka przeciska się przez jej gardło.

- Troszkę twarde - przyznaje.

Luisa też się częstuje. Wiem, że nie da się jej powstrzymać, nawet gdybym gorąco przestrzegała. Dopiero przekonawszy się na własnej skórze, Luisa jest w stanie powściągnąć swój apetyt.

Z głośnym chrupnięciem wbija zęby w herbatnik, ale już po sekundzie wypluwa odgryziony kawałek do chusteczki.

- Troszkę? O mało nie wyłamałam zęba! Kto popełnił tę kulinarną zbrodnię?

Sonia śmieje się w kułak, a mój chichot wypełnia cały pokój, nie udaje mi się go opanować.

- Ciii... Upiekła je oczywiście kucharka. Ale nic nie mów, dobrze? Inaczej złamiesz jej serce...

- Może lepiej jej serce niż nasze zęby? - Luisa prostuje się na krześle.

Staram się popatrzeć na nią z dezaprobatą, ale oczywiście nic z tego nie wychodzi.

- Tak za wami tęskniłam! Kiedy przyjechaliście?

- Statek zawinął dopiero dziś rano - Luisa odstawia filiżankę z delikatnym stuknięciem. - Nareszcie! Prawie całą drogę miałam chorobę morską.

Przypominam sobie trudny rejs, który odbyliśmy z Sonią z Nowego Jorku do Londynu. Nie cierpię aż tak bardzo w podróży jak Luisa, a jednak nie była to przyjemna żegluga.

- Wyszłybyśmy po was do portu, gdybyśmy wiedziały, że przyjeżdżacie - mówi Sonia.

- To była dosyć... nagła decyzja - ciotka Virginia waży słowa.

- Czemu tak? - pyta Sonia. - Luisa miała przyjechać dopiero za parę miesięcy, a tu... - przerywa, bo nie chce być niegrzeczna.

- Tak, wiem - ciotka stawia filiżankę na spodku. - Zdaję sobie sprawę, że *mnie* nie spodziewałyście się na pewno. A przynajmniej nie tak prędko.

W jej wzroku kryje się coś, co sprawia, że trzęsę się z nerwów.

- Więc *dłaczego* przyjechałaś, ciociu? Naturalnie cieszę się, że cię widzę. Tyle że...

- Rozumiem - kiwa głową ciotka. - Powiedziałam ci, że moim obowiązkiem jest pozostać z Alice i pilnować jej bezpieczeństwa, mimo że odmówiła przyjęcia roli Strażniczki... - urywa, rozglądając się po pokoju. Mam wrażenie, że nie przebywa z nami w Londynie, tylko nadal w Birchwood i widzi coś dziwnego i niepokojącego. Kiedy znowu zabiera głos, przemawia szeptem, jakby mówiła wyłącznie do siebie. - Muszę przyznać, że bez względu na to, co się stało, mam wyrzuty sumienia, ponieważ zostawiłam ją samą.

Sonia, siedząca w fotelu przy kominku, rzuca mi długie spojrzenie, a ja czekam w pustej przestrzeni milczenia. Nie odczuwam potrzeby, żeby natychmiast usłyszeć, co ciotka ma mi do powiedzenia. Ona napotyka mój wzrok i kontynuuje, odrywając się od przeszłości.

- Alice stała się... dziwna. Tak, wiem, że od dawna trudno ją zrozumieć - dodaje, widząc, że spoglądam z niedowierzaniem. Słowo "dziwna" w niewielkim stopniu oddaje zachowanie mojej siostry w minionym roku. - Lecz odkąd wyjechałaś, cóż... jej postępowanie naprawdę mnie przeraża.

Do niedawna byłam w dużej mierze chroniona przed działaniami Alice i dlatego trudno mi wyrzec się pewnej naiwności, oderwanej od prawdy. Jednocześnie doświadczenie nauczyło mnie, że kluczem do pokonania wroga jest wiedza na jego temat. Nawet jeśli tym wrogiem jest własna siostra.

- Co masz na myśli, Virginio?

Ciotka spogląda najpierw na Sonię, potem na mnie i zniża głos, jakby bała się, że ktoś może ją podsłuchać.

- Ćwiczy umiejętności Zaklinaczki nieraz przez całą noc. W dawnym pokoju waszej mamy.

W Ciemnym Pokoju.

- Przywołuje straszne istoty. Używa zakazanych zaklęć. I co najgorsze, staje się coraz

silniejsza, bardziej niż mogę sobie wyobrazić.

- Czy Obserwatorzy nie mogą ukarać jej za stosowanie zakazanej magii? W ogóle za korzystanie z magii w materialnym świecie? Sama tak mówiłaś! - w moim głosie pojawia się historyczny ton.

- Obserwatorzy stanowią prawo jedynie w Pozaświatach, a wymierzona kara może być tylko ograniczeniem przywilejów tam obowiązujących. Alice już została ukarana zakazem wstępu. Wiem, Lia, że trudno ci to zgłębić, ale ona jest bardzo ostrożna i ma wielką moc. Podróżuje w Pozaświatach, bo potrafi ukryć się przed Obserwatorami, tak jak ty podróżujesz, unikając spotkania z Duszami. - Ciotka Virginia wzrusza ramionami. - Jej nieposłuszeństwo jest bezprecedensowe. Obserwatorzy nie mogą już bardziej ukarać kogoś, kto zamieszkuje ziemski świat. W przeciwnym razie musieliby przekraczać granice, których nie wolno przejść.

- Skoro Obserwatorzy zabronili Alice wstępu w Pozaświaty, powinna mieć się na baczności! - pełna wątpliwości, kręcąc głową. Jestem tak sfrustrowana, że prawie wypluwam te słowa.

- Chyba że... - zaczyna Sonia.

- Chyba że co? - Strach skręca mi wnętrzności, jakbym miała zaraz zwymiotować.

- Chyba że po prostu nie dba o to - kończy Luisa, siedząca na sofie obok ciotki. - Jej nie zależy, Lia. Nie obchodzi jej to, co zrobią czy powiedzą Obserwatorzy. Ma w nosie ich zasady i kary, nie chce ich pozwolenia. Nie potrzebuje ich zgody na to, co zechce uczynić. Ma już wystarczającą moc.

Przez pewien czas siedzimy, w milczeniu, popijając herbatę, a każda z nas rozmyśla o silnej, nieposkromionej Alice. Ciszę przerywa ciotka, lecz zaczyna mówić o czymś innym.

- Jest jeszcze jeden powód naszego przyjazdu, Lia, mimo że te, które podałam, są wystarczająco ważne.

- Jaki to powód? O co chodzi? - Nie potrafię sobie wyobrazić, co mogłoby zmusić ciotkę do podjęcia naglej decyzji wyjazdu za ocean.

Ciotka wzdycha, odstawiając filiżankę na delikatny spodeczek.

- Chodzi o ciotkę Abigail. Jest bardzo chora i prosi, żebyś natychmiast przybyła na wyspę Altus.

- I tak planowałam, że niedługo tam wyruszę. Takie miałam... przeczucie. - Kontynuuję bez dalszych wyjaśnień: - Nie zdawałam sobie jednak sprawy, że ciotka Abigail jest chora. Wyzdrowieje?

- Nie wiem, Lia - Virginia patrzy smutnym wzrokiem. - Jest bardzo stara. Zarządzała

wyspą przez wiele lat. Może po prostu nadszedł jej czas. Tak czy owak, musisz jechać, zwłaszcza ze względu na to, co ostatnio wyczynia Alice. Brakujące stronice powierzono ciotce Abigail. Tylko ona wie, gdzie zostały ukryte. Gdyby zmarła, nie wyjawiając, gdzie je schowano...

Nie musi kończyć.

- Rozumiem. Jak odnajdę drogę?

- Edmund cię poprowadzi - odpowiada ciotka. - Ruszacie za kilka dni.

- Za kilka dni! - woła zdumiona Sonia. - Jak możemy tak szybko przygotować się do takiej podróży?

- Cóż, ja nie... - na twarzy ciotki maluje się zaskoczenie. - Abigail prosiła, żeby to Lia do niej przyjechała.

Sonia wyciąga rękę, żeby ciotka Virginia mogła dostrzec medalion na jej przegubie.

- Pilnuję medalionu. Przez ostatnie osiem miesięcy Lia miała we mnie powiernicę. Z całym szacunkiem, nie zamierzam tu siedzieć, kiedy Lia ma stanąć twarzą w twarz z niebezpieczeństwem. Ona potrzebuje teraz jak najwięcej sojuszników, a nikt nie jest jej bardziej oddany niż ja.

- To chyba za dużo powiedziane! - oburza się Luisa. - Mimo że zostałam w Nowym Jorku, podczas gdy wy przyjechałyście tutaj, proroctwo dotyczy mnie tak samo jak ciebie, Soniu.

Patrzę niepewnie na ciotkę.

- Sonia i Luisa to dwa z czterech Kluczy. Jeżeli im nie możemy wyjawić, gdzie leży Altus, to komu możemy ufać? Poza tym wołałabym jechać w towarzystwie. Ciotka Abigail na pewno nie miałyby mi tego za złe.

Ciotka Virginia wzdycha i po kolei przygląda się mnie, Soni i Luisie.

- Zgoda. Doskonale wiem, że nie ma sensu spierać się o to. - Pociera czoło, a po oczach widać, że jest zmęczona. - Muszę przyznać, że podróż dała mi się we znaki. Posiedźmy w cieple przy kominku i porozmawiajmy o bardziej przyziemnych sprawach, dobrze?

Kiwam głową, a Luisa w lot zmienia temat, zadając mnie i Soni pytania dotyczące naszego pobytu w Londynie. Następną godzinę spędzamy więc na pogaduszkach, a ciotka przysłuchuje się jednym uchem. Kiedy widzę, jak wbija wzrok w płomienie, ogarnia mnie poczucie winy. Wcześniejsza rozmowa o Alice i przepowiedni sprawia, że wszelkie konwersacje o skandalach towarzyskich i modnych czy niemodnych strojach wydają się banalne i bezsensowne.

Jednak nie możemy codziennie, w każdej minucie żyć przepowiednią. Omawianie innych

spraw przypomina nam, że istnieje jeszcze zwyczajny świat, w którym kiedyś, być może, będzie dane nam żyć. O ile uśmiechnie się do nas szczęście, wielkie szczęście.

* * *

- Chyba nadeszła pora, żebyś powiedział mi wszystko, co wiesz - mój głos odbija się echem od podłogi powozowni.

Przy wątłym świetle latarni Edmund czyści powóz. Po chwili podnosi wzrok, patrzy mi w oczy i przytakuje.

Skoro Edmund wie na tyle dużo, żeby być naszym przewodnikiem w drodze na wyspę Altus, jego rola w życiu moim i moich bliskich musi znacznie wykraczać poza obowiązki służącego czy nawet przyjaciela rodziny.

- Może panienka usiądzie? - wskazuje mi krzesło stojące pod ścianą.

Kiwam głową, przechodzę przez pomieszczenie i siadam. Edmund jednak nie zajmuje miejsca obok. Podchodzi do stojącego nieco dalej warsztatu, bierze jakieś metalowe narzędzie i zaczyna wycierać je szmatą. Nie wiem, czy jest to praca, którą musi wykonać, czy po prostu chce zająć czymś ręce, jednak gryzę się w język i nie zadaję mu tych wszystkich pytań, jakie kłębią się w mojej głowie. Dobrze znam Edmunda. Podejmie rozmowę, kiedy będzie gotowy.

Początkowo mówi niskim, spokojnym głosem, jakby opowiadał mi bajkę.

- Od początku wiedziałem, że Thomas, ojciec panienki, nie jest zwyczajnym człowiekiem. Miał swoje tajemnice, a choć wśród ludzi jego pokroju dalekie podróże nie były czymś niespotykanym, on nigdy nie zdradzał celu swoich częstych wyjazdów.

- Ale przecież ty też z nim podróżowałaś. - Ojciec nierzadko zabierał Edmunda ze sobą, pozostawiając nas pod opieką ciotki Virginii, nieraz na długie miesiące, kiedy wyruszał do z rzadka wspominanych, nieznanych miejsc.

- Tak było potem - przytakuje Edmund. - Ale najpierw byłem po prostu jednym ze służby. Woziłem pana Thomasa, doglądałem robotników pracujących w posiadłości i pilnowałem, żeby co bardziej odpowiedzialne prace przy utrzymaniu domu przydzielać właściwym osobom. Dopiero później, kiedy matka panienki tak się... *zmieniła*, ojciec zdradził mi treść proroctwa.

Przypominam sobie list matki i opis jej stanu, nieomal obłądu, wywołanego przez Dusze.

- Czy wtedy wyjawiał ci wszystko?

- Chyba nie miał innego wyjścia - potwierdza Edmund. - Był to zbyt wielki ciężar do uniesienia przez jedną osobę. Nawet Virginia, której opiece powierzył najbliższe swemu sercu dzieci - ciebie, panienko, twoją siostrę i brata - nie znała wszystkich tajemnic związanych z

Księgą i jego podróżami. Gdyby się komuś nie zwierzył z całej reszty, pewnie by oszalał.

- Jaka jest więc ta cała reszta? - Wyobrażam sobie samotność ojca, jego pragnienie zachowania sekretu i denerwuję się, widząc, że Edmund się waha. - Edmundzie, mój ojciec nie żyje. To ja muszę doprowadzić przepowiednię do końca. Myślę, że ojciec chciałby, żebyś mi wszystko wyjawiał, zgodzisz się chyba ze mną?

- Kiedy twój ojciec zatrudnił Philipa, żeby odszukał Klucze - zaczyna Edmund z ciężkim westchnieniem - uznał, że jego osobistym zadaniem jest jechać i sprawdzić wskazane przez Philipa przypadki. Thomas wolał mieć pewność, że niczego nie zaniedbał, więc spotykał się z każdą osobą, która mogła być Kluczem, aby potwierdzić przypuszczenie Philipa lub mu zaprzeczyć. Stwierdziwszy, że znamię jest autentyczne, tak jak w przypadku panny Sorrensen i panny Torelli, stwarzał warunki ich przyjazdu do Nowego Jorku.

Myślę o Soni i jej smutnym życiu, o tym, że została wysłana do pani Millburn, gdyż rodzice nie rozumieli, jak nadzwyczajne umiejętności posiada ich córka. Myślę też o Luisie, którą zapisano do szkoły Wycliffe, mimo że pierwotnie planowano, iż będzie się uczyć w Anglii.

Tymczasem Edmund kontynuuje.

- W tamtym okresie Dusze dręczyły go wizjami twojej matki. Chciał mieć pewność, że zagwarantuje ci wszelką możliwą pomoc, gdy nie będzie już w stanie wspierać cię osobiście.

- Dlatego jeździłeś z nim na poszukiwanie Kluczy - stwierdzam, nie pytam.

Edmund przytakuje, patrząc w dół na swoje dłonie.

- Wiedziałaś o Henrym? Wiedziałaś, że to on chował przed Alice listę z nazwiskami Kluczy?

- Nie. Twój ojciec nie powiedział mi, gdzie ukryta jest lista. Zawsze myślałem, że w Księżce. Gdybym wiedział... - podnosi udręczony wzrok. - Gdybym wiedział, że to Henry ją ma, lepiej bym go pilnował.

Siedzimy w ciszy powozowni, każde z nas zamknięte w klatce własnych wspomnień. Wreszcie wstaję i kładę mu rękę na ramieniu.

- To nie była twoja wina, Edmundzie.

Tylko moja, myślę. Nie zdołałam go uratować.

Ruszam w stronę drzwi.

W połowie drogi coś sobie przypominam. Coś, czego jeszcze nie umiem nazwać.

Obracam się i wołam do Edmunda, który właśnie usiadł na krześle i wtulił głowę w ramiona:

- Edmundzie!

- Słucham - podnosi wzrok.

- Nawet jeśli mój ojciec wszystko ci wyjawiał, jak to możliwe, że zaprowadzisz nas aż na Altus? Jej położenie to wielka tajemnica. Skąd znasz drogę?

Edmund wzrusza ramionami.

- Byłem tam wiele razy z twoim ojcem.

Nie sądziłam, że coś jeszcze może mnie zaskoczyć. A jednak.

- Ale... po co ojciec miałby jeździć na Altus? - uśmiecham się cierpko. - Przecież nie był jedną z sióstr...

Edmund kręci głową i patrzy mi prosto w oczy.

- Nie. Był jednym z obserwatorów.

Rozdział 6

- Wszystko zapakowane, gotowe do drogi. - Z kapeluszem w ręku Edmund stoi przy koniach zaprzężonych do powozu.

Minął dopiero tydzień, odkąd on, ciotka Virginia i Luisa przyjechali z Nowego Jorku, a zdaje się, jakby upłynął rok. Wyprawa na Altus to nie krótka wycieczka. W takiej podróży potrzebne są konie, zapasy i pomocnicy. Kiedy po raz pierwszy omawialiśmy szczegóły wyjazdu, uważałam, że nie da się zorganizować go tak szybko, ale wszystko jakoś się poukładało. Podczas naszej nieobecności Philip ma nadal szukać Kluczy, choć nie bardzo podoba mu się perspektywa mojej samotnej podróży, tylko z Edmundem w charakterze ochrony.

Wciąż kręci mi się w głowie na myśl, że mój ojciec był jednym z Obserwatorów, nie ma jednak czasu na dalsze wyjaśnienia. Wygląda to, że nie wiedziałam bardzo wielu rzeczy o własnych rodzicach. Może podróż na Altus pozwoli mi dowiedzieć się czegoś więcej, a nie tylko odnaleźć brakujące strony Księgi.

Schodząc po schodach prowadzących do głównego wejścia Milthorpe Manor, zauważam, że czeka na nas tylko jeden powóz i zastanawiam się, co się stało z innymi rzeczami, które przygotowaliśmy przez cały tydzień.

- Edmundzie, gdzie reszta? Miały być przecież dodatkowe konie i zapasy!

- Owszem - spokojnie potwierdza Edmund. - Ale nie ma potrzeby, żebyśmy zwracali na siebie uwagę, wyjeżdżając z miasta. Wszystko jest zorganizowane, resztę dostaniemy w odpowiednim czasie. - Z kieszeni spodni wyciąga zegarek. - A skoro mowa o czasie, pora ruszać.

Patrzę na Luisę, która pilnuje, by zapakowano jej ostatnie bagaże, i z trudem tłumię śmiech. Ani Sonia, ani ja nie miałyśmy problemu z zabraniem tylko najpotrzebniejszych rzeczy, jak sugerował Edmund. Luisa jednak, w przeciwieństwie do nas, nie szykowała się do tego wyjazdu przez prawie rok. Teraz przygląda się, jak Edmund ładuje jedną z jej waliz, a w myślach - prawie to słyszę - na pewno odczytuje sobie całą listę spakowanych kapeluszy i rękawiczek, które i tak nieprędko włoży.

Żartobliwie przewracam oczami, a potem kieruję swoją uwagę ku Soni, która przyciszonym głosem rozmawia z ciotką Virginią. Stoją przy schodach wiodących do domu.

Podchodzi do mnie Luisa i razem przyłączamy się do pozostałej dwójki. Stojąc w grupce, zastanawiamy się, jak zacząć to trudne pożegnanie, bo przecież dopiero co witałyśmy się. Jak zawsze, ciotka Virginia robi wszystko, żeby ułatwić nam zadanie.

- Do zobaczenia, dziewczęta. Jedźcie. - Pochyliła się i całuje Luisę w policzek, a potem odsuwa się, żeby zajrzeć jej w oczy. - Dobrze mi się z tobą podróżowało, kochana, aż z Nowego Jorku. Będzie mi brakować twojego temperamentu. Pamiętaj tylko, że trzeba go poskromić, gdyby tak nakazywały wymogi bezpieczeństwa albo rozsądku, dobrze?

Luisa kiwa głową i żegna ciotkę krótkim uściskiem, po czym odwraca się i wsiada do powozu.

Sonia nie czeka na gest ciotki, tylko sama podchodzi i bierze ją za rękę.

- Szkoda, że wyjeżdżam. W zasadzie nie zdążyłyśmy odnowić znajomości!

- Nic na to nie poradzimy - ciotka smutno się uśmiecha. - Przepowiednia nie może czekać. - Rzuca spojrzenie na Edmunda, który znowu spogląda na zegarek. - Edmund chyba też nie!

- To prawda! - chichocze Sonia. - Masz rację, ciociu Virginio, widzenia!

Sonia, która nie dorastała w rodzinnym domu, tylko pod opieką pani Millburn, ma problemy z okazywaniem uczuć innym osobom poza mną. Nie obejmuje ciotki, tylko patrzy jej w oczy z uśmiechem, a potem odchodzi.

Wtedy zostajemy tylko we dwie. Wszyscy, którzy byli obecni w moim życiu, już odeszli, dlatego na myśl o pożegnaniu z ciotką ściska mnie w gardle. Z trudem przetykam ślinę, żeby coś powiedzieć.

- Szkoda, że nie jedziesz z nami, ciociu. Nigdy nie czuję się tak bezpieczna, jak w twojej obecności. - Nim wypowiedziałam to zdanie, nie zdawałam sobie z tego sprawy.

- Mój czas już minął, a twój dopiero nadchodzi - odpowiada ciotka z wątlym, pełnym żalu uśmiechem. - Odkąd wyjechałaś z Nowego Jorku, zyskałaś nową moc - jesteś prawdziwą Siostrą. Nadeszła pora, kochanie, żebyś zajęła należne ci miejsce. Będę czekać na dalszy ciąg tej historii.

Biorę ją w ramiona i ogarnia mnie zdumienie, że jest aż tak drobna i krucha. Przez chwilę nie mogę znaleźć słów, ponieważ przez moje serce szybko przepływają rozmaite silne emocje. Odsuwam się i staram uspokoić, spoglądając ciotce w oczy.

- Dziękuję ci, ciociu.

Jeszcze raz mnie ściska, nim odejdę.

- Bądź dzielna, dziecko, bo wiem, że potrafisz.

Wsiadam do powozu, a Edmund wdrapuje się na siedzenie woźnicy. Sadowię się koło

Soni, a Luisa zajęła miejsce naprzeciwko. Wystawiam głowę przez okienko i patrzę w stronę kozła.

- Ruszajmy; Edmundzie!

Edmund jest człowiekiem czynu, więc nie dziwi mnie, że nie odpowiada, tylko popuszcza cugle. Powóz zaczyna się toczyć i tak, w zupełnej ciszy, ruszamy w drogę.

* * *

Przez pewien czas jedziemy wzdłuż Tamizy. Siedząc w mrocznym wnętrzu, prawie nie rozmawiamy. Z zainteresowaniem patrzymy na łodzie na rzece, na inne mijające nas powozy, na przechodzących ludzi, ale potem ruch stopniowo ustaje. Po chwili nie pozostaje nic do oglądania poza wodą z jednej strony i równiną z drugiej. Za nią rozciągają się wzgórza. Kołysanie pojazdu i spokojna okolica działają na nas usypiająco. Oparta o aksamitny zagłówek, zapadam w przerywaną drzemkę, a później w głęboki sen.

Budzę się zaniepokojona nagłym hamowaniem, otwieram oczy. Spałam z głową na ramieniu Soni. Szare cienie, które wcześniej pełzały tylko po kątach naszego powozu, teraz wydłużyły się, pociemniały, jakby ożyły; jakby czegoś od nas chciały. Staram się otrząsnąć z tych myśli, zwłaszcza że z zewnątrz dobiegają podniesione głosy.

Unoszę głowę i widzę, że Luisa jest tak przytomna, jakbyśmy dopiero odjechały z Milthorpe Manor. Przygląda się mnie i Soni z uczuciem, które mimowolnie odbieram jako złość.

- O co chodzi? - pytam.

- Nie mam pojęcia - Luisa wzrusza ramionami odwraca wzrok.

Nie pytałam jednak o hałasy na zewnątrz, tylko o jej dziwne zachowanie. Wzdycham i myślę, że jest rozdrażniona, bo jechała z Londynu w zasadzie tylko w swoim towarzystwie.

- Sprawdź. - Odsuwam zasłonkę i dostrzegam Edmunda, który stoi przy kępie drzew nieco oddalonej od powozu. Rozmawia z trzema mężczyznami, którzy składają mu pełen szacunku ukłon, jakoś niepasujący do ich prostych twarzy i ubioru. Jednocześnie wskazują głowami jakieś miejsce, do którego mój wzrok nie dociera. Kiedy ich spojrzenia powracają do Edmunda, on podaje im rękę na pożegnanie. Mężczyźni odchodzą i tracę ich z oczu.

Opieram się o zagłówek, zasłonka opada na szybę. Ustaliliśmy, że podczas podróży na Altus nie będziemy się afiszować ze względu na bezpieczeństwo moje oraz Soni i Luisy, dwóch Kluczy.

Na zewnątrz słychać oddalający się, monotony tętent końskich kopyt. Po chwili ciszy Edmund otwiera drzwiczki powozu. Wychodzę na słońce i bez zdziwienia zauważam pięć

innych koni oraz pakunki z zapasami. Jednak zaskakuje mnie fakt, że do stadka dołączono nasze wierzchowce z Whitney Grove.

- Sargent! - podbiegam do karego, na którym odbyłam tyle przejażdżek. Obejmuję go za szyję i całuję miękką grzywę, podczas gdy koń wtula chrapy w moje włosy. Ze śmiechem zwracam się do Edmunda: - Jak ci się udało ściągnąć go tutaj?

- Panna Sorrensen opowiadała mi o waszym... domku za miastem - wzrusza ramionami. - Stwierdziła, że łatwiej byłoby jechać na znajomym koniu.

Rzucam pełne wdzięczności spojrzenie w stronę Soni, która, szczęśliwa, głaszcze swojego wierzchowca.

Tymczasem Edmund ściąga torbę z dachu powozu.

- Musimy jak najszybciej oddalić się stąd. Nierozsądnie byłoby długo stać na drodze. - Wręcza mi pakunek. - Przypuszczam jednak, że wcześniej wolałyby się panienki przebrać.

* * *

Niełatwo jest namówić Luisę, żeby założyła bryczesy. Choć świetnie jeździ konno, nie było jej ze mną i Sonią w Londynie, kiedy zaczęłyśmy nasze przejażdżki w męskich strojach. Kłóci się z nami chyba ze dwadzieścia minut, ale w końcu ustępuje. Sonia i ja, już przebrane, czekamy na zewnątrz powozu, a ze środka wyraźnie dobiega gderanie Luisy. Staramy się więc nie patrzeć na siebie, żeby nie wybuchnąć nieopanowanym śmiechem.

Wreszcie wyłania się Luisa, sztywno wyprostowana, poprawiając szelki podtrzymujące spodnie. Mija nas dumna, z zadartym nosem, idąc w stronę gotowych do drogi wierzchowców. Sonia chrząka, wiem, że stara się zdławić chichot. Edmund podaje nam lejce koni, które poprzez lasy mają nas wieść w stronę Altus. Zdążył już przytroczyć juki, w których znajdują się nasze zapasy. Pozostaje tylko ruszyć przed siebie.

Jednak nie od razu wsiadam na Sargenta. Żywność, wodę i koce możemy oczywiście przetransportować na końskich grzbietach, lecz jest pewna rzecz, którą muszę mieć przy sobie. Otwieram torbę przywieszoną u boku karosza i szukam w środku swojego łuku oraz kołczanu, w którym trzymam strzały i sztylet matki. To za pomocą tego ostrza Alice zdołała odwrócić zaklęcie, którym mama ochroniła mój pokój, ale nie przeszkadza mi to - sztylet daje mi poczucie bezpieczeństwa. Należał przecież do matki, nim przywłaszczyła go sobie Alice.

A teraz jest mój.

Co do łuku, nie wiem, czy będę zmuszona go użyć, ale nie po to tak długo ćwiczyłam strzelanie w Whitney Grove, żeby teraz troską o nasze bezpieczeństwo obarczać wyłącznie Edmunda. Zarzucam więc broń na ramię, a kołczan mocuję do pleców tak, żeby móc szybko i

wygodnie sięgnąć po jego zawartość.

- Czy wszystko w porządku? - Edmund, który już wsiadł na konia, bacznie przygląda się kołczanowi.

- Oczywiście, dziękuję. - Teraz czuję się pewniej, więc wspinam się na siodło.

- A co z powozem? - pyta Luisa, oddalając się od pojazdu i podążając za Edmundem, którego stłumiony głos odpowiada gdzieś z przodu:

- Zabiorą go później. Ktoś wróci nim do Milthorpe Manor.

Luisa marszczy brwi, kręci się w siodle i patrzy za siebie.

- Ale... tam została jedna moja torba!

- Szkoda się martwić, panno Torelli. - Z tonu Edmunda jasno wynika, że nie będzie żadnych dyskusji. - Tak jak powóz, torba paniarki wróci do Milthorpe Manor, tam, gdzie jej miejsce.

- Ale... - oburzonej Luisie płacze się język. Patrzy to na mnie, to na Sonię, wreszcie godzi się z tym, że jej protesty pozostaną bezowocne. Ponownie dosiada konia, a spojrzenia, które rzuca ku jadącemu przed nią Edmundowi, są zapewne tak ostre jak wypuszczane z łuku strzały.

Podążająca za Luisą Sonia szczyrzy zęby. Śladem Edmunda zmierzamy w stronę lasu. Cieszę się tą chwilą bez troski, mimo że stroimy sobie żarty kosztem Luisy; opuszczamy bowiem rozjaśnioną słońcem otwartą przestrzeń i mamy wjechać w tajemniczy mrok puszczy. Przeczuję, że od tego momentu podróż na Altus bynajmniej nie będzie przyjemna.

Rozdział 7

- Oo! Chyba już nigdy normalnie nie usiądę! - Sonia ostrożnie sadowi się na kamieniu obok mnie.

Wiem, o czym mówi. Jazda konna naszym spokojnym tempem to żadne przygotowanie do bitych sześciu godzin spędzonych w siodle.

- Cóż, myślę, że po kilku dniach przyzwyczaimy się. - Chciałabym się uśmiechnąć, ale ból, jaki sprawia mi tylna część ciała, powoduje, że stać mnie raczej na grymas.

Dziwny to był dzień. Jechaliśmy w milczeniu, jakby zauroczeni ciszą lasu i kołyszącym chodem koni. Sonia, Luisa i ja byłyśmy z tyłu, Edmund natomiast z konieczności podążał przodem - tylko on wie, dokąd zmierzamy.

Przyglądam się, jak kończy rozbijać namioty, które będą naszym nocnym schronieniem, i podziwiam jego energię. Nie mam pojęcia, ile Edmund ma lat. Był stałym elementem mojego życia już od wczesnego dzieciństwa, a nawet wtedy wydawało mi się, że mógłby być moim ojcem. Jednak przez cały długi dzień, wypełniony męczącą jazdą, siedział na koniu bez skargi.

Rozglądam się po naszym obozowisku, a mój wzrok pada na Luisę, która siedzi osobno, oparta plecami o drzewo, z zamkniętymi oczami. Chciałabym porozmawiać z nią przez parę chwil, lecz nie wiem, czy nie zasnęła, a wolałabym jej nie budzić.

Kiedy moje spojrzenie wędruje ku Soni, okazuje się, że i ona jest bliska zaśnięcia.

- Jeśli nie wstanę teraz, to chyba nigdy - mówię. - Pomogę rozbijać obóz.

Ogromnie żal mi Edmunda, który musi przedzierać się przez las, za całą pomoc i towarzystwo mając tylko trzy dziewczyny. Postanawiam, że podczas podróży będę mu jak najwięcej pomagać.

- Ja też zaraz pomogę... - Sonia, wyczerpana, niemal bełkocze. Osuwa się na ziemię i opiera głowę o kamień, wtulając ją w ramiona. Ledwie robię kilka kroków, już zasypia.

Podchodzę do Edmunda, rozglądając się za jakimkolwiek zajęciem, byle tylko jeszcze chwilę utrzymać się na nogach. Edmund z radością spełnia moją prośbę, wręczając mi ziemniaki i niewielki nożyk - a przecież dotychczas przygotowywałam najwyżej tosty. Do tej pory każdy ziemniak, jaki w życiu widziałam, był upieczony, ugotowany lub rozgnieciony na puree. Po chwili namysłu dochodzę do wniosku, że kartofle same się nie ugotują. Zaczynam

je obierać i przekrawać. Okazuje się, że nawet tak prosta czynność jak rozkrojenie ziemniaka wymaga pewnych umiejętności. Trzy razy prawie przecinam palec nożem, ale potem zaczynam kontrolować cały proces.

Kilka godzin później umiem już gotować na ognisku i nawet podejmuję próbę pozmywania naczyń w rzece niedaleko obozu, wspomagana przez milczącą, zmęczoną Luisę. Ponieważ byłam świadkiem śmierci Henry'ego i sama o mało nie utonąłam, jest teraz we mnie jakiś zwierzęcy strach przed wartką wodą. Trzymam się więc przy brzegu, choć ta rzeka płynie spokojnie zakolami.

Zrobiło się ciemno i na pewno jest późno - choć nie wiem, która dokładnie może być godzina - kiedy wraz z Sonią i Luisą udajemy się do naszego wspólnego namiotu, by przebrać się do snu. Wcześniej jednak grzeję się przy ogniu obok Edmunda, czując się w jego obecności spokojna i bezpieczna. Patrzą mu w twarz, na której igrają odbłaski ogniska.

- Dziękuję, Edmundzie - w ciszy lasu mój głos brzmi donośniej niż zwykle.

- Za co, panienko? - spogląda na mnie. W świetle ognia wydaje się młodszy.

- Za to, że przyjechałeś. Że opiekujesz się mną.

- Cóż, w takich czasach... - patrzy w ciemność lasu, jakby dostrzegał czające się w niej niebezpieczeństwo. - W takich czasach trzeba mieć przy sobie najbardziej zaufane osoby. - Kieruje spojrzenie na mnie. - Mam nadzieję, że jestem na szczycie tej listy.

- Tak rzeczywiście jest - odpowiadam z uśmiechem. - Jesteś członkiem rodziny, Edmundzie, i częścią mnie, tak jak ciotka Virginia i... - w obecności Edmunda nie potrafię wymienić imienia Henry'ego. Kochał go przecież jak własnego syna i tak o niego dbał. Zniósł stratę, opłakując go w milczeniu, i po śmierci mojego brata nigdy nie skierował do mnie ani słowa wyrzutu, choć na to zasłużyłam.

Oczy Edmunda zachodzą łzami, gdy tak wpatruje się w noc, wspominając sprawy, o których żadne z nas nie chciałoby pamiętać.

- Odejście Henry'ego to był prawie i mój koniec. A potem, kiedy panienka wyjechała, w zasadzie nie było powodu, żeby żyć - zagląda mi w twarz. W jego oczach jest ból tak świeży, jak dzień po pogrzebie Henry'ego, kiedy zawoził mnie do Jamesa, żebym mogła się z nim pożegnać. - To Alice sprawiła, że przyjechałem razem z Virginią do Londynu.

- Alice? - Trudno mi wyobrazić sobie, że to siostra przysłała mi Edmunda do pomocy.

- Po wyjeździe panienki Alice przestała się pokazywać. Nie widziałem jej przez wiele dni, a kiedy wreszcie zobaczyłem, wiedziałem, że jest zgubiona. Zatraciła się w Pozaświatach - wyjaśnia Edmund.

- A potem? - dopytuję.

- Zacząłem ją obserwować, a jej dusza każdego dnia stawała się czarniejsza. Zrozumiałem wtedy, że panienkę musi wspierać jak najwięcej osób. Od Alice oddziela nas ocean, ale nie przeceniałbym tego faktu - Edmund przerywa i patrzy prosto na mnie. - Alice równie dobrze może być teraz tu, razem z nami. I jest równie groźna jak wtedy, kiedy mieszkaliście pod jednym dachem. A nawet bardziej, zważając na jej desperację.

Czekam, aż te słowa wybrzmiały pomiędzy nami, instynktownie dotykając palcami wypukłego znamienia na nadgarstku. Staram się zgłębić okoliczności, które przyczyniły się do tego, że podczas mojej nieobecności moja siostra bliźniaczka stała się jeszcze bardziej zła. Czy nie wystarczy, że wepchnęła Henry'ego do rzeki? Że wydała mnie na pastwę Duszy i ich potęgi, odwracając ochronne zaklęcie, rzucone przez naszą matkę? Jednak nawet te myśli, których wcale nie chciałabym roztrząsać, nie ułatwiają mi przyjęcia kolejnych słów, jakie wypowiada Edmund.

- No i jest jeszcze sprawa Jamesa Douglasa.

- Jamesa? - W głowie zapala mi się czerwone światełko. - Jaka sprawa?

Edmund z namysłem ogląda swoje dłonie, jakby widział je po raz pierwszy w życiu. Wiem, że nie chce powiedzieć tego, co musi.

- Podczas nieobecności panienki, Alice... zaprzyjaźniła się z panem Douglasem.

- Zaprzyjaźniła? - to słowo staje mi w gardle. - Co masz na myśli?

- Zachodzi do niego do księgarni, zaprasza go na herbatę.

- A jemu się to podoba? - Nie mogę znieść tej myśli, choć z rezygnacją przyjął fakt, że nie ma sensu zastanawiać się nad przyszłością z Jamesem, skoro nie jestem ani o krok bliżej rozwiązania przepowiedni.

- To chyba zbyt wiele powiedziane - wzdycha Edmund. I dodaje łagodnym głosem: - Pan Douglas był zaskoczony niespodziewanym wyjazdem panienki. Przypuszczam, że czuje się samotny, zaś Alice... cóż, z wyglądu przypomina panienkę. Jesteście przecież bliźniaczkami. Jamesowi chodzi pewnie tylko o to, żeby przypomnieć sobie panienkę, kiedy panienki tam nie ma.

Serce bije mi zbyt mocno. Dziwię się, że w tej ciszy Edmund go nie słyszy. Wstaję, robi mi się niedobrze.

- Chyba... pójdę się położyć, Edmundzie.

- Zmartwiłem panienkę? - przypatruje mi się, mrużąc oczy w przygasającym, migotliwym świetle ogniska.

- Nie, skądże - kręcę głową i staram się nie mówić drżącym głosem. - Jestem zbyt daleko, żeby wysuwać jakiegokolwiek roszczenia wobec Jamesa.

Edmund przytakuje, ale ma zmartwioną twarz.

- Ja i ojciec panienki zawsze mówiliśmy ze sobą otwarcie. A panienka, chociaż należy do płci pięknej, pewnie spodziewa się podobnego traktowania.

- Tak, wszystko w porządku. Nic mi nie jest. Zgadza się, musimy być ze sobą szczerzy, nawet jeśli jest to bolesne. - Kładę mu rękę na ramieniu. - Cieszę się, że jesteś tu z nami. Dobranoc, Edmundzie.

- Dobranoc - odpowiada, gdy zbieram się do odejścia.

Nie odwracam się za siebie. Idąc do namiotu, nie myślę ani o prorocztwie, ani o swojej siostrze, tylko o bezdennie błękitnych oczach Jamesa Douglasa.

* * *

Nie spodziewałam się, że podczas naszej pierwszej nocy w puszczy będę podróżować po Równinie. Jestem zmęczona. A raczej wyczerpana. Nie mam ochoty na nic innego, jak tylko zapaść w sen bez marzeń, ale im bardziej zagłębiam się w przepowiednię, tym rzadziej mi się to zdarza.

Jestem więc w podróży. Budzi mnie znajome już uczucie, że śnię coś więcej niż zwykły sen.

Nie mam jednak wrażenia, że zostałam wezwana. Nauczyłam się to wyczuwać - wiem, kiedy ktoś mnie wzywa i czeka na mnie w Pozaświatach.

Tym razem jest inaczej.

Zdaję sobie sprawę, że istnieje powód, dla którego znalazłam się w Pozaświatach. Że mam coś tutaj zobaczyć albo zrozumieć. Lecz zarówno cel, jak i przyczyna mojej podróży nie są chyba związane z działaniami jakiejś zwyczajnej istoty. W takich chwilach wydaje mi się, że jakaś kosmiczna siła chce nieść mnie przez całe Pozaświaty; kierując w stronę odkrycia, którego powinnam dokonać jak najszybciej, mimo że nie rozumiem, czemu miałyby służyć.

Jestem w krainie najściślej połączonej z ziemskim światem. W niej wszystko wygląda tak samo jak w rzeczywistości. To tutaj czasami spotykam tych, których znam i kocham, to tu widzę, że nasz fizyczny świat oddziela od tego mistycznego - jednego z Pozaświatów - jedynie cieniutka zasłona.

Lecę nad lasem, w którym, co instynktownie przeczuwam, leży uśpione moje ciało. To przez ten las jechaliśmy konno. Drzewa rosną tu gęsto, więc kiedy przemieszczam się szybko nad bujnym morzem roślin, puszcza wygląda jak miękki zielony dywan, rozciągnięty pod moimi stopami.

Na początku nie dostrzegam nic - nie pozwala mi na to baldachim liści rozpięty pomiędzy

niebem, po którym płynę, a ziemią osłoniętą drzewami. Potem jednak czuję, jak coś pode mną się przemieszcza, najpierw w jedną stronę, potem w drugą. To jakaś eteryczna istota. Jakaś zjawia przemykająca pośród pni. Przypuszczam, że to zwierzę, ale trudno wyobrazić sobie stworzenie poruszające się tak prędko, by mogło znajdować się praktycznie jednocześnie we wszystkich zakątkach lasu.

A potem słyszę ten oddech.

Jest ciężki, wytężony, ale chyba nie należy do człowieka. Zbliża się ze wszystkich stron. Nie wiem, co tak nadciąga. Ta istota znajduje się poniżej, ale to wcale mnie nie uspokaja - wiem, że prawa obowiązujące w Pozaświatach nie przypominają praw realnego świata. Wiem także, że swojego strachu nie wolno lekceważyć. To przecież on uratował mnie niejedyn raz.

Istota podchodzi coraz bliżej, a jej oddech dobiega zewsząd i znikąd. Pode mną rozciąga się nieprzerwanie las, bez żadnych charakterystycznych punktów. Tylko drzewa i drzewa, kilometr za kilometrem, od czasu do czasu jakaś mała polanka. Ogarnia mnie świadomość, że zaraz będę bezpieczna. Czuję pociągnięcia astralnej nici. Coś mi mówi: *Już niedaleko*. Muszę dolecieć jeszcze kawałek dalej, a na pewno powrócę do swojego ciała.

Po chwili dostrzegam polanę, pasemko dymu unoszące się nad gasnącym ogniskiem, dwa stojące obok siebie namioty, a na skraju obozowiska konie przywiązane do drzewa. Podążam w stronę większego namiotu. Wiem, że pod osłoną jego cienkich ścianek śpią twardo Sonia i Luisa. Nadal słyszę groźny oddech, ale ta istota raczej mnie nie pochwyci. Dziś wezwano mnie na Równinę nie po to, żeby zabrać mi duszę.

To nie miało być bezpośrednie zagrożenie, lecz ostrzeżenie.

Bez wysiłku wnikam w swoje ciało, bez tego nagłego zdumienia, jakie ogarniało mnie po pierwszych podróżach, i natychmiast się budzę. Dopiero po chwili udaje mi się uspokoić swoje galopujące serce, ale nie potrafię zasnąć. Nie wiem, czy to kwestia wyobraźni, czy konsekwencja powrotu z Równiny, ale wydaje mi się, że słyszę, jak na zewnątrz coś porusza się między drzewami. Szmer, szuranie, ostrożne kroki po zasłanej liśćmi ziemi...

Patrzę na spokojnie śpiące Sonię i Luisę i myślę, że chyba tracę zmysły.

Rozdział 8

Kiedy wychodzę rano z namiotu, zaspana i półprzytomna, całe obozowisko spowija nieprzenikniona mgła. Powietrze jest od niej aż ciężkie, metr ode mnie nic już nie widzę. Słyszę, jak konie parskają, jak moje przyjaciółki rozmawiają ze sobą, ale dźwięk dobiega jakby przez grubą warstwę waty. Ogarnia mnie samotność, choć wiem, że pozostali nie są tak daleko, jak wskazywałyby stłumione odgłosy.

Pospiesznie jemy śniadanie i zabieramy się za zwijanie obozu. Najpierw pomagam Edmundowi spakować zapasy żywności i naczynia, a potem idę do namiotu, żeby razem z Sonią i Luisą poskładać koce.

Wchodząc, widzę Luisę upychającą ubrania do leżących na ziemi sakw. Gdy mnie słyszy, podnosi wzrok.

- Będzie dobrze, jeśli w tej mgle zdołamy dostrzec siebie nawzajem. Nie mówiąc już o szukaniu drogi przez las - jej twarz jest nieporuszona, ale w głosie wyczuwam napięcie.

- Możemy tylko mieć nadzieję, że nie będzie padać. - Wolę nie zastanawiać się nad tym, jak nieprzyjemna byłaby jazda nie tylko przez mgłę, ale jeszcze w strumieniach deszczu. - Gdzie Sonia?

- Wyszła za potrzebą - Luisa macha ręką w kierunku lasu, nie podnosząc oczu znad pakunków.

- O ile pamiętam, ustaliśmy, że żadna nie wychodzi sama z obozu, nawet kiedy musi.

- Chciałam z nią iść, nalegałam, ale powiedziała, że ma doskonały zmysł orientacji i wróci na długo przed odjazdem - Luisa przerywa, a przez dalsze słowa przebija nuta sarkazmu. - Przypuszczam jednak, że gdybyś ty chciała z nią pójść, zgodziłaby się bez wahania.

- Co masz na myśli? - przechylam głowę.

Luisa energicznie kończy pakować rzeczy, unikając mojego wzroku.

- Mam na myśli to, że ty i Sonia byliście razem przez długie miesiące, podczas gdy ja zostałam w Nowym Jorku, z tymi gąskami z Wycliffe.

W jej głosie wyraźnie pobrzmiewa zazdrość, co sprawia, że łagodnieję. Siadam obok na ziemi i dotykam jej ramienia.

- Luiso.

Mówi dalej, jakby mnie nie słyszała.

- To naturalne, że zżyłyście się.

- Luiso! - Tym razem przerywam jej bardziej stanowczo, tak że przyjaciółka przestaje pakować ubrania i wreszcie patrzy mi w oczy. - Szkoda, że nie byłaś razem ze mną i z Sonią. Niczego nie pragnęłyśmy bardziej. Bez ciebie nic nie jest takie, jak powinno. Ale musisz też wiedzieć, że osiem miesięcy nieobecności nie zdoła zniszczyć przyjaźni, jaka nas wiąże. Przyjaźni między nami *trzema*. Nic jej nie zmieni, nigdy.

Przez chwilę Luisa patrzy na mnie w milczeniu, a potem mnie obejmuje.

- Przepraszam, Lia. Głupio się zachowuję, prawda? Chyba za długo dusiłam to w sobie.

Ogarnia mnie smutek z powodu tego wszystkiego, co straciła Luisa. Ona ma rację. Sonia i ja mieszkaliśmy w Londynie, prawie bez opieki, jeździłyśmy sobie konno i chodziłyśmy na przyjęcia Towarzystwa. Luisa w tym czasie tkwiła w tej samej pułapce nietolerancji i zaściankowości, z której ja tak długo pragnęłam się wyrwać.

Odsuwam się od Luisy i spoglądam na nią z uśmiechem.

- Chodź, pomogę ci pakować.

Luisa pięknie odwzajemnia uśmiech, tak jak tylko ona potrafi, i wręcza mi przedmioty, które leżały na ziemi.

Ponieważ pracujemy we dwie, zwijanie namiotu i zbieranie reszty rzeczy odbywa się szybko. Tylko Soni nadal nie ma. Zaczynam się denerwować i postanawiam, że pójde jej poszukać, o ile nie wróci do chwili, w której konie będą gotowe do drogi. Czekając na nią, zanosimy namioty i pakunki Edmundowi. Oddajemy mu wszystko oprócz mojego łuku i kołczanu. Zamierzam je zawsze trzymać przy sobie, zanim nie dotrzemy na Altus.

Edmund zajmuje się przytracaniem bagaży do końskich grzbietów. Przywiązuje już ostatnie do konia Soni, kiedy ona wreszcie wybiega spośród drzew na skraju obozowiska.

- Przepraszam, że nie było mnie tak długo! - Wyciąga liście i gałązki z włosów, odczepia je z bryczesów. - Mój zmysł orientacji nie jest chyba tak doskonały, jak przypuszczałam! Długo czekacie?

Wsiadam na konia, tłumiąc przyływ irytacji.

- Niedługo, ale myślę, że w lesie powinnyśmy trzymać się razem, prawda?

- Oczywiście - przytakuje Sonia. - Przepraszam, nie chciałam was zmartwić. - Idzie w stronę swojego wierzchowca.

Luisa już siedzi w siodle. Nic nie mówi - nie wiem, czy ze złości, czy z niecierpliwości, żeby ruszać.

Podążając za Edmundem, opuszczamy polanę, na której stał nasz pierwszy obóz. Przez

długi czas wszyscy jedziemy w milczeniu. Dusi nas mgła. Mam klaustrofobiczne uczucie, że oplata nas swoimi ramionami. Muszę walczyć z ogarniającą mnie momentami paniką, bo mam wrażenie, jakby coś połykało mnie w całości, coś przytłaczającego, wszechogarniającego.

W głowie mam dziwną pustkę. Nie myślę o Alice. Nie myślę nawet o wyznaniu Edmunda, że Alice i James zaprzyjaźnili się. Nie myślę o niczym, obserwuję tylko plecy osób jadących przede mną i staram się nie stracić ich z oczu we mgle.

Jeszcze przed przerwą na lunch przyzwyczajam się do długich okresów milczenia. Planując postój, kręcimy się po okolicy, w końcu zajmujemy miejsce w pobliżu niewielkiego strumyka. Napełniamy manierki wodą i jemy chleb, który zdążył sczerstwieć. Wszystko odbywa się w ciszy. W końcu przestaje to mieć znaczenie, bo ani nic nie widać, ani nie ma o czym rozmawiać.

Edmund karmi i poi konie, a Sonia, Luisa i ja odpoczywamy po jeździe. Sonia wyciąga się na trawie nad strumieniem, a Luisa, z zamkniętymi oczami i spokojem na twarzy, opiera się plecami o drzewo. Przyglądam im się tak, jakbym czegoś szukała - czegoś innego niż brakujące stronice Księgi.

Jednak nie jest mi dane długo roztrząsać swoje uczucia. Edmund wkrótce daje sygnał do odjazdu, więc wyruszamy. Wsiadamy na konie i wjeżdżamy jeszcze głębiej w las.

* * *

- Lia, czy uważasz, że z Luisą jest wszystko w porządku?

Właśnie zatrzymaliśmy się po całym dniu jazdy. Głos Soni dobiega z drugiej strony namiotu. Luisa nadal siedzi przy ognisku, a przynajmniej siedziała tam, kiedy Sonia i ja postanowiłyśmy iść spać.

Przypominam sobie rozmowę, jaką odbyłam z Luisą rankiem w tym samym namiocie, i nie jestem pewna, czy chciałyby, żebyśmy wspominała o tym, jaka była zazdrosna.

- Czemu pytasz?

Sonia marszczy brwi, szukając odpowiednich słów.

- Wydaje się, że coś ją dręczy. Nie czujesz tego?

Waham się, chciałabym uszanować zaufanie okazane mi przez Luisę.

- Być może, ale przecież jedziemy konno cały dzień, a w takich warunkach trudno rozmawiać, zwłaszcza w tej piekielnej mgle. Poza tym...

- Co poza tym? - naciska Sonia.

- Ty i ja byliśmy razem przez prawie rok. Nie sądzisz, że Luisa może czuć się trochę

pozostawiona z boku?

Sonia przygryza dolną wargę. Znam ten gest - pojawia się zawsze, gdy moja przyjaciółka zastanawia się nad czymś ważnym i ostrożnie dobiera słowa.

- To fakt, ale zastanawiam się, czy nie chodzi o coś więcej.

- Na przykład?

Sonia wpatruje się w sklepienie namiotu, a potem spogląda na mnie w tym ciemniejszym wnętrzu.

- Nie uważasz... na przykład...

- Że co? O co chodzi?

Sonia ciężko wzdycha.

- Pamiętam tylko, jak ciotka Virginia powiedziała kiedyś, że Dusze nie zawahają się przed niczym, żeby tylko cię dopaść, żeby zasiać między nami niezgodę.

Nie musi kończyć. Wiem, co chce zasugerować.

- Soniu - zwracam się do niej po imieniu, żeby zyskać na czasie. - Wiem, że Dusze czyhają na mnie. Doskonale o tym wiem. Ale nie powinnyśmy wyolbrzymiać niepokoju, który wszyscy odczuwamy, jadąc przez szary, zamglony las.

Sonia kieruje ku mnie wzrok.

- W porządku? - pytam.

- W porządku, Lia - potwierdza.

Po pewnym czasie, długo po zamknięciu Soni, do namiotu wraca Luisa. Porusza się cicho, bezgłośnie wsuwa pod koce. Najprościej byłoby zadać jej te wszystkie pytania, jakie przysły do głowy zmartwionej Soni, jednak nie mówię nic. Nie chcę potwierdzać jej obaw, wypowiadając je na głos.

* * *

- Dzisiaj czeka nas przejście - oznajmia spokojnie siedzący w siodle Edmund, kiedy opuszczamy obozowisko.

- Jakie przejście? - dopytuje się Luisa.

Edmund wpatruje się w mgłę, która nadal ciąży mi na ramionach jak gruby wełniany płaszcz.

- Przejście do świata znajdującego się pomiędzy światem ziemskim a Pozaświatami. Tam leży Altus.

Kiwam głową, jakbym dokładnie wiedziała, o czym mówi. Oczywiście tak nie jest, ale nie lekceważę jego słów, bo i ja czuję w powietrzu zmianę. Czulam ją, kiedy zagłębialiśmy

się konno w gęstwinę. Także wtedy, gdy budziłam się z niespokojnego snu, wciąż słysząc kroki dziwacznych wielonożnych istot, skradających się wokół naszego namiotu. Czuję ją i teraz, gdy Edmund znowu prowadzi nas przez puszcę.

Mijają godziny. Sonia próbuje prowadzić nerwowe rozmowy z Luisą, a Luisa głównie milczy. Edmund znajduje w końcu miejsce, gdzie możemy zatrzymać się na lunch i napęłnić manierki. Stało się już naszym zwyczajem, że podczas gdy Edmund zajmuje się końmi, ja wyciągam z sakw jedzenie, żeby przyrządzić szybki posiłek.

Jemy w błogiej ciszy, kiedy nagle słyszę ten dźwięk. Nie. W zasadzie nie słyszę. *Wydaje mi się*, że go słyszę, ale to bardziej przeczucie, jakiś wewnętrzny szept, który podpowiada, że coś się zbliża. Na początku myślę, że to tylko wytwór mojej wyobraźni.

Ale potem rozglądam się.

Edmund zastygł nieruchomo jak posąg. Niesamowicie skupiony, wpatruje się w drzewa. Nawet Sonia i Luisa siedzą bez słowa, z oczyma zwróconymi w tę samą stronę.

Patrzę na nie i wiem, że i one czują istoty nadciągające z głębi lasu. Tym razem to nie sen.

Rozdział 9

- Wstańcie, wsiądźcie na konie i jedźcie za mną. Natychmiast - wolno, przez zaciśnięte zęby mówi Edmund. - Pod żadnym pozorem nie zatrzymujcie się, dopóki nie powiem, że można.

W jednej sekundzie jest już w siodle i obserwuje las za naszymi plecami, czekając, aż też wsiądziemy. Nasze przygotowania do odjazdu są znacznie dłuższe i głośniejsze niż Edmunda, choć do tej pory nigdy nie uważałam się za szczególnie powolną czy hałaśliwą.

Gdy jesteśmy gotowe, Edmund odwraca konia w kierunku, w którym zmierzaliśmy, i rusza jak strzała, nie wydając wierzchowcowi żadnego polecenia. Nasze konie też rzucają się naprzód bez ponaglenia. Najwyraźniej jakiś tajemniczy głos mówi im, że czas jest na wagę złota, mimo że my nie odzywamy się ani słowem.

Mkniemy przez las z prędkością błyskawicy. Nie wiem, w którą kierujemy się stronę ani czy wciąż bierzemy kurs na Altus. Edmund prowadzi nas jednak przez puszcę bez wahania. Trudno powiedzieć, czy jest pewien, że jedziemy w dobrym kierunku, czy też tak bardzo obawia się ścigających nas istot, że nie dba o to, czy zboczymy z trasy.

Jedziemy przez las tak prędko, że muszę skulić się przy szyi Sargenta, lecz gałązki i tak wplątują mi się we włosy i drapią twarz. Obserwuję swoje odczucia jakby z oddalenia. Wiem, że uciekam poprzez gęstwiny, wyposażona tylko w łuk i sztylet matki na swoją obronę. Prawdopodobnie stawką tego wyścigu jest moje życie. Mimo to jakoś nie czuję strachu, który przecież musi czaić się gdzieś pod skórą.

Najpierw słyszę, a dopiero potem widzę rzekę. Tego dźwięku nigdy nie zapomnę. Gdy nurt wody pojawia się przed nami w całej okazałości, z ulgą patrzę, jak Edmund ściąga wodze, zatrzymując raptownie swojego wierzchowca i nasze konie przy brzegu.

Patrzy na drugą stronę, a ja podjeżdżam do niego i podążam oczami za jego wzrokiem.

- Jak sądzisz, Edmundzie, zdołamy ją przepłynąć? - pytam.

- Chyba tak. - Jego pierś szybko wznosi się i opada. Jedynie to świadczy o zmęczeniu.

- Chyba? - odzywam się donośniejszym i bardziej drżącym głosem, niżbym chciała.

- Gwarancji nie ma - wzrusza ramionami Edmund. - Myślę, że damy sobie radę. Mimo wszystko szkoda.

Te niejasne słowa sprawiają, że czuję się, jakbym nie dosłyszała jakiejś istotnej części

rozmowy.

- Szkoda czego?

- Że rzeka nie jest głębsza.

- Ale jakby była za głęboka - kręcę głową - moglibyśmy jej nie przepłynąć...

- To prawda - Edmund zbiera lejce w dłoni, przygotowując się do wprowadzenia konia w wodę - ale gdybyśmy my mieli problemy z przeprawą, mieliby je także nasi prześladowcy. Jeśli ścigają nas ci, których podejrzewam, powinniśmy modlić się, żeby woda była jak najgłębsza.

Przeplnięcie rzeki nie jest tak trudne, jak się obawiałam. Przez moment, kiedy znajdujemy się w najgłębszym miejscu, bardzo się boję, bo woda sięga mi do kolan, ale Sargent pokonuje prąd minimalnym wysiłkiem.

Nie mam później czasu, żeby dłużej porozmawiać z Edmundem o tym, kto nas ściga przez las. Przez resztę dnia, po przeprawie przez rzekę, jedziemy jak najszybciej. Nie ma przerw na jedzenie, picie ani odpoczynek, dopóki słońce nie chyli się tak nisko, że prawie nie widzimy się nawzajem. Edmund najwyraźniej miałby ochotę kontynuować jazdę, ale nikt nawet nie pyta, czy powinniśmy to robić. Najważniejsze jest przecież bezpieczeństwo, nie byłoby dobrze, gdyby któreś z nas spotkała krzywda podczas podróży.

Pracujemy razem, przygotowując jedzenie, zajmując się końmi i ustawiając namioty. Po raz pierwszy przyłączają się do nas Sonia i Luisa. Zastanawiam się, czy również ich nerwy są napięte ze strachu. Pomagam Edmundowi przyrządzić kolację, przynoszę wiadro wody dla koni z pobliskiego strumyka i daję im po kilka jabłek. Cały czas nasłuchuję. Nieustannie moje oczy błądzą wśród drzew otaczających obozowisko. Wciąż spodziewam się istot, które nas goniły, ich wtargnięcia na polanę.

Po kolacji Sonia i Luisa siedzą cicho przy ognisku. To nowe milczenie pomiędzy nimi wprawia mnie w zakłopotanie, ale moje myśli są zajęte ważniejszymi sprawami. Podchodzę do Edmunda, który szczotkuje jednego z koni, przywiązanego do drzewa.

Widząc, że się zbliżam, Edmund kiwa głową i podnosi drugie zgrzebło z ziemi. Zaczynam szczotkować siwka Soni i próbuję uporządkować wszystkie pytania kłębiące się w mojej głowie. Nietrudno wybrać to najbardziej palące.

- Co nas ściga, Edmundzie? Co to za istota?

Nie odpowiada od razu. Nawet na mnie nie patrzy. Już zaczynam się zastanawiać, czy w ogóle usłyszał pytanie, kiedy wreszcie odzywa się, ale nie jest to bezpośrednia odpowiedź.

- Dawno nie jechałem przez ten las, długo nie byłem w tej granicznej krainie.

Przerwam czyszczenie konia i nastawiam uszu.

- Edmundzie, w sprawach takich jak ta twoje przypuszczenia są dla mnie cenniejsze niż pewność kogokolwiek innego.

- W porządku. Wobec tego... - Edmund podnosi wzrok i patrzy mi w oczy - uważam, że goni nas Piekielna Sfora, zgraja wilków Samaela.

Przez moment staram się pogodzić to, co wiem o mitologicznych diabelskich psach, z faktem, że nas tropią.

- Ale... przecież one nie istnieją, Edmundzie.

- Oczywiście - odpowiada Edmund. - Są osoby; które nie dopuszczają istnienia alternatywnych światów, demonicznych dusz ani istot zmieniających swą postać.

Cóż, ma rację. Gdyby za rzeczywistość uznawać tylko to, w co wierzy reszta świata, nie byłoby Samaela ani Duszy, ani prorocstwa. A przecież wiemy; że istnieją. W związku z tym nie pozostaje nam nic innego, jak tylko zaakceptować tę rzeczywistość, w której funkcjonujemy; mimo że jest tak odległa od rzeczywistości znanej innym ludziom.

- Czego chcą te wilki? - pytam.

- Można przypuszczać, że ciebie. - Edmund delikatnie kładzie zgrzebło na ziemi, a potem głaszcze grzywę konia. - Piekielna Sfora to zaufany oddział armii Samaela, śledzący w przeszłości Siostry; starający się przejść przez Bramy. Samael wie, że przemierzając ten las, z każdym krokiem jesteśmy bliżej Altus. A to oznacza zbliżanie się do zagubionych kart Księgi, które mogą pomóc nam zatrzasnąć przed nim na wieki wrota do naszego świata.

Wyjaśnienie Edmunda nie jest dla mnie tak wielkim wstrząsem, jak można by się spodziewać. To nie znaczy; że się nie boję - krew szybciej płynie mi w żyłach na myśl o Piekielnej Sforze, na łaskę której mogę być wydana i przez którą mogę ponieść śmierć. Wiem jednak, że aby doprowadzić rzecz do końca, trzeba zacząć od początku.

- Rozumiem. Jak można uciec przed Sforą? Jak ją prześcignąć?

- Sam nigdy się z nią nie spotkałem - wzdycha Edmund - ale słyszałem różne opowieści. Chyba na tym musimy się oprzeć. Te wilki są większe i silniejsze niż jakiegokolwiek żyjące na świecie, tego możemy być pewni. Mają jednak materialne ciała, śmiertelne - tak jak wszystkie inne. Trudniej jest zabić wilka ze Sfory niż istotę z naszego świata, ale jest to możliwe. Tylko że... - Edmund pociera szczecinę, jaka przez kilka dni wyrosła mu na policzkach. Słyszę; jak drapie wierzch jego dłoni.

- Tylko że co?

- Nie wiemy, ile ich jest. Jeśli to duża zgraja, to... cóż, mamy tylko jedną strzelbę. Ja strzelam dosyć dobrze, ale nie chciałbym stanąć wobec watahy diabelskich wilków. Wolałbym liczyć na pewną ich słabość.

- Jaka słabość?

Edmund rozgląda się, jakby bał się, że jesteście podsluchiwanie, choć trudno uwierzyć, żeby w lesie był jeszcze ktoś oprócz nas. Zaczyna opowiadać ściszym głosem.

- Mówiono mi, że jest jedna szczególna rzecz, która zatrzymuje pościg Sfory.

Przypominam sobie słowa, jakie wypowiedział Edmund przed przeprawą przez rzekę: *Jeśli ścigają nas ci, których podejrzewam, powinniśmy modlić się, żeby woda była jak najgłębsza.* Przychodzi olśnienie, patrzę Edmundowi w oczy.

- Woda. Boją się wody.

- Tak - potwierdza Edmund. - Tak przypuszczam, choć "boją się" nie jest może najlepszym określeniem. Nie wydaje mi się, żeby te piekielne wilki cokolwiek się lękały, ale podobno głęboka, bystra woda zatrzymuje je. Tego rodzaju śmierci nie chcą najbardziej. Słyszałem, że kiedy mają przed sobą trudną przeprawę przez wodę, raczej zawrócą i zrezygnują z pościgu.

Śmierć przez utonięcie, myślę, ale potem przypominam sobie coś jeszcze.

- Ale czy one nie umieją przybrać jakiejś innej postaci, na przykład... ryby albo ptaka, albo takiego stworzenia, które poradzi sobie z wodą? Choćby na chwilę, nim przestanie im grozić niebezpieczeństwo? - To Madame Berrier z Nowego Jorku poinformowała mnie o tym, że Dusze potrafią przyjmować różną postać. Od tamtej pory inaczej patrzę na każdą grupę ludzi.

- Wilki ze Sfory, w przeciwieństwie do Dusz, które przybierają rozmaite kształty, żyją i giną w tej samej postaci. Takie poświęcenie się jest dla nich wielkim zaszczytem. Poza rolę wilka Sfory, tylko jedna jest bardziej pożądana.

- Jaka?

Edmund wyjmując z kieszeni zwiędłe jabłko i podaje je pięknemu siwkowi.

- Praca w osobistej Straży Samaela, specjalnym oddziale funkcjonującym w materialnym świecie. Sfora pilnuje tylko tej granicznej krainy, dzielącej zwyczajny świat i Altus. Członkowie Straży żyją natomiast pomiędzy ludźmi i na każdy rozkaz Samaela mogą zmieniać swą formę. Powinnaś obawiać się Dusz w każdej ludzkiej postaci, ale najbardziej tych, które należą do Straży. Są starannie dobierane spośród najbrutalniejszych istot.

- Ale jak mogę je rozpoznać? Już teraz nie ufam żadnej nieznanemu osobie, nawet zwierzęciu, bo boję się, że może to być odmieniona Dusza. Jak mam jeszcze bardziej wystrzegać się członków Straży? - W ogóle nie potrafię ogarnąć tego nowego lęku, nowego zagrożenia.

- Mają znaną. Pojawia się wtedy, kiedy przyjmują ludzką postać - Edmund wbija oczy w

ziemię, unikając mojego wzroku.

- Jakie znamię?

Macha dłonią w kierunku mojego nadgarstka, zakrytego rękawem kurtki.

- Znak węża, taki jak u panienki. Owiniętego wokół szyi.

Stoimy w ciemności, każde zatopione we własnych myślach. Ponieważ przestałam głaskać konia, trąca chrapą moją rękę, przypominając o swojej obecności. Gładzę go po pysku, starając się nie wyobrazić sobie czegoś tak przerażającego, jak oddział okrutnych Dusz, których szyje naznaczone są znienawidzonym przeze mnie znamieniem.

- Jak sądzisz, ile mamy czasu? - zadaję wreszcie pytanie, wracając myślą do Sfory.

- Dzisiaj jechaliśmy bez wytchnienia. Bez przerwy i szybko. Staralem się zasadniczo nie zbaczać z trasy, a jednocześnie kluczyć po lesie, tak żeby zmylić wilki, przynajmniej na pewien czas. A potem była rzeka... Wprawdzie niezbyt głęboka, ale nawet taka mogła chwilowo powstrzymać Sforę. Możemy przypuszczać, że wilki musiały się zatrzymać i zastanowić przed przeprawą.

- Ile mamy czasu? - Staram się panować nad zdenerwowaniem i strachem, aby mnie nie pokonały.

- Najwyżej parę dni - Edmund zwiesza ramiona. - I może jeden dzień dodatkowo, jeśli jutro będziemy jechać równie wytrwale i mieć dużo, dużo szczęścia.

Rozdział 10

Przed pójściem spać dzielę się z Sonią i Luisą wiadomościami na temat Sfory. O tym, w jak niezwykle trudnych warunkach żyjemy, świadczy fakt, że nawet nie są zdziwione na wieść o nowym zagrożeniu. Zamyślane i milczące, przygotowujemy się do snu. Edmund uparł się, że z bronią w ręku będzie strzegł obozowiska, kiedy Sonia, Luisa i ja będziemy wypoczywać. Ogarnia mnie poczucie winy, kiedy kładę się na spoczynek w naszym względnie wygodnym namiocie, ale wiem, że Edmund nie przyjąłby propozycji pomocy w trzymaniu warty.

Tej nocy odczuwam najwięcej trosk nie w związku z Wilkami, ale z moją siostrą.

Dużo myślałam o tym, żeby spotkać się z nią na Równinie, w Pozaświatach. Prawdę mówiąc, pomysł ten nie opuszcza zakamarków mojego umysłu, odkąd Edmund powiedział mi o Alice i Jamesie. Spotkanie z siostrą byłoby niebezpieczne, ale równie ryzykowna jest gra, którą Alice prowadzi z Jamesem. Bo nie mam wątpliwości, że to *jest* gra.

Wszystkie działania Alice wywołane są pragnieniem wprowadzenia Samaela do naszego świata, tak aby mogła osiąść władzę, która, jak sądzi, słusznie jej się należy. Nie sposób nie cierpieć na wieść o tym, że Alice i James zaprzyjaźnili się podczas mojej nieobecności, ale świadomość tego faktu nie budzi we mnie ani krzty gniewu. Obawiam się tylko o Jamesa i, jeśli mam być szczerą wobec siebie, czuję coś więcej niż tylko ukłucie zazdrości.

Dlatego muszę spotkać się z Alice. Naprawdę nie ma innego sposobu, żeby rozeznąć jej zamiary. Mogę dostawać informacje od ciotki Virginii albo Edmunda, ale przecież jesteśmy bliźniaczkami. A ja jestem Bramą pilnującą Strażniczki, bo tak odwróciły się nasze role.

Zawsze uważałam, że podróżowanie po Równinie jest prywatną sprawą, czekam więc, aż Sonia i Luisa zasną, a ich spokojny oddech zaświadczy o głębokim śnie.

Nie wymaga to tak długiego czasu ani tak dużego wysiłku jak kiedyś, żeby zapaść w dziwny półsen, którego potrzebuje moja dusza, aby wyjść z ciała i udać się na Równinę. Już prawie zapomniałam, jak na początku bałam się opuszczać ciało. Teraz, podróżując krętymi drózkami przez Pozaświaty, czuję się po prostu wolna.

Lecę nisko nad polami okalającymi Birchwood, moje stopy nieomal dotykają ziemi. Wciąż jestem mocno związana ze światem materialnym i dlatego narażona na ryzyko podczas takich podróży. Jednak latania nie da się uniknąć, ponieważ jest to najszybszy sposób podróżowania. Najlepszą gwarancją bezpieczeństwa, o ile można tu w ogóle liczyć na

bezpieczeństwo, jest dla mnie trzymanie się blisko ziemi, załatwienie spraw w Pozaświatach i pospieszny powrót do zwykłego świata.

Podążam w stronę domu i stajni wzdłuż rzeki. Pode mną toczą się jej wody, z trudem zmuszam się, by nie myśleć o Henrym. Odkąd umarł, nie spotkałam go w Pozaświatach. Rodziców widziałam na krótko przed jego śmiercią, ale po wypadku już nie. Nie próbowałam kontaktować się z nimi na Równinie. Wiem, na jakie ryzyko musieliby się narażać.

Od czasu, gdy zmarli, moi rodzice wciąż uciekają przed Duszami. Odmówili przejścia do ostatniego z Pozaświatów, gdyż chcieli być bliżej, gdybym potrzebowała ich pomocy. Mogę tylko mieć nadzieję, że w którymkolwiek z Pozaświatów przebywają, są tam razem z moim bratem.

Za stajniami jest jezioro i to tam ląduję na łące nad wodą. Coraz trudniej znaleźć mi takie miejsce w pobliżu rodzinnego domu, z którym nie wiążą się jakieś straszne wspomnienia - to jest jedno z niewielu takich miejsc. Mimo że jestem na Równinie, czuję pod stopami sprężystą, świeżą trawę. Przypominam sobie chwile, kiedy chodziliśmy tu bosy z Alice i urządzałyśmy zawody w rzucaniu kamieni do wody na odległość.

Patrę ponad polami na dom. Bez zdziwienia dostrzegam nadchodzącą siostrę. Już dawno temu przekonałam się, że na Równinie myśli mają wielką moc. Wystarczy pomyśleć, kogo chciałoby się spotkać, a ta osoba czy istota poczuje nasze wezwanie. Alice zbliża się do mnie od strony stajni i wiem, że nawet taki szczegół jak spacer zamiast lotu jest nieprzypadkowy. To sposób, by zakomunikować mi, że tutaj, w Pozaświatach, znajduję się na terytorium mojej siostry. Że ona, ponieważ pozostaje pod opieką Dusz, może przemieszczać się swobodnie, a ja muszę wciąż spieszyć się i ukrywać.

Przyglądam się, jak idzie, zwracając uwagę na jej figurę - zeszcupiała, odkąd wyjechałam. Nadal jednak kroczy z charakterystyczną pewnością siebie, z uniesionym podbródkiem, wyprostowana jak zwykle. Kiedy jednak zatrzymuje się przede mną, jestem zaskoczona.

Jej skóra jest blada jak prześcieradła, którymi po śmierci matki przykryto meble w Ciemnym Pokoju. Gdyby nie napięcie, jakie wyczuwam w jej ciele, pomyślałabym, że Alice jest chora. Mam wrażenie, że pod jej skórą coś pędzi. Czuję to tak wyraźnie, jakby pulsowało także we mnie. Dopełnieniem wątpliej postury są ostro wystające kości policzkowe. Alice, niegdyś dziewczęca, teraz jest tak drobna, że ubrania po prostu na niej wiszą.

Lecz to wyraz jej oczu sprawia, że żołądek skręca mi się ze strachu i żalu. Zawsze były żywe, błyszczące. Teraz lśnią nienaturalnym blaskiem, mówiącym wszystko o prorocztwie, którego jesteśmy zakładniczkami, i o złych Duszach, które zawładnęły moją siostrą. A także o

tym, że jest zgubiona.

Alice przypatruje mi się uważnie, jakby dzięki dokładnej obserwacji mogła dowiedzieć się, jakie zaszły we mnie zmiany i jakie nowe umiejętności posiadałam. Po kilku chwilach uśmiecha się, a wtedy smutek w moim sercu przeradza się w cierpienie nie do zniesienia - bo jest to dawny uśmiech Alice, ten, który zarezerwowany był tylko dla mnie. Pod jego prawie demonicznym urokiem kryje się żal. Z niepokojem patrzę na ten cień mojej siostry, ze sterczącymi kośćmi policzków i pustymi oczami.

Przełykam ślinę, staram się otrząsnąć ze wspomnień. Kiedy wymawiam jej imię, w moich ustach brzmi ono obco.

- Alice.

- Witaj, Lia - głos ma taki, jak pamiętam. Gdyby nie fakt, że znajdujemy się w Pozaświatach, w miejscu, które niewiele osób traktuje jak rzeczywiste, a jeszcze mniej odwiedza, można by pomyśleć, że spotkałyśmy się na herbacie. - Poczulałam twoje wezwanie.

- Chciałam się z tobą widzieć - potwierdzam. To taki prosty fakt, choć powody wcale nie są proste.

- Dlaczego chciałaś się ze mną widzieć? - Alice przechyla głowę. - Przecież masz teraz sporo zajęć - w jej tonie pobrzmiewa protekcjonalny humor, jak gdyby wyprawa na Altus była dziecinnym zmyśleniem.

- Słyszałam, że ty również.

- Ciotka Virginia naopowiadała coś o mnie, tak? - Oczy Alice są pełne tłumionego gniewu.

- Przekazała mi tylko wieści o mojej siostrze. I w zasadzie nie powiedziała nic, czego sama nie mogłabym zauważyć.

Zastanawiam się, czy Alice zaprzeczy, że przekroczyła granice fizycznego świata, żeby pokazać mi się na korytarzu w Milthorpe Manor. Nie robi tego.

- Aha, mówisz o moich odwiedzinach sprzed kilku dni. - Wygląda na rozbawioną.

- Alice, granica pomiędzy światami jest nienaruszalna. Łamiesz zasady obowiązujące na Równinie, prawa ustalone przez Obserwatorów. Nigdy nie wątpiłam w twoją moc, w twoją zdolność widzenia i robienia tego, co jest nieosiągalne dla większości Sióstr, ale wykorzystywanie podróży po Równinie, żeby przenieść się do innego miejsca w materialnym świecie, jest zakazane!

Alice śmieje się w głos, a jej śmiech niesie się poprzez pola w Pozaświatach.

- Zakazane? No cóż, wiesz, jak to mówią: jaka matka, taka córka - w jej słowach wyczuwam gorzkość. I żar, który bije mnie w twarz.

- Mama wiedziała, że nie będzie jej już na świecie, że nie poniesie konsekwencji za swoje czyny. - Trudno mi teraz mówić o mamie. Znam już z własnego doświadczenia przerażającą świadomość zamknięcia w pułapce przepowiedni. Nie potrafię winić matki za to, że chciała z niej uciec, choć drogę ucieczki wybrała sobie straszną. - Postąpiła tak, bo chciała chronić swoje dziecko, jak każda matka. Chyba widzisz różnicę między jej motywami a swoimi?

- Postępowanie matki, bez względu na motywy, również było pogwałceniem zasad ustanowionych przez Obserwatorów. - Twarz Alice tężeje. - Chroniąc cię zaklęciem, odwróciła bieg proroctwa. Czy należy jej więc pogratulować, że najpierw złamała odwieczne prawo, a potem się zabiła, żeby uniknąć konsekwencji?

Niełatwo jest mi opanować wściekłość, ale rozmowa o matce nigdzie nas nie zaprowadzi. Są pilniejsze sprawy, o które muszę teraz zadbać.

- Edmund powiedział mi, że spotykasz się z Jamesem.

Kąciaki ust Alice wykrzywia zły, podstępny uśmiešek.

- Taak, rodzina Douglasów jest bardzo zżyta z naszą. A James zawsze interesował się biblioteką ojca, jak zapewne wiesz.

- Nie baw się moim kosztem, Alice. Edmund mówił mi, że zaprzyjaźniliście się, że spędzasz dużo czasu z Jamesem, zapraszasz go na herbatę...

- I co z tego? - wzrusza ramionami. - James był smutny po twoim wyjeździe. To chyba dobrze darzyć go przyjaźnią, kiedy cierpi z powodu straty... A może tylko jedna z sióstr Milthorpe jest godna Jamesa Douglasa?

Nim odpowiem, muszę przełknąć ślinę. Nawet teraz trudno mi wyobrazić sobie Jamesa z kimś innym niż ze mną.

- Alice... Znasz moje uczucia do Jamesa. Nawet mimo proroctwa istnieją pewne sprawy, które są... święte, z którymi nie wolno igrać. Jedną z nich... był... Henry... - z trudem wykrztuszam słowa, które prawie kaleczą mi gardło. - Kolejna to James. Jest niewinny. Nigdy cię nie skrzywdził. Nikogo nie skrzywdził. Proszę cię, jak siostra siostrę, żebyś zostawiła go w spokoju.

Twarz Alice jest nieprzenikniona. Przybiera znany mi spokojny wyraz. Przypominam sobie czasy, kiedy mojej siostrze można było przyglądać się godzinami, nie dostrzegając w jej pięknych rysach ani śladu emocji. Przez moment naiwnie wierzę, że przychylił się do mojej prośby. Ale wkrótce jej oczy zaciemnia złość. Co gorsza, nie tylko złość czy wahanie, ale przyjemność płynąca ze świadomości, że umie wyrządzić komuś krzywdę.

Dostrzegam to i rozumiem, że mój apel nie odniesie skutku. Wprost przeciwnie, zostanie uznany za wyzwanie, za rękawicę, którą Alice będzie chciała podnieść. Pojmuję to wszystko

w jednej chwili i wiem, że tą rozmową wyrządziłam Jamesowi więcej szkody niż milczeniem. Nie dziwią mnie więc słowa, jakie w końcu wypowiada moja siostra.

- Nie sądzę, żebyś miała prawo zajmować się Jamesem, Lia. Według mnie można w zasadzie stwierdzić, że zrezygnowałaś z prawa do interesowania się jego życiem, bez słowa porzucając go i uciekając do Londynu.

Po tych słowach muszę się uspokoić, bo oczywiście Alice ma rację. Opuściłam Jamesa, nie pozostawiając mu nic poza listem, w którym tylko wspomniałam o naszej miłości. Potem wsiadłam do pociągu, który miał mnie zabrać z Birchwood.

Miał mnie oderwać od domu i od Jamesa.

Nie pozostaje już nic do powiedzenia. Alice wykorzysta wszelkie swoje zdolności, żeby pomóc Samaelowi przedostać się do naszego świata. Zrobi to bez zastanowienia, podobnie jak bez namysłu uczyniła Jamesa pionkiem w grze związanej z przepowiednią.

- Czy to wszystko, Lia? - pyta Alice. - Bo, powiem uczciwie, te rozmowy zaczynają mnie już męczyć. Ciągłe pytasz o to samo, a odpowiedź na twoje głupie pytania jest najprostsza z możliwych: ponieważ ja tak chcę, ponieważ mogę to zrobić. - Twarz Alice rozjaśnia się uśmiechem tak czystym i szczerym, że przez chwilę zastanawiam się, czy nie popadam w obłąd. - Masz jeszcze jakąś sprawę?

- Nie - chciałabym, aby mój głos brzmiał pewnie, ale wydaję z siebie tylko szept. - Nie mam. Nie martw się, nie będę cię już szukać. Przynajmniej nie w takim celu. Nie żeby zadawać głupie pytania. Następnym razem znajdę cię po to, żeby zakończyć wszystko raz na zawsze.

Alice mruży oczy, przyglądając mi się badawczo. Nie ma wątpliwości, że próbuje teraz oszacować *moje* siły.

- Musisz być absolutnie pewna, że chcesz doprowadzić do zakończenia - mówi. - Bo kiedy to zrobisz, kiedy rozwiążesz wszystko raz na zawsze, jedna z nas będzie musiała zginąć.

Nie dodając nic więcej, odwraca się i odchodzi. Patrzą za nią tak długo, aż zmienia się w punkcik na horyzoncie.

Rozdział 11

Kiedy budzę się następnego ranka, jest tak ciemno, że wydaje się, jakby ciągle była noc. Jednak gdy rozglądam się po namiocie, zauważam, że nie ma Luisy. Sonia śpi, a ja wyslizguję się spod koców i wymykam z namiotu, starając się zorientować, która może być godzina. Po barwie nieba zgaduję, że zbliża się dzień, bo choć nad głową mam mrok północy, w kierunku wschodu niebo stopniowo się rozjaśnia, przechodząc w bladoniebieską kreskę widnokrzęgu.

Wiem jednak, że musi być bardzo wcześnie. Edmund nie śpi, wciąż trwa na posterunku na skraju obozu. Podchodzę do niego, nie dbając o zachowanie ciszy. Nie chciałabym ujrzyć wycelowanej w siebie strzelby. Wołam go po imieniu z dość dużej odległości:

- Edmundzie!

- Jeszcze wcześnie - Edmund spokojnie odwraca głowę. - Czemu panienska wstała?

Zatrzymuję się przy nim i siadam na kamieniu obok, tak że patrzymy sobie w oczy.

- Nie wiem. Obudziłam się i zobaczyłam, że Luisy nie ma w namiocie. Widziałeś ją?

- Nie - kręci głową. W jego wzroku jest nieklamane zdumienie. - Nic nie słyszałem.

Wpatruję się w ciemność lasu. Całkiem możliwe, że to intymna potrzeba zmusiła Luisę do oddalenia się. Nic nie mówię Edmundowi, żebyśmy oboje nie wpadli w zakłopotanie, choć myśl, że Luisa postąpiła tak samo jak Sonia, na dodatek po rozmowie na ten temat, budzi mój niepokój.

- Były jakieś problemy w nocy? - pytam.

- Nie, żadnych - wyjaśnia Edmund. - Słyszałem, że coś szura, ale na pewno nie było to ani duże, ani szybkie. Pewnie jedno z żyjących tu stworzeń.

- Jakie są szanse, że uciekniemy Wilkom?

Edmund nie odpowiada od razu. Wiem, że nie udzieli mi takiej odpowiedzi, jaką chętnie usłyszałabym. Za to na pewno będzie ona wynikała z namysłu i wliczeń.

- Pół na pół, tak mi się wydaje, głównie dlatego, że jesteśmy w lesie, a na dodatek zbliżamy się do morza. Małe strumyki i rzeczulki zmieniają się w duże rzeki. Co dzień wzrasta prawdopodobieństwo, że dojdziemy do jakiejś dużej wody. Jest tylko kilka spraw, które mnie martwią.

Odpycham od siebie lęk przed przeprawą przez bystrą, głęboką rzekę.

- Na przykład jakich?

- Skoro Samael wysłał za nami Sforę, mógł też wysłać kogoś innego. Być może Wilki nie są naszymi jedynymi przeciwnikami.

- Dobrze. Powiedziałeś: kilka spraw - ponaglam. - Jakie są inne?

Edmund wbija wzrok w ziemię, a potem patrzy mi prosto w twarz.

- Duża woda to błogosławieństwo albo przekleństwo. Może zatrzymać pościg Sfory, ale także stanowić przeszkodę dla nas. Nie to jednak jest najgorsze, o ile panienka domyśla się, do czego zmierzam.

Kiwam potakująco głową.

- Jeśli dojdziemy do rzeki, nie mamy wyboru - musimy spróbować ją przepłynąć, żeby zgubić Wilki. Czy nam się uda, okaże się dopiero wtedy, gdy będziemy gdzieś w połowie jej szerokości.

- Zgadza się. Wygląda na to, że nie mamy zbyt wielu możliwości, prawda? - Mówię dalej, nie czekając na potwierdzenie: - Po prostu musimy jechać naprzód i podjąć ryzyko, kiedy nadejdzie właściwy moment. Do tej pory czas i szczęście były po naszej stronie. Mam nadzieję, że tak będzie dalej.

- Oby panienka miała rację - Edmund najwyraźniej nie jest o tym przekonany.

Wstaję i otrzepuję ubranie.

- Nie słyszałam, żeby Luisa wróciła, ale wiem, gdzie może być. Spróbuję ją znaleźć. To niedaleko.

- A ja zacznę robić śniadanie - odpowiada Edmund. - Powinniśmy niedługo ruszać. - Jestem w połowie drogi między obozem a ścianą lasu, kiedy dobiega mnie ponownie jego głos: - Niech panienka nie odchodzi za daleko. Biegam szybko, ale gdyby przytrafiły się jakieś kłopoty, lepiej być w pobliżu.

Nie musi mi tłumaczyć. Zdaję sobie sprawę, że niebezpiecznie jest zniknąć mu z oczu. Wiem także, że mogłabym poczekać - Luisa w każdej chwili może wrócić sama. Lecz prawdę mówiąc, jestem ciekawa. W moim sercu rozbrzmiewają obawy Soni związane z lojalnością Luisy, mimo że staram się je lekceważyć; Ostatnio zachowanie Luisy rzeczywiście wydawało mi się dziwne, a choć nie chciałabym odgrywać roli szpiega, czuję się odpowiedzialna za to, żeby rozważyć każdy możliwy scenariusz.

Nawet taki, zgodnie z którym Luisa, wykorzystywana przez Dusze, sabotuje naszą misję.

Kiedy opuszczam obóz, otacza mnie głębsza ciemność. Wprawdzie dogasające ognisko i księżyc świecący nad polaną dają trochę światła, lecz ze wszystkich stron jestem otoczona drzewami. Wznoszą się ku niebu wysoko ponad moją głowę, mroczne mimo nadciągającego poranka.

Nietrudno jednak znaleźć małą ścieżkę, którą wypatrzyłyśmy z Sonią poprzedniego wieczoru zaraz po zatrzymaniu się na postój. Z oczywistych przyczyn stało się to naszym zwyczajem, że w każdym nowym obozie szukamy ustronnego miejsca, podczas gdy Edmund rozstawia namioty. Wzdłuż ścieżki rosną drzewa, dające nam osłonę podczas czynności niezbędnych w trakcie takiej podróży. Dróżka prowadzi zaś do małego strumyka, którego szum słyszę na długo przed dojściem do brzegu.

Nie chcę zdradzać swojego nadejścia, idę więc ostrożnie, wypatrując Luisy. Nie widzę jej nigdzie po drodze. Nie dostrzegam jej w zasadzie i potem, gdy docieram do polany nad strumieniem.

Przez dłuższą chwilę moje oczy przyzwyczajają się do jaśniejszego światła na polanie i wreszcie zauważam przyjaciółkę pochyloną nad brzegiem wody. Wmawiam sobie, że może po prostu się myje, przygotowując się do trudów dnia, ale przecież wiem, że jest zajęta zupełnie czymś innym.

Nie zamierzam przechodzić przez polanę, bo wtedy dojrzałyby mnie, nim zdołałabym zaobserwować, co robi. Przemykam się więc bliżej rzeczki wzdłuż linii drzew, cały czas starając się kryć. Na szczęście woda szumi tak, że zagłusza moje niezdarne kroki i trask łamanych gałązek, kiedy idę w kierunku brzegu strumienia. Stamtąd już lepiej widzę Luisę i dostrzegam, czym jest pochłonięta.

Wpatruje się w jedną z cynowych misek, z których jemy. Widzę, że jest w niej woda, i choć z miejsca, w którym stoję, nie zdołam dojrzeć nic więcej, natychmiast zdaję sobie sprawę, że z lustra wody Luisa chce odczytać przyszłość. W zasadzie nie jest to żadna rewelacja. Co prawda dawno temu zawarłyśmy umowę, że nie będziemy używać naszych umiejętności w celach niezwiązanych z prorocstwem, ale być może Luisa zdecydowała się spojrzeć w wodę, żeby sprawdzić, jak daleko są Wilki albo jakie trudności staną na naszej drodze.

Jej postępowanie wydaje mi się nieszkodliwe. Przynajmniej początkowo.

Dopiero potem, kiedy stoję, zastanawiając się nad czynem Luisy, dochodzę do wniosku, że coś jednak jest nie tak. Dociera to do mnie po chwili, a wtedy zdaję sobie sprawę, dlaczego się martwię.

Podstawowa zasada jest taka, że do tej pory nie podejmowałyśmy, i *nadal* nie podejmujemy, żadnych decyzji związanych z prorocstwem bez konsultowania się z innymi. A jednak Luisa chce odczytać przyszłość z lustra wody, wychodzi nocą z namiotu i ryzykuje samotny pobyt w lesie, chociaż wie, że ściga nas Sfora. Robi to, nie powiadamiając żadnej z nas ani słowem. Pojawia się więc pytanie: dlaczego się z tym kryje?

* * *

Jesteśmy w tak ponurych nastrojach, jak ponure jest niebo nad nami, kiedy pakujemy rzeczy, szykując się do kolejnego dnia w siodle.

Wślizgnąwszy się do namiotu, budzę Sonię, a zaraz potem wraca Luisa. Nie dziwi mnie, że swoją nieobecność usprawiedliwia potrzebami fizjologicznymi i tym, że nie chciała nas budzić. Jednak nawet gdy wychodzi zjeść śniadanie, nie informuję Soni o swojej porannej wycieczce i podglądaniu Luisy. Nie wiem czemu, bo przecież spośród wszystkich dziwnych rzeczy, jakie zdarzyły się w minionym roku, ten niespotykany przedtem brak otwartości między nami trzema jest najbardziej niepokojący.

Edmund popędza nas, żeby szybciej związać obóz. W jego nienaturalnie krótkich komendach wyczuwam nutę troski, ale kiedy chwyta za strzelbę, zaczynam się naprawdę martwić.

- Zostańcie tutaj - bez słowa odwraca się i znika w lesie.

Zaskoczony, stoimy w milczeniu, patrząc za nim. Nasza podróż nie trwa długo, ale nawet podczas tych kilku dni ustalił się pewien porządek czynności: rano budzimy się, ubieramy, szykujemy jak najszybciej do wyjazdu, pakujemy nasze osobiste bagaże i prędko jemy śniadanie, by zaraz wsiąść na konie i ruszyć w drogę. W tym harmonogramie nie ma miejsca na odchodzenie Edmunda do lasu ze strzelbą.

- Co on robi? - pyta Sonia.

- Nie mam pojęcia - kręcę głową. - Czymkolwiek jest zajęty, jestem pewna, że to absolutnie konieczne.

Sonia i Luisa stoją jak zakłęte, z oczyma wbitymi w punkt, gdzie Edmund zniknął w gęstwinie. Ja, jak zwykle, nie mam tyle cierpliwości, żeby stać czy siedzieć. Przemierzam polanę, zastanawiając się, co on robi i jak długo powinniśmy czekać, nim zaczniemy go szukać.

Na to pytanie na szczęście nie muszę sobie odpowiadać, ponieważ po chwili Edmund powraca na polanę. Tym razem w pośpiechu.

- Wsiadajcie. I to już! - Idzie do swojego konia, nie patrząc na nas. W jednej chwili siedzi na grzbiecie, gotowy do odjazdu.

O nic nie pytam. Edmund nie spieszyłby się tak bardzo ani nie popędzałby nas, gdyby nie miał ważnych powodów.

Luisa jednak nie jest aż tak wyrozumiała.

- O co chodzi, Edmundzie? Czy coś się stało? - dopytuje.

- Z całym szacunkiem, panno Torelli - cedzi Edmund przez zaciśnięte zęby - ale czas na pytania będzie później. Teraz pora wsiadać na konia.

Luisa bierze się pod boki.

- Chyba mam prawo wiedzieć, dlaczego tak nagle opuszczamy obóz?

Edmund wzdycha, przeciera ręką twarz.

- Chodzi o to, że Sfora jest całkiem blisko, a poza tym jest jeszcze coś...

Głowa jakby sama mi się podnosi.

- O czym ty mówisz? Co jeszcze?

- Nie wiem co - powoli odwraca się w stronę lasu - ani kto. Ale ktokolwiek to jest, jedzie konno. I śledzi nas.

Rozdział 12

To długi, milczący poranek - tylko końskie kopyta wydeptują ścieżkę przecinającą las. Pędzimy między drzewami, które czasem rosną tak gęsto, że zdaje się, iż nie przejedziemy. Kulę się przy szyi Sargenta, a wiatr rzuca mi jego grzywę w twarz, podczas gdy moje włosy ciągle wplątują się w nisko wiszące gałęzie.

Podczas tej porannej jazdy nie da się robić nic innego, jak tylko myśleć. A jest o czym: o mojej siostrze i naszym spotkaniu na Równinie, o moim strachu o Jamesa, o Soni i Luisie i zwiększającym się pomiędzy nami dystansie, o dalszej drodze na Altus i pościgu diabelskich Wilków.

Jednak moje myśli powracają nieustannie do Luisy.

Chciałabym nie dochodzić do wniosków, które krystalizują się w mojej głowie, ale obrazy, jakie się w niej pojawiają, utrudniają mi to. Widzę twarz Luisy zastygłą w nieznanym mi dotąd, pełnym złości wyrazie - tak wygląda prawie co dzień, odkąd opuściliśmy Londyn. Widzę, jak wraca do namiotu po swoich częstych, kiepsko uzasadnionych wypadach. Widzę wreszcie, jak klęczy nad strumieniem w blasku poranka, w tajemnicy przed nami odczytując przyszłość z lustra wody.

Oczywiście zdawałam sobie sprawę, że tak może być, że Dusze będą zamierzały nas poróżnić i podejmą taką próbę. Nie przypuszczałam jednak, że dokona się to w ten sposób. Że święte dla mnie więzi między mną, Sonią i Luisą, między dwoma Kluczami i Bramą, mogą rozpadać się tak podstępnie, tak niedostrzegalnie. Najwyraźniej byłam naiwna.

Nadejdzie pora, kiedy trzeba będzie zająć się zdradą Luisy; choć mogła zostać do niej zmuszona wbrew własnej woli. Lecz teraz, kiedy mkniemy przez las prowadzący nas w stronę Altus, nie mogę sobie pozwolić na wprowadzenie niepokoju. Od tej pory będę po prostu zakładać, że cokolwiek wie Luisa, wiedzą to również Dusze. A to oznacza, że należy ukrywać przed nią jak najwięcej.

Robimy tylko jeden postój, żeby nakarmić i napoić konie. W powietrzu unosi się nieufność, obecna niczym żywa, oddychająca istota. Ja kręcę się w miejscu, Edmund zajmuje się końmi, a Sonia i Luisa odpoczywają, oparte o drzewa rosnące nad strumieniem. Nie rozmawiamy - czekamy tylko, aż konie ochłoną na tyle, żeby można było jechać dalej. Nie padają żadne pytania o plany na resztę dnia albo o odległość od morza, którego bliskość

oznaczałaby; że i Altus jest niedaleko.

Nerwy mam napięte jak postronki, narasta we mnie lęk. Zaczęłam go czuć podczas porannej jazdy. Nie ma on nic wspólnego z Luisą - wywołany jest obecnością kogoś, kto goni nas przez las. Nauczyłam się, że nie wolno lekceważyć takich uczuć ani na Równinie, ani w naszym świecie. Powodują je najczęściej moje wyostrzone zmysły i umiejętności. Wiem na przykład, że to nieustanne, niepokojące szarpanie nerwów to ostrzeżenie przed szybko nadciągającą Sforą. W jakimś ciemnym zakamarku umysłu czuję nieomal oddech Wilków, kiedy tak biegną w naszą stronę.

Edmund podchodzi wreszcie do swojego wierzchowca i prosi, żebyśmy zrobiły to samo. Lecz ja nie potrafię natychmiast usiąść w siodle. Zbliżam się do Edmunda i zniżam głos, tak aby moje przyjaciółki, przygotowując się do odjazdu, nic nie usłyszały.

- Dogonią nas, tak?

- Dzisiaj - potwierdza z głębokim westchnieniem Edmund.

- Jeżeli nie dotrzemy do rzeki.

- A dotrzemy? - pytam szybko, bo mamy mało czasu: tylko tyle, żeby Sonia i Luisa usadowiły się na koniach.

Edmund rozgląda się dla pewności, że nas nie usłyszą, a potem i tak zniża głos.

- Mam ze sobą mapę. Jest stara, ale las raczej nie zmienił się przez ostatnie sto lat.

Jestem zdziwiona. Wcześniej Edmund nic nie wspominał o mapie.

- To ona pomaga ci nas prowadzić?

- Tak, bo moja pamięć już nie ta, panienko. Nie chciałem nikomu mówić... - rzuca spojrzenie w kierunku Soni i Luisy - nie chciałem, żeby ktoś inny zapoznał się z mapą. Położenie Altus zawsze było otoczone największą tajemnicą. Mało kto w ogóle wie o istnieniu wyspy, a jeszcze mniej osób wie, jak tam dotrzeć. Ojciec panienki oddał mi tę mapę przed śmiercią, żebym mógł panienkę zawieźć na Altus, gdyby potrzebne było spokojne schronienie. Są jeszcze inne... zabezpieczenia przed wizytami nieproszonych gości, lecz nie chciałbym doprowadzić nieprzyjaciół do samych bram.

Nie mam prawa osądzać Edmunda ani jego wysiłków zachowania tajemnicy. Sama też mam swoje sekrety.

- Rozumiem. Co mówi mapa?

- Na początku jechaliśmy w kierunku Altus najkrótszą możliwą drogą, ale kiedy zdałem sobie sprawę, że jesteśmy ścigani przez Sforę, wybrałem bardziej okrężną trasę.

- Ale... skoro tropią nas Wilki, to chyba lepiej byłoby dotrzeć na Altus *wcześniej* niż później?

- Można i tak na to patrzeć - zgadza się Edmund - lecz nawet gdybyśmy jechali dobrym tempem, zawsze istnieje prawdopodobieństwo, że nas dogonią. Tymczasem mapa przedstawia jakąś dużą wodę, bardzo szeroką rzekę, która może nam pomóc je zgubić na dobre. Leży tylko trochę w bok od naszej trasy, niedaleko morza, gdzie przy brzegu ma czekać na nas łódź. Jeżeli zmylimy Sforę przy rzece, a potem popędzimy prosto nad morze, uda się uniknąć niebezpieczeństwa. Przynajmniej ze strony Wilków.

- Czy ta rzeka jest głęboka?

Edmund wzdycha i zawraca konia, patrząc na mnie przez ramię.

- W tym cały problem. Dowiemy się dopiero, gdy do niej dojedziemy. Na mapie wygląda na dużą.

Po chwili wykrzykuje polecenia w kierunku całej naszej kawalkady, ja tymczasem zajmuję swoje ustalone miejsce w szyku. Staram się nie myśleć za dużo o wyjaśnieniach Edmunda. Skąd można wiedzieć, czy prześcigniemy Sforę, czy rzeka będzie dość głęboka, żeby powstrzymać Wilki i kto jedzie za nami konno przez ciemną puszcę? Jedyne sensowne rozwiązanie to starać się oszczędzać energię, psychiczną i każdą inną, by później podjąć sprawy, które rozpoczęłam.

Na razie mogę tylko jechać przed siebie.

Chciałabym myśleć, że prześcigniemy Wilki albo że są tak daleko, iż dogonienie nas jest mało prawdopodobne, ale to przecież nieprawda. Wiem, że są coraz bliżej, chociaż jedziemy tak szybko, iż nie potrafię sobie wyobrazić, jak pędzi Sfora, skoro porusza się jeszcze prędzej.

Wiem również, że Edmund czuje to samo, bo w chwilę po opuszczeniu naszego miejsca postoju spina konia do bardziej energicznego biegu. Słyszę, jak na niego krzyczy i tulę się jeszcze niżej do szyi Sargenta, prosząc go w myślach, by mknął, ile sił w nogach, chociaż jego utrudzony oddech mówi mi, że już wcześniej wymagałam zbyt wiele.

Nie było czasu, żeby zerknąć na mapę Edmunda. Nie zdążyłam nawet spytać go, jak daleko jest do rzeki, którą uważa za nasze wybawienie. Jedziemy głębiej i głębiej w las, a niebo ciemnieje wraz z nadejściem wieczoru. Mam ogromną nadzieję, że rzeka jest blisko i zanoszę ciche błagania o pomoc - do Boga, do Sióstr, do Obserwatorów, do kogokolwiek, kto może mnie usłyszeć. Ale to nie wystarcza. Parę chwil później, tuż po mojej pospiesznej modlitwie, słyszę nadciągające za nami Wilki. Te stworzenia przemieszczające się przez las nie są zwykłymi zwierzętami. Słyszę ich przeciągłe wycie i natychmiast zdaję sobie sprawę, że spotkanie ze zwyczajnym wilkiem czy psem byłoby prawdziwym błogosławieństwem w porównaniu z tym, co nas czeka. Ich przerażające głosy nie są głosami zwierząt.

Są nie z tego świata.

Nagle słyszę trzask. Goniące nas bestie nie poruszają się z lekką gracją mieszkańców lasu. Przedzierają się przez gęstwiny z dziką siłą, samą energią. Ich łapy niszczą wszystko na drodze. Uderzają o ziemię tak głośno, jakby niebo pękało na pół.

Luisa i Sonia nie oglądają się za siebie. Skoncentrowane, pędzą za Edmundem tym samym tempem. Wbijam wzrok w ich plecy i przebiegam myślą przez krótką listę możliwości ucieczki. Nagle rozpoznaję znajomy dźwięk - szum wody. Ścieżka przed nami rozszerza się, najpierw lekko, potem bardzo znacznie. Dojeżdżamy do rzeki.

- Nie zatrzymuj się, błagam, nie zatrzymuj - szepczę do ucha Sargenta. Tak duża rzeka, jak opisywał Edmund, zatrzyma każdego konia, a na to nie możemy sobie pozwolić.

Pędem mijamy jakąś polanę i oto pojawia się, połyskująca w świetle wieczoru jak zielony klejnot. Zostawiamy las za sobą, a Wilki są już tak blisko, że wyczuwam ich zapach. To dziwaczna mieszanina woni futra, potu i smrodu zgnilizny.

Koń Edmunda wjeżdża w wodę bez wahania, a za nim koń Luisy. Jednak wierzchowiec Soni zwalnia, zatrzymując się na samym skraju rzeki. Słyszę, jak Sonia zachęca go, żeby ruszył, błaga, jakby mógł zrozumieć jej słowa. Jednak na próżno, wielki siwek uparcie stoi na brzegu.

Mam tylko jeden moment - taki, kiedy wszystko rozgrywa się jednocześnie zbyt wolno i zbyt szybko - żeby podjąć właściwą decyzję. Nie jest trudna, bo i możliwości pozostało niewiele.

Ściągam wodze i zatrzymuję konia, a potem odwracam się w stronę Wilków.

Na początku polana jest pusta, lecz słyszę, że nadchodzą. Wykorzystuję tę chwilę, żeby zdjąć z pleców łuk i wyciągnąć strzałę z kołczanu. Przymierzam się do strzału i naciągam cięciwę - to już weszło mi w nawyk, mimo że ćwiczenia w Whitney Grove nie były w stanie przygotować mnie na spotkanie z bestią, która pierwsza wypada z zarośli.

Nie wygląda tak, jak się spodziewałam. Nie dostrzegam czarnego futra i czerwonych oczu, jakie moim zdaniem powinien mieć diabelski Wilk. Wcale nie. Tylko uszy żarzą się purpurowym blaskiem, a jasne futro skrzy się jak kryształ.

To niesamowite, że bestia - prawie tak wielka jak Sargent - jest pokryta sierścią białą jak śnieg. Nieodparta pokusa pogłaskania tego połyskliwego futra chyba nawet pokonałaby mój strach, gdyby nie szmaragdowe ślepie. Oczy koloru moich oczu. Jak u mojej matki i siostry. Te oczy przemawiają do mnie, w przerażający sposób przypominają, że choć jesteśmy po przeciwnych stronach, przepowiednia nieodwołalnie wiąże nas ze sobą.

Słyszę następne bestie wyjące w lesie, ciągnące za swoim przewodnikiem. Nie wiem, ile ich jest, ale jedyne, co mogę zrobić, to zabić ich jak najwięcej i dać moim towarzyszom czas

na pokonanie rzeki.

Niełatwo jest wycelować. Są szybsze niż jakiegokolwiek znane mi stworzenie, a ich prawie przejrzysta sierść ginie w podnoszącej się mgle. Nie tracę ich z oczu tylko dzięki żarzącym się uszom i ślepiom.

Mierząc w okolicę serca bestii, staram się obliczyć rytm jej biegu. Następnie naciągam cięciwę i wypuszczam strzałę. Płyne w powietrzu, przemierzając polanę tak łagodnym łukiem, że jestem niemal zdziwiona, gdy nagle trafia Wilka, który pada na ziemię.

Napinam łuk do następnego strzału, kiedy kątem oka dostrzegam jakiś ruch - to drugi śnieżnobiały Wilk wypada z lasu po prawej stronie. Biegnie przez polanę, a mój umysł analizuje sytuację z prędkością światła. Oceniam, czy zdołam ustrzelić i tę sztukę. Uspokajając rękę, skupiam się na bestii. Już jestem pewna, że moja strzała dosięgnie Wilka, nim on dosięgnie mnie, kiedy kolejny wyskakuje na polanę po lewej stronie.

A za tymi dwoma biegnie ich więcej i więcej, i więcej... Słyszę, jak wyją w lesie.

Ręce mi się trzęsą, ale przyjmuję odpowiednią postawę... myślę, myślę, staram się podjąć decyzję. Nagle po lewej stronie słyszę huk, a Wilk, który przed chwilą pojawił się na polanie, natychmiast pada. Powietrze wypełnia się zapachem prochu. Nie odwracając oczu od polany, uświadamiam sobie, że to Edmund wspomaga mnie, używając strzelby.

- Lia! Nie ma czasu! Wjedź do wody *natychmiast!*

Słyszając wołanie Edmunda, nie jestem już tak zdecydowana. Mocno trzymam w ręce łuk, ale zwracam Sargenta ku rzece i wjeżdżam w wodę najszybciej, jak potrafię. Obok mnie pojawia się Edmund, zmierzając ku środkowemu nurtowi, ale koń Soni nie chce oddalić się od brzegu. Przyjaciółka szarpie lejce, bezskutecznie starając się nakłonić go, żeby posuwał się głębiej. Tymczasem koń tańczy po kamieniach, a na polecenia Soni reaguje, podnosząc pysk i kręcąc głową.

Nie ma czasu do namysłu. Ani chwili. Szybko podjeżdżam od tyłu i wyciągam rękę. Mijając w biegu konia Soni, uderzam go z całej siły w bok. Wreszcie jego kopyta zaczynają stąpać po dnie rzeki. Bardziej to czuję niż słyszę, bo jedyny dźwięk, jaki do mnie dociera, to wycie Sfory. Wilki są tak blisko, że wydaje mi się, iż czuję na plecach ich oddech. Popędzam Sargenta w głąb rzeki, modląc się, żeby nie zechciał się zatrzymać, odwrócić ani wyjść z powrotem na brzeg.

Lecz to nie zachowanie konia okazuje się powodem do zmartwień. Sargent idzie chętnie, na pewno da radę dojść do połowy. To mnie nagle ogarnia strach - unosi się od stóp, już zupełnie zanurzonych w wodzie, i przechodzi wyżej przez uda i brzuch aż do piersi, gdzie serce bije mi szaleńczym rytmem, tak głośno, że przestaję słyszeć Wilki. Mój oddech jest

szybki i płytki, ale nie dopada mnie chęć ucieczki z wody. Wprost przeciwnie, ściągam wodze i zmuszam Sargenta do zatrzymania się tak gwałtownie, że prawie chce się wycofać, podczas gdy wierzchołek Soni mija nas, pokonując fale.

Siedzę jak przygwożdżona na grzbiecie konia, a on, zgodnie z moim poleceniem, stoi nieruchomo na dnie. Strach sprawił, że ogarnia mnie niemoc i bezwład. Wolę zginąć rozszarpana przez Wilki, niż walczyć z rzeką.

- Trzeba iść naprzód.

Na dźwięk tego głosu odwracam się. To Edmund jest znowu przy moim boku. Jednocześnie żałuję, że nie przedostał się jeszcze na drugi brzeg, i kocham go za to, że zawrócił po mnie.

Mam tylko chwilę, żeby popatrzeć mu w oczy, bo moją uwagę przyciąga jakiś nowy hałas nad rzeką. To nie Sfora, to coś innego, tuż za nimi. Jakaś postać w pelerynie, na czarnym koniu. Jedzie za watahą Wilków, jakby to były zwyczajne psy myśliwskie.

Już samo to jest zastanawiające. A kiedy postać ściąga z głowy kaptur, zamiast odpowiedzi mam jeszcze więcej pytań.

Rozdział 13

Usiłuję obserwować zbyt wiele rzeczy jednocześnie: to, jak Wilki zaczynają wchodzić do wody z wyraźnym ociąganiem; to, że Edmund stoi obok mnie i nie chce ruszać za Sonią i Luisą; wreszcie to, że na brzegu za resztą Sfory stoi spokojnie Dimitri Markov na swoim rumaku.

Żaden z tych faktów nie zachęca mnie, by posuwać się naprzód.

- Trzeba jechać, Lia - głos Edmunda jest łagodny, ale stanowczy. Mimo strachu zauważam, że po raz pierwszy od wielu, wielu lat, odkąd go znam, zwrócił się do mnie po imieniu. - One czują twój strach. Idą po ciebie. Strzelba nie wystarczy, jest ich za dużo, a ty jesteś zbyt daleko od drugiego brzegu, żeby się zatrzymały.

Gdzieś w głębi umysłu wiem, że Edmund mówi rozsądnie, jednak nie ruszam się. Wilki ostrożnie wkraczają do wody, najpierw zamaczają łapy, a potem idą dalej, choć powoli. W końcu stoją w wodzie po brzuchy, zaledwie kilka metrów ode mnie i Edmunda.

A ja ani drgnę, nie mogę zdobyć się na to, żeby spiąć Sargenta, mimo że jego mięśnie aż dygoczą z chęci ucieczki. Zdaję sobie sprawę, że koń wyczuwa nadciągające zagrożenie równie mocno jak ja.

Dopiero kiedy Dimitri rusza w kierunku rzeki, w moją stronę, otrząsam się z otępienia, lecz nadal stoję w miejscu. Nie tylko ja go obserwuję. Robią to również Wilki, zwracając swe imponująco białe pyski w kierunku nowego aktora, jaki wkroczył na scenę dramatu. Dimitri zatrzymuje je wzrokiem i przez moment jestem przekonana, że istnieje pomiędzy nimi jakieś ciche porozumienie.

Wilki są całe spięte, kiedy Dimitri na swoim smukłym koniu wjeżdża w płytką wodę i kieruje się ku nam. Znieruchomiałe, tylko kręcą głowami to w jedną, to w drugą stronę, na przemian przypatrując się mnie i posuwającemu się naprzód Dimitriemu. Wygląda na to, że go znają i darzą jakimś szczególnym szacunkiem. Kiedy jednak patrzą na mnie, w ich oczach pojawia się chęć przemierzenia tej niewielkiej odległości między nami. Chciałyby mnie dopaść, skoro jest okazja.

To pragnienie pozostaje jednak niezaspokojone. Mogą tylko przyglądać się, jak koń Dimitriego zrównuje się z moim. Niebo ciemnieje, nadciąga wieczór, a prąd rzeki staje się szybszy. Czuję, jak Sargent stara się utrzymać równowagę na kamienistym dnie, a Dimitri

bierze lejce z moich skostniałych dłoni. Patrzy mi w oczy, a wtedy mam wrażenie, że znamy się od zawsze.

- Wszystko w porządku. Zaufaj mi, a przeprowadzę cię na drugi brzeg - w jego głosie jest taka czułość, jakby od czasu ostatniego spotkania na kolacji wydanej przez Towarzystwo zaszło między nami coś niewypowiedziane bliskiego, a przecież od tamtej pory nie widzieliśmy się.

- Boję się... boję się - słowa same płyną mi z ust, nie jestem w stanie ich kontrolować. Mam nadzieję, że mówię ciszej, niż mi się wydaje. Że Dimitri nie słyszy strachu w moim głosie, bo zagłusza go szum rzeki.

- Wiem - kiwa głową. Wbija we mnie swój płonący wzrok. Jest w nim obietnica. - Nie pozwolę, żeby stało ci się coś złego.

Z trudem przelękam ślinę. Mam przeczucie, że Dimitri prędzej sam zginie, niż dopuści, by stała mi się krzywda. Nie wiem tylko, dlaczego miałby się tak poświęcać, skoro w zasadzie się nie znamy. Kiwam jednak głową, nic nie mówiąc, i mocno łapię dłonią krawędź siodła. Dimitri kładzie rękę na moim łuku.

- Daj, pomogę ci.

Ze zdziwieniem zauważam, że nadal ściskam łuk. Ten chwyt to nawyk. Palce mam tak zdrętwiałe z zimna, że Dimitri z trudem, dopiero po chwili, wyjmuję broń z mojej ręki. Unosi łuk ponad moją głowę i delikatnie zakłada mi go na plecy.

- Proszę bardzo. Teraz chwyć się mocno. - Przytrzymuje moją rękę przy krawędzi siodła, dopóki palce same się na niej nie zacisną.

W takiej chwili nie przeszkadza mi, że zwraca się do mnie jak do dziecka.

Oczy Dimitriego napotykają wzrok Edmunda, który skinieniem głowy zachęca, żebyśmy ruszali przed nim. Ale Dimitri się nie zgadza.

- Ty musisz jechać przodem. W przeciwnym razie nie będę mógł cię chronić. - Dimitri mówi dalej, ponieważ Edmund się waha: - Masz moje słowo, że Lia będzie bezpieczna.

Słyszając, że Dimitri wymienia moje imię, Edmund pochyla głowę i popędza konia, żeby wchodził głębiej do rzeki. Dimitri tymczasem bierze wodze Sargenta i przyciąga go do swojego wierzchowca.

- Trzymaj się - to jego ostatnie słowa, nim podąża za Edmundem na głęboką wodę.

Najpierw jego silne ręce muszą ciągnąć Sargenta, jednak kiedy koń czuje, że coraz trudniej jest opierać się prądowi rzeki, poddaje się Dimitriemu. Sargent wyczuwalnie drży, starając się utrzymać równowagę i stąpając po kamieniach na dnie.

Trzymam się siodła z całych sił. Palce mi zeszywniały, ale prawie tego nie zauważam.

Staram się skupić na poruszającej się przed nami postaci Edmunda, a gdy wybiegam wzrokiem dalej, widzę, że Sonia i Luisa są już po drugiej stronie i czekają tam na swoich koniach. Mój nastrój się poprawia, ponieważ dociera do mnie, że im się udało.

A skoro tak, powiedzcie się i nam.

Lecz nie ma czasu, by cieszyć się nadzieją. Sargent nagle chwieje się, starając się odzyskać równowagę po tym, jak stracił ją na śliskim dnie. Zjeżdżam mu z grzbietu. Desperacko trzymam się siodła, ale kiedy fale sięgają mi ud, ogarnia mnie panika. Nie sama woda budzi moje przerażenie, ale jej szum - to on może mi odebrać resztki rozsądku. Ten dziki szum i szalony pęd po kamienistym dnie... To odgłosy śmierci mojego brata. Dźwięki towarzyszące mi wtedy, gdy sama o mało nie utonęłam, daremnie próbując go uratować.

Powstrzymuję się, żeby nie krzyczeć. Patrzę w oczy Dimitriego, ciemne jak niebo nad nami, silne jak stal. On się nie boi. W jego niezbitą pewności, że przeprowadzi mnie na drugi brzeg, odnajduję własną wiarę. Zacieśniam chwyt.

- Chodź, Sargent. Już prawie przeszliśmy. Nie zawieź mnie teraz. Nie zawodzi. Chyba rozumie, co mówię, bo stawia nogi pewniej i prostuje się, brnąc za koniem Dimitriego, jakby nigdy nie dopuszczał możliwości porażki. Po paru chwilach woda jest już płytsza, pojawiają się najpierw moje uda w przemoczonych wełnianych bryczesach, potem łydki. Wkrótce zostawiamy głębinę za sobą i widać nawet moje stopy.

Dimitri wyprowadza Sargenta z wody i wiedzie go w stronę Soni i Luisy, czekających na nas parę kroków od brzegu.

- Wielkie nieba, Lia! - Luisa szybko zsiada z konia i rzuca się na mnie. Jej koszula i spodnie są tak mokre jak moje własne, oblepiające ciało ubrania. - Wszystko dobrze? Tak się bałam!

Sonia podjeżdża na koniu w moją stronę, bierze w swoje dłonie moją lodowatą rękę.

- Nie byłam pewna, czy ci się uda!

W tym momencie opadają wszystkie podejrzenia, jakie snułam przez ostatnie dni. Znowu jesteśmy trzema przyjaciółkami, tak jak w chwili, gdy pochłonęły nas mroczne tajemnice proroctwa.

Edmund podjeżdża do nas truchtem. Patrzy na Dimitriego z pewnym rodzajem podziwu.

- Spodziewałem się ciebie dopiero za dwa dni, ale muszę powiedzieć, że cieszę się, iż dogoniłeś nas wcześniej.

Jestem tak skołowana, że z trudem docierają do mnie słowa Edmunda, jak również fakt, że zna Dimitriego i spodziewał się jego przyjazdu. Nagle w ciszy rozlega się jakieś stukanie. Początkowo nie domyślałam się nawet, że dochodzi z moich ust. Wkrótce szczękam zębami tak

głośno, że dźwięku nie tłumi nawet szum rzeki.

- Zmarzła, jest w szoku - odzywa się Dimitri.

- Oddalmy się od brzegu - proponuje Edmund. Jego spojrzenie przesuwają się w stronę Wilków, które wciąż stoją w wodzie, jakby mimo wszystko chciały się na nas rzucić. - Ten widok mi się nie podoba.

Dimitri podąża oczami za wzrokiem Edmunda, a potem patrzy na nas.

- Nie będą nas już gonić, co nie znaczy, że nie ma innych niebezpieczeństw. Najrozsądniej byłoby rozbić na noc obóz i przegrupować się.

Edmund wyjeżdża na czoło kawalkady. Ustawiamy się rzędem za nim, jak to mamy w zwyczaju, a Dimitri nadal prowadzi Sargenta za lejce. Nie mam na tyle sił, żeby stwierdzić, że sama dam sobie radę z koniem. Uczciwie mówiąc, z ulgą przyjmuję fakt, że przez pewien czas ktoś będzie mnie prowadził.

Niedaleko od brzegu znowu zaczyna się las. Po wejściu w jego ciemną głąb, ośmielam się spojrzeć za siebie. Ponad ramieniem Edmunda dostrzegam, że Wilki wciąż stoją w wodzie, tam, gdzie je zostawiliśmy. Ich zielone oczy spotykają mój wzrok, nawet ponad tak szeroką, rwącą rzeką, nawet poprzez szary zmierzch. To ostatnia rzecz, jaką widzę, nim ponownie zanurzam się w las.

* * *

- Wypij to - Dimitri podaje mi kubek. Dotrzymuje mi towarzystwa, podczas gdy pozostali przebierają się w suchą odzież.

Wysuwam dłoń spod koca, którym jestem owinięta, i biorę kubek z jego ręki.

- Dziękuję.

Herbata jest paskudna, pełna fusów, a jednocześnie słaba. W ciągu ostatnich dni zdążyłam się przyzwyczaić do tego napoju, a po przeprawie przez zimną rzekę i szoku wywołanym spotkaniem ze Sforą prawie nie zauważam, że jest bardzo gorzka i gorąca. Sączę płyn, trzymając kubek w obydwu przemarzniętych dłoniach, które staram się rozgrzać.

Dimitri siada obok mnie na kłodzie drewna i wyciąga ręce w stronę ogniska, które rozpalili Edmund wkrótce po tym, jak wybraliśmy miejsce na postój.

- Dobrze się czujesz, Lia? - W jego ustach moje imię brzmi dobrze i naturalnie.

- Chyba tak. Tylko bardzo zmarzłam. - Łykam herbatę, bezskutecznie starając się zapomnieć o fali paniki, jaka owładnęła mną podczas przeprawy. - Nie wiem, co się stało. Po prostu... nie mogłam się ruszyć.

- Lia.

Nie chcę się odwracać na dźwięk swojego imienia, ale moje oczy nieubłaganie spotykają się z oczyma Dimitriego. W jego głosie brzmi nakaz, którego nie potrafię zlekceważyć, chociaż jest wyrażony tak delikatnie, jak delikatna jest mgiełka, którą zaciąga się las z nadejściem nocy.

- Wiem, co się działo - ciągnie Dimitri - i nie mam ci tego za złe.

Jego wzrok wyraża zrozumienie. To mnie wytrąca z równowagi, a nawet budzi mój opór. Stawiam kubek obok siebie na ziemi.

- Co ty w zasadzie o mnie wiesz? I skąd to wiesz?

Dimitri przybiera łagodny wyraz twarzy.

- Wiem o twoim bracie, że utonął w rzece. I że ty przy tym byłaś.

Oczy boleśnie wypełniają mi się łzami. Zrywam się na równe nogi i odchodzę na skraj obozu, żeby się uspokoić. Kiedy dochodzę do wniosku, że już dam radę mówić bez drżenia w głosie, wracam do Dimitriego. Cała złość i frustracja ostatnich tygodni - nie, nie tygodni, ostatnich *miesięcy* - uwalnia się z każdego zakamarka mojego ciała.

- Co ty możesz wiedzieć o moim bracie? Co możesz wiedzieć o jego śmierci i moim w niej udziale? - Nie jestem w stanie powstrzymać goryczy płynącej z moich ust. Nie wiem, ile pytań zdążyłam już zadać, ale przecież nie chodzi mi o to, żeby uzyskać odpowiedź. - Nic o mnie nie wiesz! Nic! I nie masz prawa! Nie masz prawa mówić o moim bracie!

Kiedy sama wspominam Henry'ego, złość nagle wyparowuje. Znów muszę walczyć ze smutkiem, z wszechogarniającą, pochłaniającą mnie rozpaczą, która nieomal zepchnęła mnie z urwiska w Birchwood, nim zdecydowałam się wyjechać do Londynu. Teraz mogę tylko stać przed Dimitrim, podtrzymując otulający mnie koc i starając się zapanować nad szybkim, ciężkim oddechem po tej gwałtownej przemowie.

Dimitri wstaje i podchodzi do mnie. Zatrzymuje się bardzo blisko. Zbyt blisko.

Jego słowa, kiedy wreszcie je wymawia, zabarwione są delikatnością, - Wiem więcej, niż przypuszczasz. O proroctwie. O twoim życiu, zanim pojawiłaś się w Londynie. O tobie, Lia.

Przez chwilę wydaje mi się, że zatonę w jego oczach, że będę zapadać się w ich głębieć coraz bardziej i bardziej, tak długo, aż nie będę chciała wrócić. Ale wtedy słyszę echo słów Dimitriego: *Wiem więcej, niż przypuszczasz. O proroctwie...*

Proroctwo. A więc wie o proroctwie.

- Poczekaj - robię krok w tył. Wciąż z trudem łapię oddech, choć tym razem mam o wiele więcej powodów niż tylko złość. - Skąd wiesz o przepowiedni? Kim *ty* właściwie jesteś?

Rozdział 14

Dimitri przeczesuje palcami swoje ciemne włosy. Przez chwilę wygląda nieomal jak chłopiec. Z poważnym wyrazem twarzy wskazuje pień leżący u naszych stóp.

- Chyba powinnaś usiąść.

- Chciałabym się dowiedzieć, kim jesteś, zanim usiądę, o ile ci to nie przeszkadza - krzyżuję ręce na piersiach.

Dimitri zaczyna się cicho śmiać, a ja rzucam mu spojrzenie, które powinno położyć kres jego radości. Niestety; nie skutkuje. Przynajmniej nie od razu. W końcu Dimitri wzdycha.

- Jeżeli zapewnię cię, że jestem po twojej stronie i zjawiłem się tu po to, żeby cię chronić, czy usiądziesz i pozwolisz mi coś wyjaśnić?

Sprawdzam, czy w jego twarzy lub oczach nie kryją się złe zamiary albo nieuczciwość, ale znajduję samą prawdę.

Zgadzam się więc i siadam. Przecież to w końcu Dimitri uratował mnie przed Sforą. I mimo że nie miałam okazji porozmawiać o tym z Edmundem, widzę, że obaj skądś się znają.

Dimitri siada obok mnie. Przez chwilę patrzy w ogień, potem zaczyna mówić.

- W ogóle nie powinno mnie tu być - wyjaśnia. - Żeby dołączyć do was, musiałem przekroczyć... pewne granice. Uświęcone przez prawo, takie, których nie należy przekraczać.

Jestem zmęczona i przemarznięta, ale próbuję zwalczyć narastającą frustrację.

- Dlaczego nie mówisz mi wszystkiego?

Dimitri podnosi oczy i napotyka mój wzrok.

- Jestem jednym z Obserwatorów.

- Obserwatorów? Myślałam, że ich zadaniem jest tworzyć i wcielać w życie prawa obowiązujące w Pozaświatach.

- Tak jest - potwierdza.

- Więc dlaczego jesteś tutaj? - wzruszam ramionami, nic nie rozumiejąc.

- Zostałem posłany, żeby cię pilnować, gdy będziesz szukała brakujących stronic Księgi oraz pozostałych Kluczy wspomnianych w proroctwie.

- Pilnować mnie? Masz na myśli ochronę?

Dimitri bierze głęboki oddech.

- Nie do końca.

Teraz to ja zaczynam się martwić.

- Może więc wytłumaczysz mi *do końca*, po co cię przysłano?

- Zostałem wysłany po to, aby pilnować, żebyś nie używała zakazanej magii w swoim dążeniu do rozwiązania postanowień proroctwa - mówi jednym tchem.

Już po sekundzie rozumiem, dlaczego wyjaśnienie tak prostej sprawy zajęło mu tyle czasu.

- Przysłali cię, żebyś mnie *szpiegował*?

Dimitri przynajmniej stara się wyglądać tak, jakby mu było przykro.

- Lia, musisz zrozumieć. Przepowiednia spełniała się już od wieków, ale nikt nigdy nie był tak blisko jej zamknięcia. Nigdy tak wiele istot w Pozaświatach nie wierzyło, że koniec już nadciąga, że Samael utraci swoją władzę tam, a może i tutaj. Obserwatorzy zawsze pragnęli, żeby proroctwo się wypełniło, żeby w Pozaświatach zapanował pokój. Jednak pewne sprawy wymknęły się spod kontroli. A ktoś musi je kontrolować, na tyle, na ile to możliwe. To nie przestało być zadaniem Obserwatorów.

Przychodzi mi na myśl moja siostra, a wtedy ogarnia mnie wściekłość.

- A kiedy ja jestem pod twoim nadzorem, co dzieje się z Alice? Kto jej pilnuje, gdy nic sobie nie robi z waszych praw?

- Próbowaliśmy ją upilnować - w jego głosie słychać poczucie klęski. - Nic to nie dało. Podczas gdy Dusze, przynajmniej formalnie, uznają zwierzchnictwo Obserwatorów, Alice tego nie robi. Nie szanuje praw obowiązujących w Pozaświatach, nie ukorzy się przed żadną władzą. Co gorsza, jest dość silna, żeby podróżować po Równinie kiedy chce i jednocześnie pozostać niezauważona. Przykro mi to przyznać, ale nie mamy nad nią kontroli. Wydaje mi się, że nawet Dusze mają kłopot z tym, żeby ją sobie podporządkować.

- Dlaczego więc współpracują z nią? Dlaczego w ogóle sprzymierzyły się z moją siostrą?

- Bo nie udało im się pozyskać ciebie. - Dimitri unosi ręce w geście rezygnacji. - W świecie materialnym Alice jest ich najpotężniejszym sojusznikiem - silniejszym nawet od wielu Dusz, które czekają tutaj na przyjście Samaela - ponieważ łączy ją więź z tobą. Mają nadzieję, że dzięki Alice nawiążą z tobą kontakt.

- Ale przecież... - kręcę głową - Alice nie ma nade mną władzy. Patrząc na wszystkie nasze zamiary i cele, jesteśmy wrogami.

Dimitri przechyla głowę.

- Jednak to prawda, że przychodzisz, kiedy Alice cię zawezwie? Że ona przychodzi, kiedy ty ją wzywasz? Czy nie jest prawdą, że widzisz ją w postaci zjawy, kiedy nocą podróżuje po Równinie? I że również ona widuje cię w nocy; choć dzielą was tysiące mil?

- Tak, ale nie takie było moje zamierzenie. Nie chciałam ukazywać się Alice ani przekraczać granic w Pozaświatach. Byłam niesamowicie zdziwiona, kiedy przerwała swój rytuał i dostrzegła mnie.

- Wiem. Wszyscy to wiemy. To Alice przekracza prawa Pozaświatów, wykorzystując swoje umiejętności Zaklinaczki. Ale nie o to chodzi, prawda? Przynajmniej nie w tej rozmowie. - Bierze mnie za rękę. - Chodzi o to, że istnieje pomiędzy wami pewna więź, Lia. Jesteście nierozzerwalnie związane jako siostry; w dodatku bliźniaczki, a poza tym łączy was prorocтво. Dusze to rozumieją. Nie mają pewności, czy Alice zdoła im pomóc zrealizować plan, by Samael wkroczył do materialnego świata poprzez Bramę, czyli ciebie, Lia. Z drugiej strony nie mogą sobie pozwolić na to, żeby zrezygnować z Alice. Do tej pory dużo im pomagała. Była ich oczami i uszami na tym świecie. A teraz doszła jeszcze kwestia zagubionych stron.

W ciepłe ogniska, czując na swojej dłoni lekki dotyk ręki Dimitriego, zapadłam w stan niemal apatyczny. Jednak na wspomnienie zaginionych stron mój umysł się ożywia.

- Stron? A co one mają wspólnego z moją siostrą, poza tym, że Alice nie chce, abym je znalazła?

- No cóż... - Dimitri wygląda na zaskoczonego. - Nikt do końca nie wie, o czym mówią te strony. Zostały ukryte dawno temu ze względów bezpieczeństwa. Wiadomo, że zawierają szczegóły dotyczące prorocтва, można więc zakładać, że obojętnie jakie są to informacje, odnoszą się zarówno do Strażniczki, jak i Bramy. Domyślam się, że Dusze wolą trwać w przymierzu z Alice, nawet jeśli jest niepokorna, niż ryzykować, tracąc z nią kontakt, bo być może będą potrzebować jej później.

W ciszy; jaka zapadła, wpatruję się w ogień, rozważając jego słowa. Pojawiają się nowe pytania. Przepływają przez moją świadomość jak kłęby dymu, ale trudno mi cokolwiek rozeznaczyć z powodu szoku, jakiego doznałam po spotkaniu z Wilkami. Do tego doszły wiadomości od Dimitriego...

Jest tylko jedna sprawa, która wychodzi na pierwszy plan. Ona jedyna wydobija się na powierzchnię z głębi moich pogmatwanych myśli.

- Powiedziałeś, że aby się tu znaleźć, musiałeś przekroczyć pewne granice. Granice, których nie wolno przejść. Co miałeś na myśli?

Dimitri wzdycha. Patrzę na niego - siedzi z twarzą zwróconą ku ognisku. Chyba teraz przyszła jego kolej, by szukać odpowiedzi pośród płomieni. Spogląda w dół na swoje dłonie i zaczyna mówić.

- Rolą Obserwatorów nie jest opowiadanie się po którejkolwiek ze stron. Mamy właśnie

obserwować was z daleka. Przez pewien czas udawało mi się to, gdy korzystałem z podróży po Równinie. Tylko że...

- Tak? - pytam ponagląco.

Dimitri podnosi powieki i patrzy na mnie swoimi ciemnymi oczami. W nocy mają kolor błyszczącego hebanu.

- Nie mogłem się powstrzymać, musiałem interweniować. Od pierwszej chwili, kiedy cię zobaczyłem, poczułem... coś.

Ze zdziwieniem unoszę brwi, przez chwilę rozbawiona tym, jak dobiera słowa.

- Coś?

Również kąciki jego ust wyginają się w uśmiechu.

- Coś pociąga mnie w tobie, Lia. Nie jestem pewien co, ale nie mogłem pozwolić, żebyś zmierzyła się z Wilkami sama, bez pomocy.

Moje serce chwiejnie kołysze się w piersi.

- Dziękuję za życzliwość. Ale jakie konsekwencje będziesz musiał ponieść za to, że złamałeś prawo? A może wasze prawa obowiązują tylko śmiertelników i istoty w Pozaświatach?

Twarz Dimitriego znów staje się poważna.

- Prawa obowiązują każdego, w tym mnie. W zasadzie mnie nawet bardziej. - Nie mam czasu prosić o wyjaśnienie tego problemu, bo Dimitri kontynuuje: - Na pewno czekają mnie konsekwencje, ale bez względu na to, jakie będą, łatwiej będzie mi je znieść niż myśl, że musiałas przemierzać ten las bez ochrony i zabezpieczenia.

W ustach Dimitriego ta deklaracja brzmi naturalnie, jakby nie było nic niezwykłego w tym, że troszczy się o mnie tak bardzo, choć zna mnie tak krótko. Najdziwniejsze jest jednak to, że równie naturalnie przyjmuję ją ja. Wydaje się oczywiste, że w lesie, w drodze na Altus, powinniśmy być razem. Wydaje się, że podobnie jak Edmund, i ja czekałam na przybycie Dimitriego.

* * *

Dwie godziny pozostałe do pory spoczynku upływają na jedzeniu, sprzątaniu i zajmowaniu się końmi. Mnie w ogóle nie wolno przyłączać się do pracy. Przy posiłku Dimitri przedstawia całej grupie powody swojego przyjazdu. Sonia i Luisa dowiadują się więc, że jest Obserwatorem przysłanym do pomocy Edmundowi w drodze na Altus. Dimitri nic jednak nie wspomina o uczuciach do mnie ani o sankcjach za udzielanie nam wsparcia.

Kiedy wchodzę do namiotu, pożegnawszy się z Edmundem i Dimitrim, w powietrzu

wyczuwam silne napięcie. Przywykłam już do trudnych chwil milczenia między Luisą i Sonią, między nami trzema, ale tym razem prawie czuję ciężar słów, jakie być może padły pod moją nieobecność lub, co jeszcze gorsze, pozostały niewypowiedziane.

Jednak nawet nasze skrępowanie, jakie pojawiło się w ostatnich dniach, ustępuje miejsca ciekawości wywołanej nieoczekiwanym pojawieniem się Dimitriego.

Sonia odzywa się niezbyt cichym głosem:

- Czy to jest ten mężczyzna poznany na kolacji Towarzystwa?

- Tak - z łatwością unikam jej wzroku, przygotowując się do spania.

- Zaraz, zaraz - wtrąca się Luisa. - Nie chcesz chyba powiedzieć, że poznałaś Dimitriego wcześniej niż dzisiaj? - Mówi dość ostrym tonem, a ja zastanawiam się, czy znowu jest zazdrosna, że przeżyłam kolejne wydarzenie razem z Sonią.

Jednak myślę o Luisie łagodnie tylko przez moment. Nie będę roztkliwiać się nad nią, skoro zdradziła mnie wobec Dusz, nawet jeśli została do tego zmuszona.

Wyciągam szpilki z włosów.

- "Poznałaś" to niezbyt dokładne określenie. Sonia i ja spotkałyśmy się z nim na pewnej kolacji w Londynie, i tyle.

- A czy wtedy wiedziałaś już, kim jest? - dopytuje Sonia.

Ręce mi opadają, we włosach nadal tkwi pełno szpilek. Odwracam się w stronę Soni. W jej słowach usłyszałam oskarżenie zabarwione złością.

- Oczywiście, że nie! Powiedziałabym ci, gdybym wiedziała!

- Powiedziałabyś mi, Lia? Naprawdę? - Jej oczy, nie rozumiem dlaczego, błyskają wściekłością.

Nastawiam uszu, bo nie mogę uwierzyć w to, co słyszę.

- Soniu... Naturalnie, że powiedziałabym ci. Jak możesz myśleć inaczej?

Sonia mruży oczy, jakby nie była pewna, czy może mi wierzyć. Stoimy tak jakiś czas w krępującym milczeniu, aż wreszcie ramiona Soni rozluźniają się, a z jej ust wydobywa się głośne westchnienie.

- Przepraszam - pociera skronie, marszcząc twarz, jakby coś ją bolało. - Jestem taka zmęczona. Zmęczona jazdą i lasem, i tym ciągłym strachem przed Sforą i przed Duszami.

- Wszyscy jesteśmy zmęczeni. Przysięgam, że nic nie wiedziałam na temat Dimitriego. Dowiedziałam się dopiero przed chwilą. - Wzdycham, staram się zapanować nad własną frustracją i znużeniem. - Nie dam już rady dłużej. Idę spać. Jutro na pewno będzie kolejny ciężki dzień.

Nie czekam na potwierdzenie, przebieram się do spania. Nie obchodzi mnie, czy moje

przyjaciółki mają zamiar dalej rozmawiać, ale jeśli zmuszą mnie, żebym wysłuchiwała ich narzekania i głupich żalów jeszcze choćby przez minutę, chyba zacznę krzyczeć. Jutro poinformuję Sonię o zdradzie Luisy. Nie mogę powiedzieć, żebym czekała na tę rozmowę z przyjemnością.

Później, kiedy w cichym wnętrzu namiotu zakopuję się pod koce, wydaje mi się, że długo nie uda mi się zasnąć, bo będę jeszcze raz przeżywać niebezpieczne wypadki ostatnich kilku godzin. Zmęczenie jednak robi swoje i kiedy składam głowę na ziemi, zasypiam prawie natychmiast.

Mam wrażenie, że mocno spałam przez długi czas, gdy nagle budzę się - we śnie. Jestem przekonana, że to nie podróż, chociaż mój sen zdaje się bardzo realny. W tym śnie stoję w kręgu postaci bez twarzy, trzymamy się za ręce. Przede mną płonie wielkie ognisko, a po drugiej stronie płegających płomieni widzę inne postacie w tunikach, też trzymające się za ręce.

Grupa zaczyna śpiewać niesamowitą pieśń, a ja ze zdziwieniem zauważam, że moje usta poruszają się i wypowiadają słowa zarazem znane mi i nieznane. Wychodzą z moich ust, gdy intonuję wraz z innymi. Czuję, że ogarnia mnie stan podobny do transu, prawie mu się poddaję. Mój umysł przestaje już zadawać pytania - i wtedy moje ciało przeszywa potworny trzask. Krzyczę, przestaję śpiewać, ale pozostali nucą dalej, jak gdyby nic złego się nie stało. Jak gdyby w tym momencie jakaś niewidzialna, nieprzyjazna siła wcale nie rozdzierała mnie na dwoje.

Instynktownie wyrywam się z kręgu i rzucam w stronę ognia, a ręce, które przed chwilą ścisnęłam, zamykają mnie w pułapce, w kole dziwnie ubranych figur. Robię kilka kroków, ale padam bezwładnie na ziemię, bo znowu przebija mnie ból. Mimo że to sen, czuję słodki, piżmowy zapach trawy, na której leżę. Opierając się na rękach, próbuję się podnieść, stanąć na nogach.

Ze snu nie wyrywa mnie ani upadek, ani wysiłek, żeby powstać. Nie. Sprawia to moja ręka, którą chcę się mocno podeprzeć. Dokładniej mówiąc, nie dłoń, tylko nadgarstek oraz zawieszony na nim medalion.

Medalion, który spoczywał bezpiecznie na ręce Soni od czasu naszego zeszłorocznego wyjazdu z Nowego Jorku.

Aż do dzisiaj.

Rozdział 15

Kiedy budzę się ze snu, z ulgą dostrzegam pochyloną nade mną twarz Soni. Mimo niedawnych napięć, jej buzia oznacza dla mnie przyjaźń, jaką zawarłyśmy na początku naszej drogi ku rozwiązaniu przepowiedni.

Prostuję się na pośłaniu z ręką przyciśniętą do piersi, starając się uspokoić rozszalałe bicie serca.

- Och! Na litość boską!

Sonia kładzie mi dłoń na ramieniu.

- Cii... Ciszej, Lia. Wiem, wiem... - pomaga mi oprzeć się o poduszkę, a w jej głosie jest złowroga słodycz. Przerazająca tym bardziej, że niewinna. - Odpocznij, Lia. Nie będzie aż tak źle.

Początkowo nic z tego nie rozumiem. Jej słowa wydają się bezsensowne, a mnie brakuje przytomności umysłu, aby je rozszyfrować.

Okazuje się jednak, że nie trzeba żadnych słów. Jest bowiem medalion, spoczywający na moim nadgarstku, tak jak we śnie. Wiem już wszystko, co powinnam wiedzieć.

- Co... co to jest? Soniu, dlaczego mam medalion na ręce? - Nie tracę czasu na szukanie zapięcia po ciemku. Po prostu szarpię aksamitkę, na której zawieszono medalion, z taką siłą, że zapinka rozrywa się, a feralna ozdoba spada na ziemię.

Gorączkowo, po omacku Sonia zaczyna przeszukiwać koce wyścielające podłogę namiotu. Zaczynam rozumieć, co się stało, a kiedy moja przyjaciółka znajduje medalion i przysuwa się do mnie, trzymając go w ręce, mam już pewność.

- Załóż go, Lia. Tylko na chwilę. To dla dobra wszystkich, także dla twojego dobra. - Oczy Soni świecą w ciemności, a ja odczuwam takie przerażenie, jakiego nie wzbudziły we mnie wcześniej ani Dusze, ani medalion, ani nawet Samael. Widzieć anielskie oczy Soni błyszczące szaleństwem to dla mnie najgorsza kara.

Nie wiem, jak długo patrzę w błękit tych oczu, starając się pogodzić z faktem, że moja Sonia to ta sama dziewczyna, która siedzi przede mną, chcąc wykorzystać mnie jako Bramę, przez którą może przejść najczystsze zło. Kiedy wreszcie ta prawda dociera do mnie, gwałtownie odsuwam się w stronę ściany namiotu.

I krzyczę, krzyczę bez końca.

* * *

- A ja myślałam, że to ty - te słowa skierowane są do Luisy, która siedzi ze mną przy ognisku.

Chwilowo zostaliśmy same, opatulone w koce chroniące przed chłodem nocy, bo Edmund i Dimitri, w drugim namiocie, starają się uspokoić Sonię. Nie pokazali się od momentu, gdy odciągnęli ją ode mnie, choć wrzeszczała i kopała.

Luisa wygląda na zaskoczoną.

- Ja? Dlaczego ja?

- Dziwnie się zachowywałaś - wzruszam ramionami.

- Znikałaś o rozmaitych porach, byłaś zagniewana, zamknięta w sobie.

Luisa przysuwa się i bierze mnie za rękę.

- Lia, ja wiedziałam, że z Sonią jest coś nie w porządku. Zapytałam ją, co się dzieje, a ona zaczęła się wypierać.

- Ale... ja cię widziałam. Jak czytasz przyszłość z wody, nad rzeką. - Nawet w takich okolicznościach wstydzę się przyznać, że ją szpiegowałam.

Luisa jednak nie zwraca na to uwagi.

- Tak, chciałam wyczytać z wody coś na temat Soni. Coś, co pomogłoby mi przekonać ciebie.

- Czemu mi po prostu nie powiedziałaś, Luiso? Czemu mnie nie ostrzegłaś?

Luisa wzdycha, puszcza moją dłoń, a jej niezwyklej urody twarz przybiera wyraz pełen żalu.

- Nie uwierzyłabyś mi, gdybym nie miała nic więcej poza podejrzeniami. Nie w przypadku Soni. Szukałam więc dowodów. - W jej głosie nie ma już poprzedniej goryczy wywołanej moimi bliskimi więzami z Sonią. Teraz jest jej po prostu smutno.

- Za to teraz mamy dowód, prawda? - Z moich ust wyrzywa się w noc sarkastyczny śmiech.

Nie jest to pytanie, które wymaga odpowiedzi, obie to rozumiemy. Nie wiem, co powiedzieć o Soni, Luisa chyba czuje to samo, siedzimy więc w prawie zupełnej ciszy przerywanej trzaskaniem ognia. Z wnętrza namiotu dobiegają przyciszone głosy, nie mam jednak zamiaru wsłuchiwać się w słowa, jakie padają pomiędzy Edmundem, Dimitrim i Sonią. To tylko tło dla moich pogmatwanych myśli.

Skrzypienie butów na twardym podłożu podpowiada mi, że z ciemności otaczającej krąg światła wokół ogniska wyłoni się Dimitri. Odwracam głowę - już tu jest.

- Uspokoila się - oznajmia. Rozumiem, że chodzi o Sonię. - A ty dobrze się czujesz?

- Tak. - Nie znam słów, którymi mogłabym wyjaśnić, że *nie* czuję się dobrze. Jestem w szoku, bo właśnie zdałam sobie sprawę, że Dusze potrafią spowodować, iż nawet najbardziej zaufana przyjaciółka może zwrócić się przeciwko mnie. Okazało się, że nie ma bezpiecznego miejsca, gdzie medalion mógłby spocząć do czasu, aż odnajdziemy zaginione stronice.

Dimitri siada przy mnie z drugiej strony, a Luisa pochyla się, żeby mu się przyjrzeć i zapytać:

- Co z Sonią, panie Markov?

- Jeżeli mamy rozmawiać o takich sprawach, nalegam, żeby mówić do mnie po imieniu - odpowiada Dimitri.

Przyjaciółka szuka wzrokiem mojej aprobaty, więc wzruszam ramionami.

- W porządku, Dimitri - kontynuuje. - Co z Sonią?

- Jest... poruszona, właściwie nie jest sobą.

- Co masz na myśli? - dopytuje się Luisa. - Czy zdaje sobie sprawę, co chciała zrobić? Czy pamięta całe zdarzenie?

- Tak, pamięta je doskonale i wcale nie czuje się winna. Krzyczała, chcąc nam wyjaśnić, dlaczego Lia powinna nosić medalion. Sądzi, że postąpiła dobrze, zakładając go na jej rękę podczas snu. Próbowaliśmy rozsądnie z nią porozmawiać, ale chyba Dusze mają ją w swojej mocy.

- Niemożliwe - kręcę głową. - Sonia jest taka silna...

- Nawet najzdolniejszym z nas opieranie się Duszom sprawia trudność - wyjaśnia pełen współczucia Dimitri. - Musiały wiedzieć, że ona ma medalion, że jest twoją przyjaciółką i powiernicą. W zasadzie nie powinno nas dziwić, że do tego doszło.

Lecz ja jestem zdziwiona. Zawsze sądziłam, że Sonia jest najsilniejsza z nas wszystkich, w jakiś sposób lepsza, bardziej pewna swoich umiejętności i swego miejsca w przepowiedni. Dlatego prawie świętokradztwem wydaje mi się wyobrażanie sobie, że właśnie ona działała na korzyść Dusz. Nie wypowiadam jednak tej myśli na głos. Wyszłabym na pierwszą naiwną.

- Co robimy? - pyta Luisa Dimitriego. - Co robimy z Sonią? Z Lią, z medalionem?

- Przez resztę podróży musimy trzymać Lię z dala od Soni. A Sonię w miarę możliwości uspokajać.

- A jak zamierzasz osiągnąć jedno i drugie? Pomyśl, w jakim stanie umysłu jest Sonia! - Kiedy przypominam sobie jej gorączkowe prośby, a potem krzyki, kiedy Dimitri wyciągał ją z namiotu, żadne z zadań bynajmniej nie zapowiada się łatwo.

- Dosypuję jej do herbaty zmielonej jemioli. Mam nadzieję, że dzięki temu będzie

bardziej uległa, przynajmniej przez pewien czas - wyjaśnia Dimitri.

Przypominam sobie, że czytałam coś o jemioli podczas jednej z lekcji, jakich udzielał nam ojciec w swojej bibliotece w Birchwood.

- Ale jemiola jest chyba trująca?

- Nie ta odmiana - zaprzecza Dimitri. - Od dawna wiadomo, że ten gatunek jemioli działa uspokajająco, ale rośnie tylko w tych lasach i na wyspie Altus. Powinniśmy znaleźć po drodze wystarczającą ilość, żeby panować nad Sonią, dopóki nie oddamy jej w ręce Sióstr.

- W porządku - kiwa głową Luisa. - A co z medalionem? Dotychczas Lia była wolna od niego dzięki temu, że Sonia nosiła go na przegubie swojej ręki.

Dimitri przygląda się swoim dłoniom. Wiem, że zastanawia się, jak to zrobić, żeby ze względów bezpieczeństwa mieć medalion w pobliżu, a jednocześnie trzymać go z dala ode mnie, żeby nie wykorzystał mnie jako Bramy.

Wstaję z miejsca, bo przychodzi mi do głowy pewien pomysł, a wtedy fala niespokojnej energii przeszywa mnie aż do kości.

- Ile czasu zajmie nam dotarcie na wyspę? - kieruję to pytanie do Dimitriego, mając nadzieję, że zna tę puszcę lepiej niż ja.

- Cóż, trudno to dokładnie wyliczyć - Dimitri marszczy brwi. - Zależy, jak szybko będziemy jechać.

Luisa wzdycha. Odkąd ją znam, cierpliwość nigdy nie należała do jej największych zalet.

- Wystarczy nam przybliżony termin, Dimitri.

Widzę w jego oku błysk rozdrażnienia, ale odwraca się w moją stronę i odpowiada:

- Wydaje mi się, że około trzy dni. Czemu pytasz?

Nie udzielam wyjaśnienia od razu, zadaję natomiast nowe pytanie:

- Kto ma teraz medalion?

- No... ja - mówi Dimitri.

- Mogę? - wyciągam rękę, lecz moja prośba to czysta formalność. Jeśli medalion należy do kogokolwiek, to właśnie do mnie.

- Jesteś pewna, Lia, że to dobry pomysł? - w głosie Luisy słyszę strach, jak echo moich własnych obaw. Wiem jednak, że nie ma innego sposobu.

- Czy możesz dać mi medalion? Bardzo proszę. - Chciałabym wierzyć, że w oczach Dimitriego widać podziw, ale jest tam chyba tylko rezygnacja.

Tak czy owak, Dimitri sięga do kieszeni i coś z niej wyciąga. Widok czarnej aksamitki w jego dłoni zapiera mi dech. Oczywiście widywałam medalion na nadgarstku Soni, lecz czym innym było zobaczyć go, jak bezpiecznie spoczywa na ręce kogoś, komu bezgranicznie

ufałam, niż tak jak teraz, nie na uwięzi. Nie mam wątpliwości, że medalion, tak swobodny, jest znacznie bardziej niebezpieczny.

Dimitri wręcza mi go, a ja zamykam oczy, dotykając szemrzącego pod palcami aksamitu. Dotyk tej wstążki i zimnej, metalowej ozdoby jest mi nieomal bliższy niż własna dusza. Przez moje ciało przenika nienawiść pomieszana z nieopanowaną potrzebą - znam już to uczucie. Z trudem otwieram powieki, żeby zebrać myśli i powrócić do terażniejszości.

A to wszystko dzieje się, jeszcze zanim zapięłam medalion na rękę.

Nie mogę jednak rozpamiętywać tego, czego nie da się zmienić, tego, co należy zrobić - bez względu na to, jak będzie bolesne, przerażające czy nieprawdopodobne.

Owijam aksamitkę wokół prawego przegubu i zapinam złotą klamerkę. Znamię jest na lewym nadgarstku, lecz zdaję sobie sprawę, że to nie daje mi gwarancji bezpieczeństwa. W przeszłości medalion odnajdywał przecież drogę do mnie w znacznie bardziej skomplikowanych okolicznościach.

Luisa zaczyna mówić, jej głos drży.

- Lia... Nie możesz nosić medalionu. Wiesz, co może się stać.

- Wiem o tym lepiej niż ktokolwiek inny, ale nie ma lepszego sposobu.

- A gdybyś oddała go Edmundowi albo... Dimitriemu? Komuś innemu?

Nie obrażam się za te słowa. Rozumiem, że Luisa chciałaby mnie po prostu chronić, wiedząc, że to ja jestem najbardziej podatna na wezwanie medalionu. Wszystko przez przeklętą rolę Bramy, wyznaczoną mi przez proroctwo.

- Nie, Luiso. Wcześniej na szczęście miałam Sonię, która pilnowała medalionu przez jakiś czas, ale nie mogę zaniedbywać swoich obowiązków w nieskończoność.

- Tak, ale... - przesuwa wzrok ze mnie na Dimitriego i z powrotem - Dimitri?

On tymczasem patrzy mi prosto w oczy. Nie wiem, co w nich widzi i co pomaga mu przejrzeć mnie na wskroś, tak że wszystkie najgłębsze tajemnice mojej duszy stoją przed nim otworem. Cokolwiek to jest, Dimitri dostrzega to z całą pewnością.

- Lia ma rację - mówi. - To ona powinna pilnować medalionu. On należy do niej. - Nawet nie drgnie, wypowiadając te słowa, a w jego wzroku nie ma ani śladu powątpiewania.

Czuję jakieś poruszenie uczuć, głębsze niż pociąg fizyczny. Jeszcze głębsze niż dziwna więź, która połączyła nas od pierwszego spotkania.

Luisa jest bardzo przejęta.

- Jak masz zamiar przez trzy dni i trzy noce powstrzymać go od przejścia na drugą rękę?

Z trudem odrywam oczy od Dimitriego i odwracam się w kierunku przyjaciółki.

- Tracę nad nim kontrolę tylko wtedy, kiedy śpię.

Luisa patrzy na mnie jak na pomyloną.

- No i?

Wzruszam ramionami.

- No i nie będę spać.

- Co ty mówisz, jak to nie będziesz spać?

- Po prostu, tak jak powiedziałam. Do celu mamy jeszcze trzy dni drogi. Nie zasnę, dopóki nie dotrzemy na miejsce. Jestem pewna, że kiedy przyjedziemy, Siostry będą już wiedziały, co zrobić.

Luisa zwraca się do Dimitriego.

- Może ty przemówisz jej do rozsądku? Proszę cię.

Dimitri podchodzi do mnie i bierze mnie za rękę, a potem odpowiada Luisie:

- Wydaje mi się, że Lia mówi całkiem rozsądnie. W tej chwili to najlepsze rozwiązanie.

Wierzę, że Lia będzie lepiej pilnować medalionu niż ktokolwiek inny.

Luisa przygląda się nam, jakbyśmy oboje stracili zmysły, a potem podnosi w górę ręce w geście rozpaczy.

- A co z Sonią? Może i za nią odpowiadać ma Lia?

W bladym świetle ogniska oczy Dimitriego stają się jeszcze ciemniejsze.

- Oczywiście, że nie. Edmund i ja już omawialiśmy tę sprawę. Będzie jechał przodem, a do swojego konia przywiąże wierzchowca Soni. Ty natomiast - patrzy na Luisę - będziesz jechać za nimi, dalej Lia. Ja pojedę na końcu, w razie gdyby coś się działo. Gdyby Sonia musiała udać się na stronę, pójdiesz z nią. Sądzę, że nawet w obecnym stanie nie będzie próbowała uciec. - Dimitri unosi głowę, ogarniając wzrokiem ciemności otaczające ognisko. - Nie miałyby dokąd.

Przez moment zdaje mi się, że Luisa będzie oponować. Otwiera usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale szybko je zamyka.

- Dobrze - podsumowuje wreszcie, a w jej głosie słychać niechętny podziw.

Dimitri znów zwraca się do niej.

- Lia nie będzie mogła spać, ale ty powinnaś. Będziemy jej bardzo potrzebni w ciągu najbliższych dni.

Luisa z wahaniem przytakuje. Domyślam się, że nie chce zostawić mnie samej na całą bezsenność noc.

- Jesteś pewna, że dasz sobie radę, Lia?

- Jasne - potwierdzam. - Połowę tej nocy już przespałam. A jutrzejsza noc to zupełnie inna sprawa.

- Nie martw się, Luiso - Dimitri otacza mnie ramieniem. - Zostanę tu całą noc. Lia nie będzie sama nawet przez chwilę.

Luisa patrzy na nas z nieskrywaną ulgą na twarzy, zauważam też zmęczenie czające się w kącikach jej oczu. Podchodzi, żeby mnie uściskać.

- Wobec tego do zobaczenia rano. Zawołaj, gdybyś czegoś potrzebowała, dobrze?

Kiwam głową, a Luisa odwraca się i odchodzi na drugą stronę obozu.

- Chodź - Dimitri wskazuje mi miejsce obok siebie przy ognisku. Opiera się o kłodę i przyciąga mnie do siebie tak, żebym mogła oprzeć głowę na jego piersi. - Posiedzę z tobą do rana.

- Nie musisz. Naprawdę. Dam sobie radę.

Początkowo walczę z tą bliskością pomiędzy nami, trzymam się kilka centymetrów od Dimitriego, lecz po kilku minutach nie mogę oprzeć się pokusie i opieram głowę o jego silne ramię. Dopasowuje się idealnie, jakby była stworzona do tego, żeby wtulić się właśnie w to miejsce.

- Powinieneś pospać - radzę. - To, że ja nie mogę, nie znaczy, że tobie nie wolno.

Dimitri kręci przecząco głową, a wtedy jego policzek ociera się o moje włosy.

- Nie - odpowiada. - Jeśli ty nie śpisz, nie śpię i ja.

Nie zasypia więc przez całą noc.

Dopiero później ze wstydem uświadamiam sobie, jak długo nie myślałam o Jamesie.

Rozdział 16

Jedziemy dopiero od godziny, a ja już czuję, że najtrudniej będzie ignorować błagania Soni. Zaczęła prosić równo ze wschodem słońca w ten mglisty poranek.

Przechodząc obok namiotu, gdzie zaniesiono Soni śniadanie, pochyliłam głowę, ale jej głosu nie dało się nie słyszeć. Dobiegły mnie tylko strzępki wypowiedzi, ale nie potrzebuję więcej, żeby zrozumieć, że z Sonią jest bardzo źle.

- Proszę was, jestem przekonana... wystarczy, aby Lia usłyszała od was... Ona nie rozumie... Samael jej sprzyja... w końcu obróci się przeciwko niej...

Głos Soni, który towarzyszył mi przez ostatni rok podczas zdarzeń budzących zdziwienie i strach, teraz opowiada się za Samaelem. To więcej, niż potrafię znieść. Jestem wstrząśnięta tym bardziej, że uległszy naleganiom Dimitriego, stałam na skraju obozu, patrząc, jak moi towarzysze pomagają Soni wsiąść na konia. Nie wiem, czy Dimitri wolał, abym trzymała się od niej z daleka, ponieważ obawiał się mojej słabości, czy też myślał o sile Soni. Niemniej zrobiłam, jak kazał.

Nie czuję zmęczenia, jeszcze nie teraz, ale domyślam się, że wkrótce mnie dopadnie. Na razie trzymam się dzięki napiętym nerwom i wibrującej w całym moim ciele świadomości, że medalion jest ze mną. Nie zakładałam go od chwili wyjazdu z Nowego Jorku, odkąd zdałam sobie sprawę, jak niebezpiecznie jest go nosić przy moich ograniczonych wówczas umiejętnościach.

Teraz jest tylko mój.

Jego obecność na ręce sprawia, iż z przerażającą mocą czuję, że żyję, jakby każdy nerw był odsłonięty, narażony na ból. Dociera do mnie każdy podmuch wiatru, każdy szmer liści wysoko na drzewie, jak gdybym wszystko miała pod skórą. Moje własne serce bije z taką energią, że opanowuję je jedynie z trudem.

Staram się o tym nie myśleć.

Przez cały długi dzień jazdy wpatruję się w plecy podróżującej przede mną Luisy i skupiam na ruchach Sargenta. Jego silne ciało niesie mnie przez las, stapiający się w końcu w jedną zieloną, cieniastą całość, którą po pewnym czasie przestaję zauważać. Jadąc, pragnę tylko dwóch rzeczy: żeby szybko dotrzeć na Altus i nie zasnąć, zanim tam dojadę.

Kiedy w końcu Edmund wskazuje miejsce na postój, znajdujące się blisko wody i dające

nam w razie potrzeby pewną osłonę, na ziemi kładą się już długie cienie, a powietrze robi się chłodne. Prowadzę Sargenta na jeden koniec obozowiska, podczas gdy Edmund i Dimitri wiodą Sonię na drugi. Jemioła, której Dimitri ukradkiem dosypał Soni do porannej herbaty, najwyraźniej przestaje działać, bo głos mojej przyjaciółki jest donośny; dolatuje do mnie z coraz zimniejszym wiatrem.

- Lia! Lia! Porozmawiasz ze mną? Tylko chwilę!

Z bólem muszę odwracać twarz w przeciwną stronę, ale robię to.

Przywiązawszy Sargenta do drzewa, kładę się na ziemi, opieram plecami o jakiś pień i zamykam oczy, jakby to mogło zagłuszyć wołanie Soni.

- Staraj się nie słuchać, Lia - Luisa siada obok mnie. W tym momencie żadna z nas nie dba o wygodę, a poza tym siedzenie na ziemi jest o wiele lepsze niż dalsza jazda w siodle.

Kieruję twarz w stronę Luisy i opieram głowę o podkurczone kolana.

- Przez ostatnie miesiące nie robiłam nic innego, tylko słuchałam Soni.

- Wiem - odpowiada współczująco, przechylając głowę. - Ale na pewno zdajesz sobie sprawę, że teraz to nie Sonia cię wola. Kto sprawił, że pośród ciemności nocy medalion znalazł się na twojej ręce?

- Domyślałam się kto, lecz to niczego nie ułatwia. Patrzę na tę twarz i widzę Sonię, ale słowa, które wypowiada... - Nie muszę kończyć.

Luisa wyciąga rękę i zakłada mi za ucho jakiś niesforny kosmyk włosów.

- To się kiedyś skończy, Lia. Na pewno. Dojedziemy na Altus, a Siostry pomogą Soni się odnaleźć.

- A co ze mną? - pytam. - Nie wytrzymam zbyt długo bez snu, a od dzisiaj medalion jest dla mnie prawdziwym ciężarem. Jaka będzie moja sytuacja?

- Nie wiem. Wiem tylko, że do tej pory przebyliśmy bardzo długą drogę. - Luisa uśmiecha się. - Zajmiemy się wszystkim po kolei. Najpierw trzeba dotrzeć na wyspę, a reszta przyjdzie potem.

Potakuję, podnosząc się z ziemi.

- Pomogę wam robić kolację.

Luisa spogląda na jeden gotowy namiot - ten, w którym zamknięto bezpiecznie Sonię.

- Myślisz, że to rozsądne? Pozwólmy może mężczyznom zająć się dzisiaj obozowiskiem.

- W jej oczach pojawia się litość. - Ona chyba się nie uciszy.

- Muszę coś robić. Jak będę tak beczynn timer siedzieć, zwariuję.

Podchodzimy do ogniska, które niedawno rozpałił Edmund. Nie wiem, jak Sonia wyczuła, że się zbliżam, bo staram się nie odzywać w okolicach jej namiotu, ale prawie

natychmiast zaczyna mnie dręczyć. Edmund, widząc mnie przy ogniu, przybiera łagodny wyraz twarzy.

- Dobrze się panienka czuje?

- Chciałabym pomóc w przygotowaniu kolacji, zgoda? - Przełykam smutek, który po jego pytaniu narasta we mnie jak fala.

Edmund waha się, ale w końcu podaje mi nożyk i torbę marchwi. Kładę ją na małym stoliku, którego używamy podczas przyrządzania posiłków. Przez chwilę jestem całkowicie pochłonięta obieraniem i siekaniem, bez wysiłku ignoruję więc Sonię, która na przemian to błaga mnie, to przeklina z wnętrza namiotu.

Tak mi się przynajmniej wydaje, gdy staram się zagłuszyć jej głos w swoim umyśle.

* * *

Dimitri siedzi ze mną przy ognisku, a Edmund trwa na straży przy namiocie Soni. Drugi namiot pozostaje całkowicie do dyspozycji Luisy. Prawdopodobnie ona będzie jedyną osobą, która prześpi dzisiejszą noc.

- Ciepło ci? - Dimitri ciasniej owija mi koc wokół ramion. Uparł się, że dotrzyma mi towarzystwa podczas kolejnej długiej nocy. Choć nigdy nie przyznałabym się do tego otwarcie, przyjemnie mi przechylić się i oprzeć o jego twardą pierś.

- Tak, wszystko dobrze. Ale ty naprawdę powinieneś się zdrzemnąć. Ktoś z nas musi być przytomny, a z całą pewnością nie będę to ja.

Głos Dimitriego odzywa się w okolicach mojego ucha.

- Potrzebuję mniej snu, niż ci się wydaje. Poza tym ostatnio, kiedy zasypiam, i tak śnię o tobie.

Śmieję się nerwowo, bo zaskakuje mnie tak odważne wyznanie. Staram się je zbagatelizować.

- No cóż, zobaczmy, co powiesz po kilku dniach bez snu, kiedy to ja będę temu winna!

Dimitri odwraca się, żeby lepiej widzieć moją twarz. W jego słowach słyhać przekorny, żartobliwy ton.

- Wątpisz, czy potrafię powstrzymać się od zaśnięcia w twojej obecności? - Ciągnie, nie czekając na moją odpowiedź: - To brzmi jak wyzwanie! Przyjmuję!

Nie potrafię pohamować śmiechu, nawet w tych okolicznościach.

- Zgoda. Niech będzie, że to wyzwanie.

Dimitri siada obok mnie i wtula twarz w moje włosy. Zastanawiam się, jakim cudem czuję się tak swobodnie w jego obecności. Chyba ten tajemniczy las sprawia, że przenosimy

się w całkiem inny świat, a poza tym mam wrażenie, jakbym znała Dimitriego od zawsze. Nie doświadczam skrępowania, jakiego mogłabym się spodziewać w bliskim towarzystwie mężczyzny, którego znam tak krótko. Spokój, jaki odczuwam, jest miłą odmianą i dlatego zaczynam zastanawiać się, czy zdołam nie zasnąć w ciepłe ogniska, oparta o Dimitriego.

Próbując powstrzymać się od zaśnięcia, proponuję, żebyśmy zegrali w sto pytań. Zadajemy je na zmianę, począwszy od absurdalnych po słodko-gorzkie. Przez moment problemy związane z przepowiednią schodzą na dalszy plan i jesteśmy dwójką zwyczajnych ludzi, którzy chcą lepiej się poznać. Śmiejemy się, szepczemy, zwierzamy się sobie i zaczynamy rozumieć, że każda chwila spędzona razem w ciemności zbliża nas do siebie. Dopiero kiedy jesteśmy znużeni zadawaniem pytań i udzielaniem odpowiedzi, nawet nie zbliżając się do planowanej setki, zapada milczenie.

Dimitri zanurza twarz w moje włosy i mocno wdycha ich zapach. Śmiesz mnie to.

- Co ty robisz?

- Twoje włosy ślicznie pachną - mówi stłumionym głosem, wciąż w nie wtulony.

Żartobliwie klepię go po ramieniu.

- Hmm... Chyba jednak nie. Podczas takiej podróży człowiek przestaje dbać o higienę.

Dimitri podnosi głowę i odgarnia mi włosy jedną ręką, odsłaniając kark.

- *Naprawdę* ślicznie pachną: lasem, zimną wodą, tobą... - Pochyliła się nad moją szyją i całuje mnie tak, że po plecach przechodzi mi dreszcz.

Głowa jakoś sama przechyliła mi się na bok. Na zdrowy rozum wiem, że to skandal, aby mężczyzna poczynił sobie tak śmiało, zwłaszcza że znam go od niedawna. Jednak cała reszta mnie, ta niemyśląca, chce, żeby całował mnie dalej. To ona każe mi wyciągnąć rękę i zanurzyć ją w jego ciemnej, gęstej czuprynie, i przyciągnąć go bliżej do siebie.

Dimitri wydaje z siebie cichy pomruk, który muska moją szyję.

- Lia, Lia... Nie tak powinienem wypełniać ci czas czuwania - w jego głosie słychać rozterkę. Wiem, że i on, tak jak ja, jest rozdarty pomiędzy uczuciem pożądania a wymogami obyczajności.

Lecz teraz nie podlegamy społecznym normom. Tutaj, w lesie, w drodze na Altus, jesteśmy sami.

Wciąż tkwię w objęciach Dimitriego, ale obracam się tak, że klękę przed nim - całe szczęście w bryczesach łatwiej to zrobić niż w sukni. Biorę jego twarz w swoje dłonie i patrzę w jego czarne oczy bez dna.

- To nie ty masz wypełniać mi czas czuwania - zbliżam usta do jego ust i czekam, aby troszkę się otwarły, ale potem odsuwam się lekko i mówię dalej - to my czuwamy razem. To

ja - delikatnie go całuję - czuwam przy tobie, ponieważ tak chcę.

Dimitri wzdycha głęboko i kładzie mnie na ziemi, podkładając mi pod głowę zwinięty koc. Jego ręce przesuwają się wzdłuż mojego ciała, głaszcząc je przez ubranie. Nie uważam, aby było w tym coś złego, skandalicznego czy nieodpowiedniego.

Zasypujemy się pocałunkami wszelkich możliwych rodzajów, od czułych po tak namiętne, że tracę oddech, a Dimitri musi się odsunąć, żeby ochłonąć. Wreszcie, jakby na jakiś bezgłośny sygnał, przestajemy.

Leżymy w absolutnym nieładzie, ja z głową opartą o ramię Dimitriego. Ubrania mamy poprzekęcane, oddechy przyspieszone. Całe szczęście Edmund znajduje się po drugiej stronie wypełnionego ciszą obozu.

Nie jestem zmęczona. Wprost przeciwnie - krew płynie mi w żyłach z nową energią. Jestem pewna siebie i zdeterminowana, by doprowadzić przepowiednię do końca, a jednocześnie ogarnia mnie niezmierny spokój. Po raz pierwszy od przeszło roku czuję, że jestem tam, gdzie moje miejsce.

Rozdział 17

Po śniadaniu staje przede mną Luisa i wyciąga rękę.

- Daj mi medalion, Lia. Proszę.

- Nie mogę, Luiso - wzdycham.

- Lia... - Luisa wygląda na zdesperowaną - spójrz na siebie! Jesteś przemęczona.

Śmieję się, bo w jej uwagach dostrzegam pewien uszczypliwy humor.

- Oczywiście zdaję sobie sprawę, że wyglądam niezbyt czarująco, ale szczerze mówiąc, Luiso, to mój najmniejszy problem. - Taka jest prawda. Nie mam siły, żeby martwić się swoim wyglądem, chociaż na pewno pozostawia on wiele do życzenia. Oczy szczypią mnie z niewyspania i nie mogę sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz się czesałam.

Luisa mruży oczy.

- Wiesz dobrze, o co mi chodzi. Nie możesz tak długo nie spać. Jazda w takim stanie jest niebezpieczna.

- Tak... Dimitri uparł się, żebym jechała z nim, więc nie poprowadzę Sargenta prosto w jakieś drzewo, jeśli to masz na myśli.

- Nie to mam na myśli, przecież wiesz. - Luisa siada obok. - Chodzi mi o *ciebie*. Gdybyś powierzyła mi medalion na kilka godzin, mogłabyś wypocząć na tyle, żeby spokojnie dokończyć podróż. Chciałabym zrobić to dla ciebie, Lia. Pomóc ci.

Resztką energii zdobywam się na wątyły uśmiech, jakim obdarzam Luisę, ale zasłużyła na niego. Biorę ją też za rękę.

- Wiem, że chcesz. Dziękuję ci, Luiso. Ale czy możesz mi na pewno obiecać, że medalion będzie bezpieczny; że nie przywędruje na moją lewą rękę, aby Samael mógł posłużyć się mną jako Bramą?

Między brwiami Luisy rysuje się drobna kreska. Widzę, że chciałaby złożyć obietnicę. Złożyć i wypełnić ją. Żadna z nas jednak nie jest zdziwiona, że do tego nie dochodzi.

- Nie mogę obiecać, ale mogę się *postarać*.

- To nie wystarczy; Luiso - kręcę głową - ale doceniam twoją propozycję pomocy. Naprawdę. Medalion należy do mnie. Nie odwiążę go z nadgarstka, nim podróż się nie skończy. Na pewno nie dobrowolnie. Jakoś dam sobie radę.

Luisa przytakuje i podaje mi kubek.

- Więc lepiej się napij. Dobrze ci to zrobi.

Biorę napor i ostrożnie popijam z rozgrzanego kubka. Ta kawa jest tak gorzka, że jej paskudny smak powinien pozwolić mi czuwać przynajmniej na początku dzisiejszej podróży. Łykam do końca, bo słyszę, że Edmund właśnie szykuje konie do drogi. Luisa idzie w ich stronę, a ja wstaję, żeby poszukać Dimitriego. Już prawie dochodzę do reszty grupy; kiedy pojawia się na swoim wspaniałym wierzchowcu.

- Gotowa? - pyta.

Odpowiadam skinieniem głowy; bo nie ufam swojemu głosowi. Nawet kiedy jest zmęczony; Dimitri prezentuje się niewiarygodnie atrakcyjnie. Zeskakuje z konia i przytrzymuje kulę siodła.

- Usiądziesz z przodu.

Dopiero w tej chwili uświadamiam sobie, że nie jechałam z nikim na jednym koniu od dzieciństwa, gdy woził mnie przed sobą mój ojciec.

- Ale jak ja mam... To znaczy jak my... się pomieścimy? - Staram się opanować narastające zmieszanie. Wiem, że na policzkach pojawia mi się rumieniec.

Dimitri uśmiecha się zuchwale.

- To proste. Ty usiądziesz z przodu, a ja za tobą. - Pochyliła się nade mną tak nisko, że czuję miętowy zapach proszku do czyszczenia zębów. Zasycha mi w ustach. - Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu.

- Absolutnie - podnoszę podbródek. Rzucam mu przebiegłe spojrzenie i wsadzam stopę w strzemię. - Zresztą, wygląda na to, że będzie całkiem przyjemnie.

Kiedy sadowię się w siodle, łapię jeszcze pełne podziwu spojrzenie Dimitriego. Potem siada za mną, jego uda obejmują moje, a ramiona trzymają lejce z obydwu moich boków. Od czubka głowy po pięty przechodzi mnie dreszcz.

Podjeżdżamy truchtem do pozostałych, a wtedy Sonia rzuca mi przeciągłe spojrzenie z grzbietu swojego rumaka, przywiązanego do konia Edmunda. Czekam, że zacznie wołać, błagać, prosić, namawiać. Nic z tego. Siedzi zupełnie cicho i pewnie dlatego inni nie starają się nas rozdzielać tak jak wczoraj. Wiem, że zachowanie Soni powinno sprawić mi ulgę, ale gdybym miała powiedzieć, co czuję na początku kolejnego dnia podróży, nie nazwałabym tego ulgą. Spokój, jaki mogłabym odnaleźć w milczeniu Soni, zostaje zaburzony przez myśl o lodowatym spojrzeniu jej niebieskich oczu - pustym, drwiącym.

Ustawiamy się w odpowiedniej kolejności i ostatni raz sprawdzamy, czy niczego nie zostawiliśmy, a potem ruszamy znowu w las. Jedziemy wolniej, bo prowadzimy dwa konie, mojego i Soni. Już po chwili zastanawiam się, czy rozsądnie postąpiłam, zgadzając się jechać

razem z Dimitrim.

Jedzie się przyjemnie. Na tym właśnie polega problem. Gdybym podróżowała sama, byłabym zmuszona do czujności, musiałabym zwracać uwagę na to, co robi grupa i w jakim zmierza kierunku. Teraz natomiast to zapadam w półsen, to budzę się z niego, gdy tymczasem las zasnuwa się coraz gęstsza mgłą, która wreszcie otula wszystko swoim całunem, nie dopuszczając nawet promienia.

Kiedy nie widać słońca, nie da się stwierdzić, czy to południe, czy wieczór, czy jakaś pora pomiędzy nimi. Nie chcę nękać Dimitriego takimi pytaniami. W końcu i tak nie ma to znaczenia. Musimy jechać naprzód bez względu na porę dnia, dopóki nie dotrzemy do morza, przez które popłyniemy na Altus. Nie wolno mi zasnąć, zanim się tam nie znajdziemy.

* * *

Patrzę na świat z uwagą po raz pierwszy od wielu godzin i wiem, że to za przyczyną Henry'ego. Stoi w oddaleniu, dobrze ukryty między drzewami, i gdyby to nie był Henry, pewnie bym go nie dostrzegła. Ale to rzecz jasna *jest* Henry. Mógłby schować się wśród milionów liści na milionach gałęzi milionów drzew, a ja i tak zdołałabym go odnaleźć.

Patrzę dalej na strumień, gdzie moi towarzysze podróży poją konie. Spodziewam się, że kiedy spojrzę po raz drugi w tamto miejsce, Henry'ego już nie będzie, ale myślę się. Stoi tam, gdzie był przed momentem. Tym razem dotyka palcem ust, nakazując milczenie. Potem gestem prosi, żebym podeszła do niego.

Spoglądam na pozostałych, ale wciąż są pochłonięci troską o konie i własne drobne sprawy, przygotowując się do dalszej jazdy. Jeżeli oddalę się tylko na chwilę, nie zorientują się, a takiej okazji nie mogę przecież przegapić. Po raz pierwszy od czasu śmierci brata mam sposobność z nim porozmawiać.

Podchodzę na skraj polanki. Nie waham się, kiedy trzeba przekroczyć linię drzew i wejść w cienisty las. Wtedy Henry idzie jeszcze dalej. Jakoś mnie nie dziwi, że chodzi o własnych siłach. Śmierć uwolniła go od kalekich nóg i wózka inwalidzkiego, który był mu zarazem towarzystwem i więzieniem.

Głos Henry'ego dobiega mnie poprzez mgłę.

- Lia! Chodź tutaj, Lia! Muszę z tobą porozmawiać.

Wołam dosyć cicho, nie chcąc, by zauważono moją nieobecność:

- Nie mogę się oddalać na długo, Henry. Inni na mnie czekają.

Mój brat znika za jednym z drzew, ale nadal słyszę jego głos.

- Dobrze, Lia. Tylko chwilkę porozmawiamy. Zaraz wrócisz.

Idę więc za nim, dochodząc do drzewa, za którym ostatnio go widziałam. Na początku wydaje mi się, że to wyobraźnia splatała mi figla albo że jestem zbyt zmęczona, bowiem Henry'ego tam nie ma. Potem jednak dostrzegam go - siedzi na przewróconym pniu z mojej lewej strony.

- Henry - tylko tyle potrafię powiedzieć. Boję się, że zniknie, jeśli naruszę ciszę.

Mój brat uśmiecha się.

- Lia, podejdź tu i siądź obok mnie, dobrze?

Mówi tak jak za życia, dlatego bez strachu przyjmuję jego pojawienie się w moim świecie. Umiejętności, jakich nabywa się w Pozaświatach i na jakie zezwala prorocstwo, są niezmierzone i nie zawsze możliwe do przewidzenia. Po wszystkim, co już widziałam, trudno mnie zaskoczyć.

Podchodzę i siadam obok Henry'ego na kłodzie. Patrzę mu w oczy - są ciemne, niezgłębione, takie, jak pamiętam. To oczy mojego ojca, pełne uczuć i ciepła. Przez chwilę wypełnia mnie tak wielki żal, że ledwie mogę zaczerpnąć tchu.

Staram się zebrać zmysły; nie wiedząc, jak długo będzie nam dane rozmawiać na osobności.

- Jak dobrze cię widzieć, Henry. - Wyciągam rękę, żeby dotknąć jego gładkiego policzka.

- Nie mogę uwierzyć, że znalazłeś się tutaj.

Henry chichocze. Jego śmiech niesie się przez las jak dym.

- Oczywiście, głuptasie! Przyszedłem się z tobą spotkać. - Jego twarz poważnieje. Brat zbliża się do mnie i obejmuje ramionami w dzieciennym uścisku. - Tęskniłem za tobą, Lia.

Wdycham jego zapach. Jest taki, jaki pozostał w mojej pamięci - pomieszana woń chłopięcego potu, starych książek i wielu lat spędzonych w zamknięciu.

- Ja też za tobą tęskniłam, Henry. Bardziej niż myślisz.

Trwamy tak przez moment, wreszcie, choć niechętnie, odsuwam się, aby zapytać:

- Widziałeś się z mamą i tatą? Jak się miewają?

Henry patrzy mi w oczy i teraz to on wyciąga rękę, by pogłaskać mnie po policzku. Ma ciepłe paluszki.

- U nich wszystko w porządku. Mam ci dużo do opowiedzenia, ale wyglądasz na zmęczoną, Lia. Chyba nie czujesz się dobrze.

- Nie wolno mi zasnąć - wyjaśniam. - To przez Dusze, rozumiesz. Znalazły sobie szpiega w naszej grupie. Zatrwały umysł Soni. - Pokazuję mu dłoń. - Teraz tylko ja mogę nosić medalion. Dlatego nie wolno mi spać, Henry, dopóki nie dotrzemy na Altus, do ciotki Abigail.

W oczach braciszka widzę litość i współczucie.

- Tak, ale nie zdołasz walczyć z Duszami, kiedy nadejdzie pora, ani pokonać ich teraz, jeśli nie odpoczniesz. - Przysuwa się bliżej. - Oprzyj głowę na moim ramieniu. Tylko na chwilę. Jeżeli teraz zamkniesz oczy na parę minut, łatwiej ci będzie znieść dalszą podróż. Będę cię pilnował; obiecuję.

Henry oczywiście ma rację. Niełatwo jest wybierać pomiędzy koniecznością pilnowania medalionu a przygotowania się na atak ze strony Dusz. Jeśli odpocznę, będę w lepszej formie, by pokonać przeszkody, jakie mogą jeszcze pojawić się w drodze na Altus. Komuż mogłabym zaufać bardziej niż ukochanemu bratu, który narażał się na niebezpieczeństwo, ukrywając listę z nazwiskami Kluczy, aby Alice nie wykorzystała jej w swoich celach?

Opieram głowę o ramię Henry'ego, wdychając zapach jego tweedowej kamizelki. Kiedy patrzę pod tym kątem, las wygląda dziwnie. Cały przechyla się na bok, jest ciemny i zupełnie obcy, jakbym go wcale nie znała. Pozwalam swoim powiekom opaść, zanurzam się w rozkoszną pustkę snu. Ponieważ nie zaznałam go podczas ostatnich nocy, to uczucie jest mi bardzo drogie.

Chciałabym powiedzieć, że cieszę się chwilą spokoju, że udaje mi się skraść parę minut odpoczynku. Może na moment tak, ale już po sekundzie zrywa się wokół mnie silny wiatr. Nie, właściwie nie - on przewiewa mnie na wylot. Wydostaje się z jakiejś odwiecznej przestrzeni, jaka otwiera się we mnie.

W jednym błysku pojawia się wspomnienie wyspy i morza, gdzie jako dzieci wiele razy spędzaliśmy wakacje. Na tej wyspie Alice i ja nauczyliśmy się pływać. Stałyśmy na plaży, a woda gnała do naszych stóp. Podziwialiśmy wtedy potęgę morza, jego zdolność, by wciągać w głąb masy piasku - kiedy fala odsuwała się, zostawałyśmy w sporym zagłębieniu. Teraz też się tak czuję. Jakby coś otwarło się w moim wnętrzu i zagarniało wszystko, co ważne, w jakiejś przepastnej głębinie, dopóki na znajomej plaży nie pozostanie samotna, pusta muszelka.

- Lia! Gdzie jesteś, Lia? - z daleka dochodzą mnie jakieś głosy. Nie mam sił, by otworzyć oczy i sprawdzić, skąd dolatują. Poza tym na ramieniu Henry'ego jest tak wygodnie, stanowi tak solidne oparcie dla mojego policzka. Chciałabym tak trwać jeszcze przez długi czas.

Jednak luksus snu i nieświadomości zostaje mi odebrany. Ktoś mnie budzi gwałtownym szarpnięciem, a potem, o zgrozo, uderzeniem w twarz.

- Lia! Co ty wyprawiasz?! - Widzę nad sobą Luise, patrzę w jej brązowe oczy.

- Odpoczywam sobie. Z Henrym - sama ledwie rozumiem swoje niewyraźne, nierozsądne słowa.

- Lia... Lia... Posłuchaj mnie... - apeluje do mnie Luisa. Pojawiają się Dimitri i Edmund.

Ciężko oddychają, jakby biegli. - Henry'ego tu nie ma. Zostałaś zwabiona do lasu!

Przez maskę apatii przebija się moja urażona duma.

- Owszem, Henry *jest* tutaj. Pilnuje mnie, kiedy śpię, a potem powie mi wszystko, co musimy wiedzieć, żeby bezpiecznie dotrzeć na wyspę.

Kiedy jednak rozglądam się za Henrym, widzę, że wcale nie siedzę na powalonym pniu - chociaż zdawało mi się, że na nim usiadłam. Leżę na ziemi, pośród zeschniętych, szeleszczących liści. Patrzę ponad głowami Luisy, Dimitriego i Edmunda. Henry'ego tu nie ma.

- *Był* tutaj. Jeszcze przed chwilą.

Staram się podnieść, a wtedy Dimitri szybko podtrzymuje mnie swoim ramieniem. Dopiero po pewnym czasie odzyskuję równowagę. Obracam się dookoła, rozglądając się po lesie i szukając wzrokiem jakiegoś śladu brata. Skądś jednak wiem, że rzeczywiście nie ma go tutaj. I nigdy nie było. Zasłaniam twarz rękami.

Dimitri odrywa je i zatrzymuje w swoich dłoniach.

- Spójrz na mnie, Lia.

Wstydzę się. Ja, właśnie ja, dałam się skusić i zasnąłam. Pozwoliłam Duszom, żeby posłużyły się moją miłością do brata. Kręcę głową.

- Spójrz na mnie. - Dimitri puszcza jedną dłoń i podnosi mój podbródek do góry. Nie mam wyjścia, muszę patrzeć prosto w jego czarne jak atrament oczy. - To nie twoja wina. Naprawdę. Jesteś najsilniejsza z nas, Lia. Ale jesteś tylko człowiekiem. To cud, że wcześniej nie rzuciły na ciebie zaklęcia.

Wyrywam się z uchwytu, odwracam i robię kilka kroków. Wtedy ogarnia mnie już absolutna furia. Zwracam się znowu ku Dimitriemu.

- Wykorzystały mojego brata! Ze wszystkich rzeczy na świecie, świętych rzeczy, czemu właśnie jego?! - pierwsze słowa wykrzykuję, pozostałe przechodzą w lament.

Dimitri przemierza dzielącą nas odległość dwoma długimi krokami. Bierze moją głowę w swoje dłonie i zagląda mi w oczy.

- Bo wykorzystają, co się tylko da, Lia. Dla nich nic nie jest święte. Nic poza władzą i potęgą, których tak pragną. Nawet jeśli przestaniesz cokolwiek rozumieć i nie będziesz już nic pamiętać, to jedno musisz i wiedzieć, i zachować w pamięci. Musisz.

Rozdział 18

Nim zabieramy się do rozbijania obozu na nocny spoczynek, ja osiągam jakiś stan hiperświadomości. Wydaje mi się, że nie zdołałabym zasnąć, nawet gdybym miała taką możliwość, chociaż nigdy w życiu nie byłam tak wyczerpana. Luisa i Sonia skryły się w swoich namiotach, Dimitri i Edmund odpoczywają w ciszy, a ja zaczynam nabierać przekonania, że tylko nieustanny ruch i nieprzerwane myślenie chronią mnie przed zaśnięciem.

Zaczynam spacerować skrajem obozowiska, gdy Edmund i Dimitri przywiązują jeszcze konie na noc. Potem Edmund ma czuwać przy namiocie Soni, jak czynił wcześniej. Nadal nie wiem, czy stale pilnuje jej po to, żeby obronić mnie, czy pragnie ustrzec Sonię przed nią samą. Jestem zbyt zmęczona, żeby pytać.

Spaceruję i myślę. Staram się wyobrazić sobie ostatni odcinek naszej podróży aż do momentu, kiedy spotkam się z ciotką Abigail na wyspie Altus, a potem kolejną wyprawę w poszukiwaniu zaginionych stron Księgi. Dobrze jest mieć czym zająć myśli, a poza tym mam okazję rozważyć ewentualne trudności i sposoby zaradzenia im.

- Może przydałoby ci się towarzystwo? - Jestem tak zadumana i znużona, że wzdragam się na głos odzywający się za moimi plecami. Nie zatrzymuję się jednak, tylko obracam głowę, a wtedy widzę, że z prawej strony zrównuje się ze mną Dimitri.

- Nie trzeba, Dimitri - protestuję. - Pośpij. Ze mną wszystko w porządku.

- Ja właściwie też czuję się świetnie - śmieje się. - I jestem jeszcze bardziej czujny niż zwykle.

Odpowiadam uśmiechem.

- Mimo wszystko liczę na to, że dowiesz mnie bezpiecznie na Altus. Jeśli będziesz zbyt zmęczony, obydwójce możemy trafić na zupełnie inną wyspę!

Dimitri łapie mnie za rękę.

- Zapewniam cię, że jestem tak przytomny, jak tego dnia, kiedy dogoniłem was i Wilki. Już ci mówiłem, że nie potrzebuję tyle snu co ty.

Przechyliłam głowę, żeby go lepiej widzieć podczas spaceru.

- A z jakiego to powodu? Nie jesteś zwykłym... śmiertelnikiem?

Dimitri odchyła głowę do tyłu i śmieje się w granatowe niebo.

- Tak, jestem zwykłym śmiertelnikiem! A za kogo ty mnie uważasz, za bestię? - Szczerzy zęby i żartobliwie warczy.

- Bardzo śmieszne - przewracam oczami. - To źle, że zapytałam? Jak to możliwe, że nie potrzebujesz snu?

- Nigdy nie powiedziałem, że wcale nie potrzebuję snu. Po prostu mogę wytrzymać bez spania dłużej niż ty.

Patrzę na niego z ukosa.

- Myślę, że starasz się omijać temat. Nie wydaje ci się, że na tym etapie znajomości nie powinniśmy mieć przed sobą sekretów? - Podoba mi się to łobuzerskie przekomarzanie. Czuję się trochę bardziej normalnie. Jakbyśmy spacerowali w którymś z licznych londyńskich parków w piękny letni dzień.

Dimitri wzdycha. Kiedy znowu spogląda na mnie, ma trochę smutny uśmiech.

- Jestem śmiertelnym człowiekiem tak jak ty, ale pochodzę, w linii męskiej, z jednego z najstarszych rodów Obserwatorów, a w linii żeńskiej - z prastarego rodu Sióstr. W zasadzie każdy z moich męskich przodków, wywodzących się od Czuwających, żył w związku z jedną z Sióstr. Z tego powodu posiadam pewne... niezwykle umiejętności. Przynajmniej tak mi mówiono.

- Co masz na myśli? O jakich umiejętnościach mówisz? - Nie potrafię oprzeć się wrażeniu, że Dimitri ukrywa przede mną coś istotnego.

On tymczasem bierze mnie za rękę.

- O tych samych, jakie masz ty. To zdolność podróżowania po Równinie, odczytywania przyszłości z lustra wody, rozmawiania z umarłymi... Im bliżej jesteśmy spokrewnieni z Czuwającymi i Obserwatorami, tym większą część ich mocy dane jest nam zachować.

Wpatruję się w ciemność, chcąc wskazać, co w jego wypowiedzi tak mnie zastanowiło. Wreszcie wiem i odwracam się do Dimitriego.

- Powiedziałeś: "jesteśmy spokrewnieni z Czuwającymi".

- Tak.

- Co właściwie miałeś na myśli?

Dimitri przygląda mi się z nieśmiałym uśmiechem.

- Ty też wywodzisz się z pradawnego rodu, z czystej linii. Nie wiedziałaś?

Kręcę przecząco głową, choć w moim otępiłym umyśle pojawia się gdzieś niewyraźne wspomnienie i stara się wydostać na powierzchnię.

- Dopiero niedawno dowiedziałam się, że mój ojciec należał do Obserwatorów. Nie miałam czasu, żeby popytać o jego rodowód.

Dimitri zatrzymuje się i ciągnie mnie za rękę, tak że ja też muszę przystanąć.

- Był potężnym Obserwatorem, a twoja matka była jedną z Sióstr, Lia. Ty także wywodzisz się z długiej linii związków pomiędzy Obserwatorami a Siostrami. Dlatego masz taką moc.

Zaskoczona, znowu podejmuję marsz, tym razem tak szybki, że Dimitri musi truchtać, żeby nadążyć. Nie mam ochoty odkrywać relacji, które zaczynają się ujawniać, mimo że na razie nie wiem dlaczego.

- Lia... Co się stało? Przecież to nic... Nic takiego, co mogłoby cię zdenerwować. A w ogóle z takim rodowodem masz większą szansę doprowadzić prorocтво do końca. To dzięki swojemu pochodzeniu Abigail była tak silna, podobnie jak twoja matka.

- Tak - odpowiadam - ale to oznacza również, że Alice ma większą moc, niż myślałam, a i tak uważałam, że jest ogromnie silna. Poza tym...

- Co poza tym?

Czuję, że na mnie patrzy, ale unikam jego wzroku. Idę naprzód, starając się ogarnąć słowami smutek, jaki nagle mnie dopadł. Wreszcie zatrzymuję się.

- Poza tym zaczynam rozumieć, że w zasadzie nie znałam własnego ojca, że musiał czuć się bardzo samotny, bo nie wierzył, że może dzielić ze mną swoje troski.

- Starał się chronić cię, Lia. To wszystko. To wszystko, co każdy z nas, Obserwatorów, stara się zrobić dla każdej z Sióstr.

Umiem tylko skinąć głową na znak zrozumienia. Potem idę dalej.

Mimo że na tym konwersacja się urywa, Dimitri nie odchodzi ode mnie. Spacerujemy przez całą noc, czasami w milczeniu, czasami cicho rozmawiając. Zataczamy kręgi wokół obozowiska, dopóki niebo nie zmienia barwy z ciemnoniebieskiej na różową, a potem bladopomarańczową daleko na wschodzie. Spacerujemy, dopóki znowu nie trzeba jechać.

* * *

Po godzinie porannej jazdy zaczynam czuć zapach morza. Dzięki temu, że wiem, iż jest tak blisko, łatwiej mi zwalczać podstępna senność. Jednak zrezygnowałam już z godnej postawy - nie siedzę w siodle wyprostowana, tylko kulę się przy piersi Dimitriego. Nie wiem nawet, czy Sonia rzuca na mnie spojrzenia, czy w ogóle zwraca na mnie uwagę. Dawno temu przestałam zużywać swoją cenną energię na związane z nią zmartwienia. Na razie moja przyjaciółka jest cicho i to mi zupełnie wystarcza.

Las miga mi przed oczami jak bezkształtna masa, mam tylko jedno pragnienie - żeby zamknąć oczy. Tylko spać, spać i spać. Ale słony zapach oceanu daje mi nadzieję, że koniec

podróży jest już bliski.

Las stopniowo się przerzedza, drzewa nie rosną zbyt gęsto, a potem pojawiają się w takich odległościach, że chyba nie można już mówić o lesie. Na koniec przekraczamy jakiś niewidzialny próg i znajdujemy się na plaży.

Konie zatrzymują się natychmiast. Przed nami, na niezmierną odległość, rozciąga się morze, chmurne i szare. Patrzymy na nie w milczeniu.

Pierwszą osobą, która zsiada z konia, jest Luisa. Zeskakuje na ziemię z typowym dla siebie wdziękiem i rozsznurowuje buty. Ściąga je, potem zdejmuje pończochy. Kiedy jej stopy są bosc, zakopuje palce w piasku. Przygląda się swoim nogom, potem podnosi oczy na mnie.

- Chyba nie jesteś zbyt zmęczona, Lia, żeby zamoczyć nogi w morzu?

Był taki czas, kiedy jej łobuzerski uśmiech skusiłby mnie od razu, kiedy bez wahania przyłączyłabym się do niej. Teraz jej słowa docierają do mnie gdzieś z daleka. Długo trwa, nim wreszcie do mnie przybiegną, a wtedy i tak nie pozostawiają żadnego śladu w mojej świadomości.

- Lia... - chropawy głos Dimitriego odzywa się przy moim uchu, za plecami czuję jego silną pierś - Może pójdziesz z Luisą? Chłodna woda dobrze by ci zrobiła. - Kiedy zsiada z konia, z tyłu owiewa mnie zimne powietrze. Stojąc na ziemi, wyciąga do mnie rękę. - Chodź.

Instynktownie łapię jego dłoń i przerzucam nogę ponad końskim grzbietem. Schodząc na ziemię, lekko się potykam. Luisa przyklęka i chwyta moją stopę.

- Daj. Zajmę się tym. - Stuka lekko w mój but, a ja posłusznie podnoszę nogę, opierając się o konia Dimitriego.

Luisa najpierw zdejmuje but i pończochę z jednej nogi, potem z drugiej. Bosymi stopami stoję wreszcie na piasku, zimnym i ziarnistym. Luisa podnosi się z klęczek. Bierze mnie za rękę i bez słowa ciągnie w stronę wody.

Rozum jeszcze całkowicie mnie nie opuścił. Idąc niezgrabnie za Luisą, zastanawiam się, jak dostaniemy się na wyspę Altus, co jeszcze się zdarzy podczas tej podróży. Brakuje mi jednak motywacji, żeby pytać albo nawet dłużej się zastanawiać. Pozwalam Luisie ciągnąć się w kierunku nadpływających fal, aż zalewają mi stopy. Woda jest lodowata, a mnie ogarnia mieszanka jakby bólu i euforii, kiedy palce giną w śliskiej, słonej toni.

Wiatr niesie śmiech Luisy gdzieś ponad morze. Przyjaciółka puszcza moją dłoń i wchodzi coraz głębiej, nabierając wodę rękami i rozchlapując ją na wszystkie strony jak dziecko. W takiej chwili żałuję, że utraciliśmy Sonię - powinna być tu z nami w morzu, śmiać się i cieszyć, że dojechaliśmy tak daleko, że jesteśmy tak blisko Altus. Niestety, stojąca z tyłu

Sonia jest prawie więźniem, bacznie obserwowanym przez Edmunda i Dimitriego. Walczą we mnie smutek i niechęć. To przegrana bitwa, obojętne której ze stron przypadnie zwycięstwo.

- Zaczekaj chwilę... - Luisa przestała igrać z falami. Stoi kilka metrów ode mnie i wpatruje się w mgiełkę nad horyzontem. Podążam za jej spojrzeniem, ale nic nie dostrzegam. Wzdłuż widnokregu rozciąga się mgła, zlewając się z szarym morzem i bezbarwnym niebem.

Lecz Luisa coś widzi. Wciąż się przygląda, a potem odwraca się do Edmunda i pozostałych.

- Edmundzie, czy to...? - Nie kończy zdania, tylko znowu obserwuje morze.

Patrzę na resztę grupy. Edmund idzie powoli w stronę Luisy i mnie i również wypatruje czegoś w oddali. Wchodzi w wodę, nie zważając na to, że zamoczył buty, i zatrzymuje się obok.

- Tak, panno Torelli. Chyba ma pani rację - mimo że zwraca się do niej po nazwisku, mówi jakby do wszystkich i zarazem do nikogo.

- Rację w jakiej sprawie? - zadaję mu pytanie. Mój język wydaje się spuchnięty.

- W sprawie tego, co widać - wyjaśnia Edmund. - Tam.

Patrzę we wskazanym kierunku i rzeczywiście dostrzegam jakiś ciemny kształt zbliżający się do nas po falach. To pewnie z powodu braku snu nagle zaczynam się bać, gdy ten kształt podpływa coraz bliżej. Jest przeogromny. Ta wielka, górująca nad nami bryła jest tym straszniejsza, że nadciąga zupełnie bezgłośnie. W moim gardle narasta irracjonalny; histeryczny krzyk, ponieważ nieznamy kształt przebija się przez ostatnie zasłony mgły Wiszącej nad wodą.

Luisa odwraca się do wszystkich z uśmiechem.

- Widzicie? - Zgina się w teatralnym pokłonie, a potem prostuje, wskazując dłonią to, co w ciszy kołysze się na falach. - Pani, twój rydwan czeka.

Wtedy zaczynam rozumieć.

* * *

Gdy tak unosimy się i opadamy na falach, nie mogę sobie przypomnieć, z jakiego powodu przypuszczałam, że podróż morską będzie przyjemniejsza niż jazda w siodle. Jesteśmy już na morzu od jakiegoś czasu; trudno powiedzieć, jak długo, bo niebo jest przez cały dzień szare, ani ciemniejsze, ani jaśniejsze. Wnioskuje więc tylko, że nie minęła noc.

Nawet nie próbuję niczego zapamiętać z tego rejsu. Moje zmęczenie jest zbyt zniewalające, nie pozwala mi normalnie myśleć, a poza tym brzeg momentalnie kryje się za mgłą. Wystarcza mi niewyraźne przekonanie, że płyniemy na północ. Rytmiczne kołysanie

fal nieomal mnie usypia, tak że odczuwam irracjonalne pragnienie, żeby wskoczyć do wody; aby w jakiś sposób uciec od tego hipnotycznego kiwania.

Wsiedliśmy do łodzi natychmiast, gdy przybiła do plaży. Edmund i Dimitri w ogóle się nie zdziwili, jakby to było normalne, że z mgły wyłania się łódź i bez zbędnych wyjaśnień zabiera nas na wyspę, której nie pokazuje żadna mapa cywilizowanego świata. Zastanawiam się, skąd łódź "wiedziała", gdzie jesteśmy.

Myślę, co stanie się z Sargentem i pozostałymi końmi. Edmund zapewnił mnie, że "znajdą dobrą opiekę". Zastanawiam się też, kim są dwie postacie w powłóczyście szatach stojące po obydwu stronach łodzi i wiosłujące bezszelestnie po wodzie. Nie mają żadnych znaków szczególnych - nawet nie potrafię stwierdzić, czy to mężczyźni, czy kobiety - i w ogóle się nie odzywają. Mimo że mam wiele pytań, stawiam je tylko w myślach, bo nie ufam swojemu rozsądkowi na tyle, żeby je zadać na głos.

Sonia siedzi na dziobie, ja na rufie. Im dłużej płyniemy, tym bardziej się uspokaja. Wreszcie przestaje mi rzucać gniewne spojrzenia przez ramię i wpatruje się w mgłę. Edmund jest zawsze przy jej boku, a Dimitri obok mnie. Jego obecność, nawet kiedy milczy, dodaje mi otuchy. Opieram się o niego i zanurzam palce w wodzie, podczas gdy Luisa drzemie na dnie łodzi, z głową wspartą na ramieniu.

Woda jest niezwykle spokojna. Czujemy kołysanie, ale jest ono wywołane jednostajnym, powolnym przesuwaniem się łodzi po falach, bo samo morze jest gładkie jak lustro, które wieszalam sobie nad kominkiem w swoim pokoju w Birchwood. Patrząc w wodę, zastanawiam się, czy moje lustro nadal tam jest, czy moja sypialnia pozostała w nienaruszonym stanie, czy też zabrano z niej wszystko, co sprawiało, że przez tak wiele lat dobrze się czułam w rodzinnym domu.

Początkowo nie mamy czego oglądać. Niebo jest tak szare, że nawet moje odbicie w wodzie jest zatarte, a pod powierzchnią nie widać prawie nic. Ponieważ jednak trzymam rękę w wodzie, natrafiam na coś palcami. Myślę, czy to delfin, czy rekin w wyciągam dłoń z wody, bo może to być któreś z dziwacznych stworzeń, jakie oglądałam w książkach ojca o morzu.

Wychylam lekko głowę za burtę. Nagrodą jest błysk jakiegoś oka, jakby aligatora czy krokodyla, wyłaniającego się z fal. Oko przygląda mi się bacznie, ale reszta ciała pozostaje pod powierzchnią wody. Oczywiście, ponieważ otacza nas ocean, musi to być jakiś inny stwór. Na chwilę odrywam od niego wzrok i spoglądam na swoich towarzyszy w łodzi, sprawdzając, czy ktoś inny zauważył to co ja.

Po raz pierwszy od początku podróży Dimitri zasnął, leżąc obok mnie. Szybko rozglądam

się po łodzi i widzę, że zmęczenie zrobiło swoje. Sonia i Luisa śpią głębokim snem, jak niemowlęta nocną porą, tylko Edmund siedzi, patrząc jak w transie na dziób.

Znowu obserwuję wodę, zastanawiając się, czy to morskie stworzenie przywidziało mi się. Jednak nie. Wciąż tam jest, płynie swobodnie przy burcie, a jego oko przygląda mi się ze współczuciem. Potem mruga, a zwierzę wynurza się nieco z wody. Wygląda jak koń, tyle że smaga wodę ogonem pokrytym łuskami. Nie przypomina więc żadnego konia, jakiego w życiu widziałam.

Właśnie jego oko jest najbardziej pociągające. Nie potrafię tego wyjaśnić, ale wzrok tego morskiego konia jest pełen zrozumienia. Zrozumienia dla tego, co wycierpiałam. Grzywa otaczająca sporą głowę faluje jak kępa wodorostów. Wyciągam rękę poza łódź, starając się dosięgnąć silnej szyi zwierzęcia, którą widzę pod powierzchnią wody. Jest śliska, a jednocześnie puszysta. Wszechogarniające spojrzenie stworzenia i dziwna w dotyku skóra hipnotyzują mnie. Głaskam go po szyi, a on, jakby odczuwał przyjemność, przemyka na chwilę swoje oko. Kiedy ponownie je otwiera, wiem, że popełniłam błąd.

Nie mogę cofnąć ręki.

Przylgnęła do morskiego stwora. Wielkie oko mruga, a potem koń zanurza się pod wodę, ciągnąc mnie za sobą. Na początku jestem zbyt przerażona, żeby cokolwiek powiedzieć czy zrobić, kiedy jednak zwierzę wywleka mnie za burtę, zaczynam kopać i szamotać się. Z powodu zamieszania wszyscy w łodzi zrywają się na równe nogi.

Lecz jest za późno. To stworzenie jest silniejsze, bardziej potężne niż przypuszczałam. W jednej chwili ląduję za burtą, w morzu. Ostatnią rzeczą, jaką widzę, nie są oczy Dimitriego, zaskoczone i wystraszone, lecz para postaci bez twarzy, nieustannie wiosłujących z przodu i z tyłu. W chaosie, jaki zapanował na łodzi, one nawet nie drgną.

Nim koń wciąga mnie całkowicie pod powierzchnię wody, udaje mi się wziąć głęboki wdech. Najpierw walczę, staram się oderwać rękę od szyi zwierzęcia, ale już po chwili zdaję sobie sprawę z daremności tych wysiłków. Koń nie przebiega w kierunku morskiego dna, choć z pewnością mógłby. Schodzi w głębiny spokojnie, jakby miał nieskończenie wiele czasu. To powolne tempo jest dla mnie torturą, bowiem koniec nie przychodzi szybko, o nie. Mam czas, aby kontemplować własną śmierć.

Podwodny świat jest mroczny, wypełniony przez ciemne kształty i oślizgłe przedmioty, które mnie dotykają. Już wkrótce ogarnia mnie bezwład, który, jak wiem, towarzyszy tonięciu. Moje ciało unosi się w wodzie, ciągnięte przez silnego konia, a ręka pozostaje na zawsze uwięziona przy jego szyi, jak w tamtym momencie, kiedy zabrał mnie z łodzi. Wola walki opuszcza mnie jedną wielką falą. Pozwalam się wlec coraz niżej w głąb, bez oporu.

Prawdę mówiąc, jestem zmęczona. Tak bardzo zmęczona. A woda już po raz drugi chce mi odebrać życie.

Może to przeznaczenie. Może to woda ma zażądać mojej duszy.

Taka jest moja ostatnia świadoma myśl.

Rozdział 19

Działy się różne rzeczy; ale nabieram pewności, że śmierć przyjdzie przez zadławienie.

Odzyskuję przytomność na dnie łodzi, plując wodą i kaszląc tak mocno, aż boli mnie gardło. Cienie innych postaci pojawiają się gdzieś na obrzeżach, ale na pierwszy plan wysuwa się twarz Dimitriego, zmęczona i bezgranicznie smutna. Dimitri pochyla się nade mną, przytrzymując mnie za ramię, żebym mogła wykrztusić niekończący się strumień wody morskiej, która wypełnia wszystkie pory; wszystkie jamy; wszystkie naczynia mojego ciała. Wreszcie kaszel ustaje, przynajmniej na moment, a wtedy Dimitri bierze mnie w ramiona i przyciąga do swojej mokrej piersi.

- Tak mi przykro - mówi.

Bez wątpienia to wszystko moja wina. Nie pamiętam całego zdarzenia dokładnie, ale nieprędko zapomnę, jak dziwne zwierzę wciągnęło mnie do wody i jak bardzo byłam naiwna.

Dimitri kręci głową i odzywa się szorstkim, zachrypniętym głosem:

- Powinienem być lepiej cię pilnować... bardziej uważać.

Brak mi sił, by oponować. Obejmuję go ramionami i, również cała mokra, przytulam się do niego.

Obok mnie klęczy Luisa; chyba nigdy nie widziałam jej tak zmartwionej.

- Dobrze się czujesz, Lia? Ja w jednej chwili słodko zasnęłam, a już w następnej zobaczyłam twoje stopy znikające pod wodą!

- To był koń morski - wyjaśnia Dimitri, jakby chodziło o najnormalniejsze zwierzę na świecie, a nie o stworzenie, które dotychczas znałam ze starożytnych mitologii. - Pewnie wypełniał rozkaz Dusz, tak jak Wilki w lesie. Nie chcą dopuścić do tego, żebyś dotarła na Altus i odnalazła brakujące stronicie.

Luisa zaczyna wyciągać suche rzeczy z sakwy.

- Obydwoje trzęście się z zimna! Rozchorujecie się na śmierć!

Nawet w tym stanie dostrzegam nutkę ironii w okrzyku Luisy, ale jestem wdzięczna za koce, które wyciąga z bagaży swoich i Edmunda. Dimitri otula mnie, potem owija się sam i siada przy burcie, przyciągając mnie do siebie.

Luisa, zadowolona, że chwilowo jesteśmy cali i zdrowi, siada z tyłu, tam gdzie wcześniej. Edmund zajmuje pozycję w pobliżu Soni, która wygląda, jakby w ogóle się nie poruszyła w

trakcie incydentu. Dopiero teraz przyglądam mu się dokładnie. Nie wygląda dobrze. Od czasu, jak ostatnio na niego patrzyłam, przybyło mu dziesięć lat. Rysy zniekształcił strach, zmartwienie i smutek. Od razu rozumiem, co się stało, a serce rozrywa mi poczucie winy.

Edmundowi już utonęło jedno dziecko. Henry nie był wprawdzie jego rodzonym synem, jednak nie mam wątpliwości, że Edmund kochał mojego brata jak swojego własnego potomka. Śmierć Henry'ego prawie go załamała, a teraz ja sprawiłam, że powrócił do tych chwil... do tych strasznych chwil, kiedy bez ostrzeżenia i bez wyjaśnienia można stracić wszystko, nawet to, co najcenniejsze.

Wiem, że powinnam coś powiedzieć i jakoś załagodzić troskę, której byłam przyczyną, lecz nie umiem znaleźć odpowiednich słów, a gardło dławi mi żal. Napotykam tylko jego wzrok. Mam nadzieję, że rozumie.

* * *

- To ty, prawda? Ty mnie uratowałaś. - Opieram się o Dimitriego. Mimo koców i płynącego od niego ciepła jest mi tak zimno, iż mogę się nie obawiać, że zasnę. Nie mogłabym się odprężyć aż tak, żeby odpłynąć w sen, nawet gdybym chciała.

Dimitri nie odpowiada od razu, wiem, że zastanawia się, jak dużo powinien mi powiedzieć. Nie wiem, co się działo, kiedy byłam pod wodą. Mam tylko niewyraźne wspomnienie nieprzeniknionej ciemności, mrocznych postaci, a potem dziwnego światła, które rozjaśniło ciemność, nim pomyślałam, że już nie żyję.

Ale to *był* Dimitri. Przynajmniej to jest jasne, sądząc po jego mokrych włosach i przesiąkniętym wodą ubraniu. Chcę to zrozumieć. Zrozumieć *Dimitriego*.

On tymczasem nabiera powietrza, przygotowując się do odpowiedzi. Czuję, jak jego pierś podnosi się.

- Tak. Wykorzystałem to, że jako Obserwator mam władzę nad tym stworzeniem.

- Masz taką władzę?

- Tak... - urywa. - Ale nie powinienem jej wykorzystywać.

Obracam się w jego objęciach, żeby spojrzeć mu w twarz.

- Co to znaczy?

- Nie powinienem - wzdycha Dimitri - ingerować w wypełnianie się proroctwa. W zasadzie nie wolno mi udzielać ci pomocy. Balansowałem na krawędzi, ale, jak sądzę, nie łamałem praw Obserwatorów, powstrzymując cię przed zaśnieciem i eskortując na Altus. Z technicznego punktu widzenia nie interweniowałem nawet podczas zdarzenia z Wilkami. To one odstąpiły z własnej woli, widząc, że jestem z tobą.

Wiem, że po tych pełnych wahania słowach wiele spraw pozostaje niewypowiedzianych.

- Ale jest coś jeszcze, prawda?

- To nie jest dla ciebie powód do zmartwień, Lia. Nie chcę, żebyś dręczyła się tym, że to ja podjąłem pewną decyzję. Gdyby było trzeba, podjąłbym ją po raz drugi. Nieudzielenie ci pomocy po prostu nie wchodziło w grę i nigdy nie może być dobrym rozwiązaniem.

Dotykam jego twarzy. Jego skóra pod moimi palcami jest zimna.

- Więc teraz uczestniczymy w tym razem, tak? Chyba bardziej niż przedtem.

Po chwili wahania Dimitri kiwa głową.

- Bez względu na to, jakie konsekwencje poniesiesz za swoją interwencję, nie zostaniesz sam, jeśli tylko zdołam ci pomóc.

- Chcąc cię uratować, poważnie naruszyłem prawo. Użyłem magii, która jest... zakazana w świecie materialnym, bo musiałem odebrać moc koniowi morskemu. Jego siła znacznie przewyższa siłę śmiertelnego człowieka, a jednocześnie jest dużo mniejsza niż siła Obserwatora czy nawet niejednej Siostry. Ty również byłabyś w stanie pokonać to stworzenie, gdyby odpowiednio cię wyszkolono. Twoje siły są znaczne, tylko nieukształtowane.

Wiem, że ma to nikły związek z omawianą sprawą, ale mimo wszystko czuję się urażona. Przecież od miesięcy nie robię nic innego, tylko doskonalam swoje umiejętności.

- Nie potrafię tak świetnie jak ty korzystać ze swoich zdolności, lecz myślę, że dość dobrze radziłam sobie, rozwijając je w ostatnim czasie.

- Nie robiłaś tego całkiem sama - Dimitri przekrzywia głowę. - Chyba nie. Prawda?

Początkowo nie rozumiem, dlaczego o tym wspomina, potem jednak zaczynam sobie zdawać sprawę i ogarnia mnie prawdziwe przerażenie.

- Sonia. Pomagała mi Sonia! - Kręcę z niedowierzaniem głową, jakby ten gest mógł unieważnić argument Dimitriego. - Ale z nią wszystko było w porządku, dopóki nie wjechaliśmy do lasu.

Dimitri zakłada mi za ucho kosmyk włosów, twardy i sztywny od słonej morskiej wody.

- W porządku? - Bierze głęboki wdech. - Lia, Dusze nie uzyskały władzy nad Sonią w ciągu jednej nocy. Musiał to być pewien proces.

Obracam się tak, żeby znowu opierać się plecami o Dimitriego. Nie chcę, żeby widział, jak na mojej twarzy odbija się smutek pomieszany ze złością i niedowierzaniem.

- Myślisz więc, że Sonia była pod wpływem Dusz już od jakiegoś czasu.

To nie pytanie, jednak Dimitri odpowiada.

- Myślę, że to założenie jest bardziej prawdopodobne niż odwrotne. Być może jej

przymierze z Duszami zaczęło się od delikatnej sugestii, na przykład rzuconej przez kogoś, kogo Sonia uważała za niezwiązanego z nimi.

- Ale... to oznaczałoby... - nie potrafię dokończyć.

Robi to za mnie Dimitri.

- Oznaczałoby to, że przypuszczalnie Sonia nie pomogła ci w pełni korzystać z twoich umiejętności. Robiła to albo przez przypadek, albo rozmyślnie. - Dimitri wzrusza ramionami.

- Czy wiedziałaś na przykład, że podobnie jak twoja siostra jesteś Zaklinaczką? Potrzeba czasu, żeby ukształtować te umiejętności, ale już je posiadasz. Możesz być tego pewna. Sądzę, że Sonia o tym wiedziała.

Nie umiem spojrzeć mu w oczy, choć te wiadomości nie są dla mnie całkowitym zaskoczeniem. Nie wiem tylko, czemu ja czuję zawstydzenie, skoro to Sonia zdradziła naszą sprawę. I mnie. Wiem jedynie, że byłam niewiarygodnie łatwowierna.

A teraz wszystko zaczyna układać się w całość, choć wolałabym, aby tak nie było.

Sonia, pod kontrolą Dusz, zadbała o to, żeby moje umiejętności rozwinęły się *w sam raz*. Tyle, abym sądziła, że jestem silniejsza. Że mam szansę stanąć do walki. Nalegała, abym w imię swojego bezpieczeństwa podróżowała po Równinie tylko w jej towarzystwie. W rzeczywistości kierowało nią pragnienie, żeby znać każde moje posunięcie na drodze do zakończenia proroctwa. Podobno martwiła się, czy moje szkolenie nie jest zbyt forsowne - tymczasem nie chciała, żeby moje zdolności rozkwitły za szybko.

Gdy przypominam sobie jej obłąkany upór, bym założyła medalion, jest mi obojętne, czy jej zdrada rozpoczęła się od świadomego wyboru, czy od oszustwa, jakkolwiek było, wiadomo, do czego doprowadziła.

Zaczynam drzeć - *nie* ze strachu, *nie* ze smutku. *Z wściekłości*. *Z* czystej, niepohamowanej *furii*. *Nie* mogę nawet patrzeć na skuloną sylwetkę *Soni* siedzącej na dziobie, bo boję się, że rzucę *się* na nią *i* wypchnę ją za burtę.

Ta złość, a raczej wściekłość przeraża mnie. Jednocześnie lubuję się jej siłą, choć nie ośmieliłabym się stwierdzić, w jaki sposób te uczucia wskazują na przemianę, jaka się we mnie dokonała. Nigdy w *życiu* nie odczuwałam podobnego gniewu. Nawet na moją siostrę, Może dlatego, że zawsze obawiałam się Alice. Zawsze wiedziałam, że nie mogę jej całkowicie zaufać, mimo że powiedziałam to sobie wyraźnie dopiero po wielu latach.

Z Sonią jednak... było inaczej. Była tak czysta i niewinna, że uwierzyłam w dobro. Wierzyłam, że jest nadzieja. Pewnie dlatego unicestwienie tej nadziei rozgniewało mnie bardziej niż każda inna zdrada.

Dimitri rozciera moje ramiona.

- Lia, to nie ona. Tak naprawdę to nie ona. Wiesz o tym.

Stać mnie tylko na skinienie głową.

Siedzimy w milczeniu, we wszechogarniającej mgle. Zgęstniała, odkąd wydobyto mnie z wody. Nawet pozostali pasażerowie łodzi są niewyraźni, jak plamy. Nagle, bez ostrzeżenia, łódź kończy swój spokojny bieg.

Siadam wyprostowana.

- Czemu nie płyniemy?

- Bo jesteśmy na miejscu - odzywa się z tyłu Dimitri.

Przenoszę się z dna łodzi na jedną z desek, które służą jako ławeczki, i staram się cokolwiek dostrzec w oddali. Nic z tego. Wszędzie tylko mgła.

- Panie Markov, dlaczego się zatrzymujemy? - gdzieś ze środka łodzi dobiega zaspany głos Luisy.

- To już Altus - odpowiada Dimitri.

Luisa patrzy na niego jak na głupka.

- Chyba coś się panu wydaje. W promieniu mili nie ma tu nic oprócz tej cholernej mgły!

Nie wiem, czy brak snu spowodował, że jestem całkiem skołowana, czy wprost przeciwnie - reaguję bardziej normalnie. W każdym razie słysząc, jak Luisa przeklina, śmieję się w głos.

Dimitri pociera twarz dłonią. To gest spowodowany albo zmęczeniem, albo irytacją z powodu nadpobudliwości Luisy.

- Proszę mi wierzyć, to Altus. Trzeba tylko chwilę poczekać, żeby przekonać się, że mówię prawdę.

Luisa niecierpliwym gestem krzyżuje ramiona na piersiach, a Edmund podąża wzrokiem ponad wodą za spojrzeniem Dimitriego. Zdarzenia te nie wzbudzają żadnego poruszenia Soni. Jest bezwolna jak wcześniej i chyba wcale nie obchodzi jej, czy dotarliśmy do celu, czy nie.

Zauważam jakiś ruch na dziobie - jedna z postaci w powłóczystych szatach obraca się w stronę wody. Dostrzegam, jak jej długie szczupłe palce chwytają kaptur, który zostaje opuszczony na plecy, odsłaniając kaskadę włosów tak jasnych, że niemal platynowych. Ich płaszcz połyskuje na plecach dziewczyny siedzącej na przodzie łodzi - teraz już wiem, że to dziewczyna, a ściślej mówiąc, młoda kobieta.

Patrzę zahipnotyzowana, jak podnosi ręce, a szerokie rękawy jej szaty opadają, odsłaniając mlecznobiałą skórę. Pośród nas zapada niezwykła cisza. Nawet woda nie szemrze o burty łodzi. Wydaje się, jakbyśmy wszyscy razem wstrzymali oddech, czekając, co nastąpi.

A gdy następuje, okazuje się, że warto było czekać.

Dziewczyna zaczyna mruczeć jakieś słowa w języku, który słyszę po raz pierwszy w życiu. Brzmi to jak łacina, ale wiem, że nią nie jest. Głos dziewczyny przebija się przez mgłę. Oplata się wokół nas, a potem wyrusza dalej, ponad fale. Słyszę, jak słowa płyną jeszcze długo po wyjściu z jej ust, ale to nie echo. To coś innego. Wspomnienie. Rozpływają się dookoła tak długo, aż mgła zaczyna się podnosić - nie od razu, lecz wystarczająco szybko, żebym zdała sobie sprawę, że tutaj nie działa wyłącznie natura.

Woda błyszczy w promieniach słońca, których jeszcze przed chwilą tu nie było. Niebo, poprzednio szare, o ile w ogóle widoczne, teraz połyskuje nad naszymi głowami. Przypomina mi jesienne niebo w Nowym Jorku, tak błękitne, o barwie głębszej niż w innych porach roku.

Jednak nie to wszystko zapiera mi dech.

Sprawia to cudna wyspa, jaka pojawia się przed nami.

Błyszczy pośród morza jak miraż pełen piękna i spokoju. Niewielka odległość dzieli łódź od malej zatoczki, gdzie brzegi wyspy łagodnie zaczynają się wznosić. Na szczycie dostrzegam grupkę budynków, ale znajdują się zbyt daleko, żeby dojrzeć coś wyraźnie.

Najpiękniejsze mimo wszystko są drzewa. Już z wody dostrzegam, że wyspa usiana jest jabłonią, a czerwone owoce, na tle bujnej zieleni liści i porastającej wyspę trawy, wyglądają jak wielokropki.

- Och! Jest wspaniała! - To chyba za małe słowo, by opisać, co widzę, ale na tę chwilę musi wystarczyć.

Dimitri obdarza mnie uśmiechem.

- Przepiękna, prawda? - Spogląda na wyspę. - Nigdy nie przestaję jej podziwiać.

Podnoszę na niego wzrok.

- Ale czy prawdziwa?

Dimitri śmieje się.

- Nie ma jej na żadnej zwykłej mapie, jeśli o to pytasz. Jednak istnieje, okryta mgłą. Istnieje dla Sióstr i Obserwatorów oraz tych, którzy im pomagają.

- Chciałabym się przyjrzeć jej z bliska - mówi Luisa.

Edmund kiwa głową.

- Panna Milthorpe potrzebuje snu, a panna Sorrensen... potrzebuje opieki. - Wszyscy patrzemy na Sonię, która teraz wbija gniewne spojrzenie w Altus. Edmund spogląda na Dimitriego. - Im szybciej, tym lepiej.

Dimitri daje głową znak kobiecie, dzięki której wyspa pojawiła się przed nami. Kobieta przechodzi z powrotem na dziób łodzi i bierze do ręki wiosło, tak jak druga, stojąca na rufie.

Siadam i obserwuję przesuwającą się wodę, niosącą mnie coraz bliżej wyspy; która

skrywa odpowiedzi na pytania, jakie wciąż próbuję stawiać.

Rozdział 20

Jestem zdumiona, widząc kilka osób czekających na nas, kiedy wysiadamy z łodzi. Podobnie jak postaci, które towarzyszyły nam na morzu, i te ubrane są w ciemnofioletowe togi. Stoją rzędem na nabrzeżu. Ich delikatne rysy wskazują, że to kobiety. Wygląda to na uroczyste powitanie.

Najpierw schodzi na ląd Edmund z Sonią, potem Luisa. Ja czekam z Dimitrim, następnie wysiadam przed nim. Dimitri przedstawia mnie jako Amalię Milthorpe, wnuczkę siostry Lady Abigail. Kobiety chylą się w oficjalnym ukłonie, lecz w ich oczach wyraźnie widać podejrzliwość czy wręcz niechęć.

Przedstawivszy jak należy resztę naszej grupy, Dimitri podchodzi kolejno do każdej z nich i cicho się wita. Na koniec zbliża się do kobiety stojącej na samym przodzie. Wydaje się starsza niż pozostałe, może nawet starsza niż ciotka Virginia, ale kiedy zdejmuje kaptur, żeby pocałować Dimitriego w policzki, widzę, że ma kruczoczarne włosy, bez śladu siwizny. Są związane w fantazyjny węzeł. Rozpuszczone muszą chyba sięgać ziemi. Dimitri mówi coś do niej cicho, a potem patrzy w moim kierunku. Ona kiwa głową i idzie w moją stronę, przesywając mnie spojrzeniem. Czuję się, jakby ktoś odebrał mi godność.

Głos kobiety jest miękki i łagodny. Stoi w sprzeczności ze strachem, jaki budzi we mnie ta osoba.

- Amalio, witaj na wyspie Altus. Długo oczekiwaliśmy twojego przybycia. Brat Markov powiada, że jesteś bardzo zmęczona, potrzebujesz schronienia i opieki. Proszę, zrób nam tę grzeczność i pozwól, że zapewnimy jedno i drugie.

Nie czeka ani na moją odpowiedź, ani na mnie. Po prostu odwraca się i idzie kamienistą dróżką, która wije się aż na szczyt wzgórza. Dimitri bierze mnie za rękę i niesie mój bagaż, prowadząc mnie naprzód. Pozostali idą gęsiego, a nasz dziwny pochód zamykają wioślarki odziane w togi.

Mniej więcej w połowie drogi na szczyt zaczyna mi się wydawać, że nie dojdę. Wyczerpanie, które nie dawało o sobie znać po strasznym incydencie z koniem morskim, kiedy topiłam się w lodowatym morzu, dopadło mnie teraz, gdy znalazłam się na spokojnej wyspie. Altus wita mnie feerią barw i doznań. Na dzikich jabłoniach, które są chyba wszędzie, widać czerwone owoce. Postaci w długich szatach skrywają swoje twarze -

chwilami budzące respekt, chwilami tajemnicze. Wzdłuż ścieżki rośnie bujna, zielona trawa. Wszechobecny, delikatny, słodki zapach przypomina mi o mojej matce. To wszystko trwa w niesamowitym, prawie nierealnym połączeniu.

Słyszę głos Luisy, który dobiega jakby z mojej własnej głowy. Jest zarazem bardziej głośny i bardziej niewyraźny niż zazwyczaj.

- Na litość boską! - pomstuje. - Czy nie ma na świecie powozów i koni? Albo jakiegokolwiek innego środka transportu, żeby nie trzeba było gramolić się na tę niekończącą się górę?

- Siostry twierdzą, że spacerowanie są dobre dla duszy - informuje Dimitri, a ja, nawet tak nieprzytomna, słyszę żartobliwy ton w jego wypowiedzi.

Luisy to nie bawi.

- Moim zdaniem nic nie jest tak dobre dla duszy jak wygoda. - Zatrzymuje się, żeby rękawem obetrzeć pot z czoła.

Staram się brnąć naprzód. Stawiać jedną stopę przed drugą. Wydaje mi się, że to wystarczy, aby się udało, że gdy nie przestanę się poruszać, dojdę do końca ścieżki. Lecz moje ciało ma inne plany. Wyłącza się zupełnie, stoję więc nieruchomo w połowie drogi.

- Lia, dobrze się czujesz? - Dimitri podchodzi do mnie i bierze mnie pod ramię ze zmartwioną twarzą.

Chciałabym go pocieszyć. Powiedzieć, że oczywiście czuję się doskonale, że będę szła i szła, dopóki nie przyjdzie pora, kiedy z godnością będę mogła położyć się i odpocząć - bez obaw, że Dusze zajmą się medalionem, który w tej chwili ciąży mi na ręce i na sercu.

Nie mówię żadnej z tych rzeczy. Ściśle biorąc, nie mówię nic, ponieważ rozsądne zdania składające się w mojej głowie jakoś nie chcą wydostać się z moich ust. Co gorsza, nogi nie zamierzają już dłużej dźwigać tułowia. Ziemia zbliża się do mnie z przerażającą szybkością, aż w końcu ktoś mnie podnosi.

A wtedy nie ma już nic.

* * *

Pulsowanie w piersi sprawia, że wydostaję się z ciemności. Czuję je długo, aż w końcu jestem w stanie otrząsnąć się z letargu, który zawładnął moim ciałem i wolą. Gdy podnoszę powieki, dostrzegam młodą kobietę o oczach zielonych jak moje. W świetle świec ustawionych w różnych zakątkach pokoju jej włosy lśnią jak piękna, biała aureola. Kobieta ma dobrą twarz, ale czoło zmarszczone troską, kiedy mi się przygląda.

- Cii... - szepcze. - Musisz spać.

- Co... Co... - Zmuszam ręce, aby dosięgły przedmiotu, który spoczywa na moich piersiach. Nie od razu są mi posłuszne, ale w końcu chwytają gładki, twardy, owalny przedmiot, który zawieszono mi na tasiemce na szyi. Jest gorący w dotyku i tętni taką energią, że prawie ją słyszę. - Co to jest? - udaje mi się wykrztusić.

Kobieta łagodnie się uśmiecha.

- To tylko żmijowy kamień, ale ten na pewno jest dosyć mocny. Ma cię chronić. Przed Duszami. - Wkłada moje ręce pod ciepłe koce, jakimi mnie przykryto. - Śpij, Siostrze Amalio.

- A co... co z Dimitrim? Luisą? Sonią i Edmundem?

- Zapewniam cię, że mają się dobrze. Wszystko jest pod kontrolą. Dusze nie mają dostępu do Altus, a żmijowy kamień będzie twoim zabezpieczeniem podczas snu. Nie masz się czego bać.

Podnosi się z łóżka i znika gdzieś w głębi pomieszczenia, słabo oświetlonego świecami. Nie chcę zasypiać. Chcę sformułować wszystkie te pytania, które cisną mi się do głowy, ale to na nic. Zapadam z powrotem w nicość, nie podjąwszy nawet walki.

* * *

- Obudziłaś się już? Na pewno? Na dobre?

Tym razem pochyła się nade mną inna dziewczyna. Jest młodsza niż tamta niewyraźnie zapamiętana postać, która powiedziała mi o żmijowym kamieniu i troszczyła się o mnie, gdy na zmianę odzyskiwałam i traciłam świadomość. Ta przygląda mi się bez zatroskania, za to z nieskrywaną ciekawością.

Lewą ręką szukam pod prześcieradłami prawego nadgarstka i wzdycham uspokojona, dotykając palcami chłodnej blaszki medalionu i cicho szeleszczącej wstążki. Medalion wciąż ze mną jest, a jego obecności jak zawsze towarzyszą mieszane uczucia: ulga i niechęć.

Powraca do mnie wspomnienie głosu tamtej pierwszej opiekunki: *To tylko żmijowy kamień, ale ten na pewno jest dosyć mocny. Ma cię chronić. Przed Duszami.*

Staram się podnieść ciężką jak ołów rękę do piersi i namacać kamyk zawieszony u szyi. Obejmuję go palcami i ze zdziwieniem zauważam, że jest gładki i gorący. Powinien mnie oparzyć - a jednak tak się nie dzieje. Postanawiam zapytać o to później i na razie opuszczam rękę na posłanie.

- Czy mogłabym... - W gardle tak mi zaschło, że nie mogę mówić. - Czy mogłabym dostać trochę wody?

Dziewczyna się śmieje.

- Teraz mogłabyś poprosić o gwiazdkę z nieba, a Siostry zadbałyby o to, żeby trafiła

prosto pod twoje drzwi, i to pięknie zapakowana.

Nie wiem, co ma na myśli, ale na szczęście sięga po wodę stojącą na stoliku przy łóżku. Napełnia nią ciężki gliniany kubek i podaje mi go do ust, żebym mogła się napić. Woda jest tak chłodna i czysta, że prawie słodka.

- Dziękuję. - Pozwalam głowie opaść na poduszkę. - Jak długo spałam?

- Mniej więcej dwa dni, z przerwami.

Kiwam głową. Jak przez mgłę przypominam sobie, że budziłam się w tym ciemnym pokoju, że migotały świece, rzucając cienie na ścianę, a w tym półmroku kręciły się wokół mnie jakieś pełne wdzięku postaci.

- Gdzie jest ta druga dziewczyna? Ta, która czuwała przy mnie wcześniej? - pytam.

Moja nowa opiekunka zaciska wargi, zastanawiając się nad odpowiedzią.

- Miała bardzo jasne włosy i zielone oczy? Czy ciemne włosy, takie jak twoje?

- Chyba jasne.

- To musiała być Una. Ona najwięcej się tobą opiekowała.

- Dlaczego?

Dziewczyna wzrusza ramionami.

- Nie chcesz się dowiedzieć, jak ja mam na imię? - dąsa się.

Teraz widzę, że nie ma więcej niż dwanaście lat.

- Oczywiście, że chcę. Właśnie miałam spytać. Masz takie ładne włosy. - Wyciągam rękę i dotykam połyskujących loków. Nawet w bladym świetle świec mają złoty blask. Staram się zapomnieć o bólu, jaki ściska moje serce. - Są takie jak włosy mojej ukochanej przyjaciółki.

- Tej, którą trzymają w zamknięciu? - Dziewczyna chyba złości się z powodu porównania.

- Nie wiem; gdzie ją trzymają. Wiem tylko, że jest mi tak bliska jak siostra. - Postanawiam zmienić temat. - No więc jak masz na imię?

- Astrid - dziewczyna wymawia je z zadowoleniem, najwyraźniej jej się podoba.

Uśmiecham się do niej, choć nie jestem pewna, czy zamiast uśmiechu nie wyszedł grymas.

- To śliczne imię.

Po rozgrzewce, polegającej na rozmowie o włosach i imionach, mój umysł zaczyna sprawnie działać. Staram się podnieść na łokciach, bo zamierzam ubrać się i poszukać Dimitriego oraz pozostałych, lecz ramiona mi drżą i opadam na poduszkę.

Jednak nie to jest najgorsze.

Kiedy próbuję się podnieść, przykrywające mnie prześcieradło ześlizguje się i okazuje

się, o zgrozo, że jestem rozebrana do pasa. Łapię brzeg prześcieradła, podciągam je szybko pod samą szyję i z prawdziwym przerażeniem odkrywam, że miękka, czyściutka pościel otula całe moje ciało. Dokładniej mówiąc, całe moje *nagie* ciało.

Dopiero po chwili znajduję właściwe słowa, ale raczej wyrzucam je z siebie, niż wymawiam.

- Gdzie są moje ubrania?

Astrid znowu się śmieje.

- Lepiej by ci się spało w tych podróżnych strojach?

- Nie, ale przecież można mi było znaleźć jakiś szlafrok... czy koszulę... cokolwiek. Chyba macie tu na Altus jakąś odzież? - Żałuję tej goryczy w głosie, ale nie daje mi spokoju myśl, że obca osoba rozebrała mnie jak niemowlę.

Astrid przygląda mi się z nieklamany zaciekawieniem, jakbym była egzotycznym zwierzątkiem w menażerii.

- No pewnie, że mamy ubrania, ale po co ci one do spania? Przecież byłoby niewygodnie.

- Absolutnie nie! - wyrывa mi się. - Śpi się w bieliźnie nocnej!

To przedziwna rozmowa, jakbym mówiła o kolorach komuś, kto jest ślepy. Ignoruję ten diabelski głosik w mojej głowie, który potwierdza racje Astrid, bo nieustannie czuję chłodny dotyk prześcieradeł na swojej nagiej skórze.

- Skoro tak twierdzisz - Astrid uśmiecha się z przekąsem, jakby przejrzała moje argumenty na wylot i dokładnie wiedziała, co myślę.

Unoszę podbródek, starając się odzyskać przynajmniej pozory godności.

- Cóż, będzie mi potrzebna pomoc w odnalezieniu moich ubrań.

Astrid żartobliwie przekrzywia głowę.

- Ja uważam, że raczej potrzebny ci posiłek i odpoczynek, nim wrócisz do normalnych zajęć.

- Muszę się zająć paroma sprawami, spotkać się z pewnymi osobami...

Astrid kręci głową.

- Obawiam się, że nie teraz. Wyraźnie polecono mi, abym zadbała o twoje posiłki i wypoczynek. Poza tym sama widzisz, że na razie jesteś zbyt słaba, żeby wstać.

Nagle odczuwam zmęczenie z powodu przebiegłych chichotów i chytrych spojrzeń Astrid.

- Chciałabym się zobaczyć z Uną, jeśli można. - Zastanawiam się, czy Astrid się obrazi, ale ona tylko podnosi się z miejsca, wzdychając.

- Dobrze. Poproszę ją, żeby tu przyszła. Zanim to nastąpi, czy mogę jeszcze coś dla ciebie

zrobić?

Kręcę przecząco głową, myśląc, czy ładnie byłoby poprosić o knebel, żeby zatkać jej tę uprzejmą buzię.

Astrid wychodzi z pokoju bez słowa, a ja czekam w tak głębokiej ciszy, jakby poza tym pomieszczeniem nie istniał żaden świat. Nie słysząc ani głosów, ani kroków, ani stukania sztućców o porcelanowe talerze. Niczego, co by wskazywało, że poza moją sypialnią jacyś ludzie mogą tu żyć, jeść czy oddychać.

Rozglądam się, przyciskając do piersi prześcieradło, aż wreszcie słyszę odgłos delikatnych kroków zbliżających się do drzwi. Otwierają się bezdźwięcznie, a ja zastanawiam się, jak to możliwe, żeby tak potężny kawał litej dębiny poruszył się bez jednego skrzypnięcia.

Una cicho zamyka drzwi za sobą. Wcale jej nie znam, a jednak jestem zadowolona, widząc, że przyszła do mnie. Emanuje z niej dobro i spokój - pamiętam to wrażenie, mimo że podczas naszej ostatniej rozmowy byłam zaspana i półprzytomna.

- Witaj - odzywa się z uśmiechem. - Cieszę się, że się obudziłaś.

Po oczach widać, że mówi prawdę, odwzajemniam więc uśmiech.

- Dziękuję, że przyszłaś. Ja... - rzucam spojrzenie na drzwi. - Dobrze opiekowałaś się mną, kiedy spałam.

Una śmieje się, a ten śmiech odbija się iskrą w jej spojrzeniu.

- Astrid potrafi być nieznośna, co? Musiałam się zająć czymś innym, a nie chciałam zostawiać cię samej. Bardzo ci nadokuczała?

- Nie... nie aż tak *bardzo*.

- Rozumiem - krzywi się Una. - Czyli nie było zbyt miło. - Spogląda na kubek z wodą na stoliku. - Miała przynajmniej na tyle rozumu, żeby dać ci się napić. Pewnie umierasz z pragnienia - no i z głodu!

Aż do tego momentu nie myślałam o jedzeniu, ale kiedy Una o nim wspomniała, poczułam skurcz pustego żołądka.

- Tak, skręca mnie z głodu!

- Nic dziwnego! - Una wstaje. - Spałaś prawie dwa dni - rozmawiając ze mną, podchodzi do szafy w przeciwległym kącie pokoju. - Przygotuję ci jakieś ubrania, a potem przyniosę jedzenie i picie. Już niedługo będziesz zdrowa jak ryba.

Ponownie próbuję podnieść się na łokciach i tym razem udaje mi się. Nareszcie mam okazję obejrzeć całe pomieszczenie. W tej pozycji nie wydaje mi się tak ogromne jak wtedy, gdy po kątach zalegała ciemność. Pokój jest skromnie umeblowany; stoi tu tylko szafa, mała

komódka, proste biurko i krzesło, oczywiście poza łóżkiem i stolikiem nocnym. Zasłonięte ciężką kotarą okno zajmuje przestrzeń od podłogi po sufit, który znajduje się wysoko nad moją głową. Ściany są z kamienia. Czuję ich chłodny, wilgotny zapach. Teraz, kiedy znów myślę racjonalnie, wiem, że te mury od wieków dawały Siostrze schronienie. Ta świadomość przypomina mi o celu mojej podróży.

- Jak się czuje moja ciocia Abigail? - pytam stojącą naprzeciwko Unę.

Odwraca się lekko, tak że widzę jej twarz. Zmartwiona, marszczy czoło.

- Obawiam się, że raczej źle. Starszyzna robi wszystko, co się da, ale... - wzrusza ramionami - taka jest kolej rzeczy, prawda? - Oczywiście ma rację, a ciocia Abigail jest podeszła w latach, to jednak nie zmniejsza smutku w głosie Uny.

- Mogę się z nią zobaczyć? - proszę.

Una zamyka szafę i podchodzi do mojego łóżka z jakąś szatą przewieszoną przez ramię.

- Teraz śpi. Od wielu dni pytała o ciebie. Prawdę mówiąc, nie mogła zasnąć, dopóki nie dowiedziała się o twoim szczęśliwym przybyciu. A skoro wreszcie czuje się spokojna, najlepiej pozwolić jej odpocząć. Masz jednak moje słowo, że zostaniesz do niej wezwana, gdy tylko się przebudzi.

- Dziękuję.

- Nie, to ja dziękuję. - Una patrzy mi w oczy z uśmiechem, który odwzajemniam, i kładzie odzież w nogach łóżka. - Proszę bardzo. Ubierz się, a ja przyniosę ci coś do jedzenia. Woda do mycia jest przy komodzie.

- Tak, ale... - Nie chcę być niegrzeczna w obliczu takiej gościnności. - Co się stało z moimi rzeczami?

- Poszły do prania - wyjaśnia. - Poza tym myślę, że w tych będzie ci o wiele wygodniej - w jej oku zapala się figlarna iskierka, która przypomina mi o Astrid, choć w spojrzeniu Uny nie ma ani śladu złośliwości, jaką odnajdywałam u mojej młodszej opiekunki.

- W porządku - zgadzam się. - Dziękuję.

Una odpowiada kolejnym uśmiechem i obraca się do wyjścia, cicho zamykając za sobą drzwi.

Nim odważę się wstać z łóżka, muszę moment odczekać. Jestem osłabiona, a przecież do tej pory jedynie lekko się podniosłam i porozmawiałam z Uną. Jak przez mgłę przypominam sobie, że przewróciłam się na kamienistej ścieżce prowadzącej na szczyt, a potem musiałam stracić przytomność. Dręczy mnie to wspomnienie, mam nadzieję, że nie przewrócę się na podłogę tu w pokoju.

Zaczynam po kolei odchyłać przykrycia i spuszczać nogi na dół. W pokoju jest

zaskakująco ciepło, mimo że siedzę nago. Po odkryciu się nie odczuwam prądu chłodnego powietrza, a kiedy moje stopy dotykają kamiennej podłogi, okazuje się, że i ona jest ciepła.

Opieram się o nocny stolik i ostrożnie prostuję. Zaczyna mi się kręcić w głowie, ale tylko przez parę sekund. Kiedy nieprzyjemne wrażenie mija, na sztywnych, odwykłych od ruchu nogach przechodzę na drugi koniec łóżka. Żmijowy kamień swawolnie kołysze się między moimi odsłoniętymi piersiami. Mimo że jestem sama, odczuwam skrepowanie. Sięgam po ubrania przygotowane dla mnie przez Unę i nabieram pewności, że zaszła jakaś pomyłka.

Albo ktoś popełnił błąd, albo chce się nieźle zabawić moim kosztem.

Rozdział 21

- Nie zostawiłaś mi wszystkiego, co trzeba! Nie ma tu... tylu rzeczy!

Una niesie tacę pełną chleba oraz rozmaitych serów i owoców. Stawia ją na stoliku obok łóżka i siada przy mnie. Ma na sobie delikatną liliową tunikę - identyczną, jaką włożyłam ja - która otula całą jej sylwetkę i opada aż do ziemi. Pod tym strojem wyraźnie rysują się kobiece kształty Uny. Zaczynam zdawać sobie sprawę, że takiego ubrania raczej nie dostałam przez pomyłkę.

Una obrzuca mnie uważnym spojrzeniem.

- Nie wydaje mi się, żeby czegoś brakowało.

Czuję, że policzki płoną mi ze wstydu.

- Ale tych ubrań jest za mało.

Una z uśmiechem pochyla głowę.

- Dostałaś bieliznę i tunikę. Czego jeszcze potrzebujesz?

Wstaję na lekko drżących nogach i czekam, aż przestanie mi się kręcić w głowie.

- No... przydałyby się... może spodnie... albo suknia. Oczywiście buty i pończochy, chyba że mam chodzić boso.

- Lia... - Wzdrygam się na dźwięk swojego imienia. - Właśnie... Czy mogę mówić do ciebie "Lia"? Brzmi znacznie mniej oficjalnie niż "Amalia".

Przytakuję, a Una mówi dalej.

- Przy wyjściu z pokoju dam ci sandały, ale teraz, kiedy jesteś w obrębie Pałacu, nic innego ci się nie przyda. Poza tym - dodaje, unosząc brwi - zabrałam twoje rzeczy do prania, ileż tego jest! Czy nie jest ci niewygodnie? Chyba cały czas masz skrępowane ruchy?

Nic na to nie poradzę - czuję się trochę dotknięta. Zawsze uważałam się za niezależną młodą kobietę, obecnie tym bardziej niezależną, że niezwiązaną rygorami Wycliffe, a tu Una wywraca moje wyobrazenie do góry nogami.

Udaję, że nie słyszałam pytania, prostuję plecy i staram się nie mówić naburmuszonym tonem.

- Dobrze, ale proszę zwrócić mi moje ubrania, na wypadek gdyby okazały się potrzebne.

Una rusza w kierunku wyjścia.

- Przyniosę ci je, a ty zjedz śniadanie.

Nim zamknie drzwi za sobą, wołam:

- Musisz wiedzieć, że do jazdy konnej zawsze zakładam bryczesy, nie spódnice!

Wychodząc, Una rzuca mi znaczący uśmiech. Mam wrażenie, że uważa mój styl życia za purytański i śmieszny.

* * *

- Luisa chciałaby się z tobą zobaczyć - mówi Una. - Podobnie jak twój przewodnik, Edmund, chociaż on ma, jak rozumiem, pewne sprawy do załatwienia.

Idziemy długim, murowanym krużgankiem, przykrytym jedynie dachem. Przypomina mi pasaż, jakie widziałam w rezydencjach we Włoszech, kiedy podróżowałam z ojcem.

Una nic nie wspomina o Soni, zapewne przez delikatność. Jednak to właśnie myśl o Soni jest teraz dla mnie największym ciężarem.

- A co z moją drugą przyjaciółką? - idąc, odwracam się do Uny z nadzieją, że w wyrazie jej twarzy dojrzę jakąś wymowną wskazówkę, coś, czego nie zawrze w słowach.

Una wzdycha, przyglądając mi się bacznie. Zastanawiam się, czy będzie wolą rozmawiać ze mną szczerze czy delikatnie.

- Lia, Sonia jest chora, a o szczegółach poinformuje cię brat Markov. Dzięki swojej pozycji na pewno i tak będzie wiedział znacznie więcej niż ja.

Brat Markov. Rozważam to określenie i niejasną uwagę na temat pozycji Dimitriego, ale mimo to na pierwszy plan wysuwa się Sonia.

- Mogę się z nią zobaczyć?

- Nie dzisiaj - odmawia Una. Mówi tak kategorycznym tonem, że nawet nie próbuję jej przekonać. Lepiej poproszę Dimitriego.

Una zwraca spojrzenie ku zbliżającemu się krużgankiem mężczyźnie. Ma wydatne wargi, na których błąka się szelmowski uśmieszek. Założył obcisłe spodnie i dopasowaną białą bluzę.

- Dzień dobry, Una.

- Fenris! Dzień dobry! - Moja opiekunka najwyraźniej z nim flirtuje.

Kiedy oddaliśmy się na bezpieczną odległość, zwracam się do Uny z pytaniem:

- Kto to był?

- Jeden z Braci. Należy do bardziej... osławionych w ich szeregach. Tak naprawdę nie mam zamiaru się z nim umawiać, ale z powodu jego reputacji chciałabym odplacić mu podobną monetą.

- Naprawdę? Jestem pod wrażeniem! - śmieję się. - A kim są Bracia?

Po prostu... naszymi Braćmi.

- Fenris jest twoim bratem?

Nie *moim* - wyjaśnia rozbawiona Una - tylko jednym z Braci. Jest synem którejś z Sióstr. Nie podjął jeszcze decyzji, czy będzie podążał własną drogą w waszym świecie, czy też pozostanie tutaj, aby służyć Siostronom.

- Obawiam się, że nie rozumiem.

Una zatrzymuje się i kładzie mi rękę na ramieniu, więc także przystaję.

- Siostry nie muszą mieszkać na wyspie Altus. Jeśli chcą, mogą przenieść się do waszego świata, tak jak zrobiły twoja matka i ciotka. Z drugiej strony; pozostanie na wyspie nie oznacza, że w życiu nie następują żadne zmiany. Tutaj też zakochujemy się, pobieramy, rodzimy dzieci, a one, gdy dorosną, wybierają swoją własną drogę.

Mężczyzna taki jak Fenris wciąż jednak nie pasuje mi do tej układanki.

- Ale kim są Bracia?

Una, zdziwiona, unosi brwi.

- Nie sądzisz chyba, że Siostronom rodzą się same córeczki?

Przychodzi mi na myśl Henry, więc oczywiście rozumiem, że nie.

- Bracia to synowie Sióstr, które zdecydowały się mieć dzieci zgaduję.

Una potwierdza skinieniem głowy.

- Są też męskimi potomkami Obserwatorów, którzy - o ile pozostaną na wyspie - mogą sobie wybierać żony wyłącznie spośród Sióstr. W zasadzie wszyscy są naszymi Braćmi i mogą tu zamieszkać, służąc Siostronom albo nawet Obserwatorom, jeżeli zostaną do tego przeznaczeni.

Ciągle stoję w miejscu, myśląc o tej odpowiedzi, aż nagle zdaję sobie sprawę, że Una przed chwilą ruszyła i wyprzedza mnie już o kilka kroków. Idę szybko, żeby ją dogonić. Czuję, że się męczę, mimo że wstałam z łóżka przed niespełną godziną.

Parę minut później mam gotowe pytanie, które zdążyło się wyklarować w moim umyśle.

- Una?

- Hmm?

- Czy Bracia mieszkają tu na wyspie z Siostrami?

- Oczywiście. - Nie wygląda na zdziwioną moim pytaniem. - Mieszkają w Pałacu, tak jak wszyscy.

- Pod jednym dachem?

Patrząc na mnie, Una uśmiecha się.

- To tylko w waszym świecie, Lia, rzadko zdarza się, żeby mężczyźni i kobiety mieszkali

razem we wzajemnym poszanowaniu. Tylko dla was niezwykle jest fakt, że okazują sobie wzajemnie uczucia poza małżeństwem.

- Ale... naturalnie mieszkają razem po ślubie...

- Dlaczego ślub miałyby być konieczny, aby wzajemnie się szanować? - Una przechyla głowę, a jej oczy poważnieją. Całe szczęście nie czeka na odpowiedź. Jej pytania wprowadziły spory zamęt w mojej i tak skołatanej głowie, jestem zmuszona odepchnąć je od siebie.

Una dochodzi do końca szerokiego kruzganka i przekręca gałkę w drzwiach znajdujących się po prawej stronie. Otwiera je, nakazując gestem, żebym weszła, a wtedy od razu czuję się jak w domu.

Pomieszczenie jest bowiem biblioteką. Choć ściany są z kamienia, jak wszędzie na Altus, wypełniają je książki, tak samo jak w bibliotece ojca w Birchwood. Nawet gdybym mimo to nie odprężyła się w atmosferze tego wnętrza, na pewno pomogłoby mi w tym towarzystwo: znad jednego ze stojących w głębi biurk spogląda na mnie Luisa! Widząc mnie, cała promienieje.

Podbiega do mnie.

- Lia! Już myślałam, że nigdy się nie obudzisz! - Ścisła mnie mocno, a potem odsuwa się, żeby mi się przyjrzeć. Najwyraźniej zmartwiona, zaciska wargi.

- Co? - pytam. - Nic mi nie jest. Po prostu musiałam się wyspać, to wszystko.

- Kiepsko wyglądasz! Nigdy nie byłaś taka blada! Jesteś pewna, że powinnaś już wstawać?

- Absolutnie! Luiso, spałam prawie dwie doby. Muszę trochę pospacerować na słońcu i niedługo nabiorę normalnych kolorów.

Uśmiecham się, żeby ją uspokoić. Nie mam zamiaru wyjawiać, że tak naprawdę jeszcze czuję zmęczenie i jestem bardzo słaba, choć zdołałam zjeść coś, umyć się i ubrać.

- Wierzę ci na słowo. Ale tu pięknie! - z przejęcia Luisie zapiera dech. W swojej jasnofioletowej tunice wygląda zdrowo i świeżo. - Nie mogę się doczekać, żeby oprowadzić cię po okolicy. Rhys pokazał mi tyle wspaniałych rzeczy!

- Rhys? - dziwię się.

Luisa wzrusza ramionami i stara się opowiadać jak gdyby nigdy nic, ale jest cała w pąsach.

- To jeden z Braci, pokazywał mi wyspę. Dużo mi pomaga.

- O, na pewno! - szczerzę zęby, zaczynam zachowywać się jak kiedyś. - Nie wątpię!

- Ty jędo! - Luisa daje mi żartobliwego kuksańca w ramię i od razu mnie obejmuje. - Na

litość boską! Ależ się za tobą stęskniłam, Lia!

- Ja też chyba powinnam powiedzieć, że za tobą tęskniłam, ale ponieważ przez ostatnie dwa dni spałam najgłębszym snem w życiu, obawiam się, że nikogo mi nie brakowało! - śmieję się.

- Nawet Dimitriego? - pyta Luisa z chytrym uśmiechem. - Nawet Dimitriego. - Cieszę się, że udało mi się ją zaskoczyć, choćby chwilowo. - Oczywiście do momentu przebudzenia. Teraz brakuje mi go bardzo!

Śmiech Luisy niesie się przez pokój jak silny wiatr, jest taki, jak pamiętam. Nagle zdaję sobie sprawę, że stoi przy nas Una - chyba jestem wobec niej nieuprzejma.

- Bardzo cię przepraszam! Powinnam była was przedstawić!

Po twarzy Luisy widać, że jest zdziwiona. Podąża za moim spojrzeniem i wita Unę uśmiechem.

- Unę i mnie? Lia, poznałyśmy się już dawno. Una dotrzymywała mi towarzystwa i zapewniała, że jesteś zdrowa.

- Wspaniale - podsumowuję. - Czyli wszystkie się znamy.

Już mam zapytać Luisę o Edmunda, kiedy otwierają się za mną jakieś drzwi. Na ten dźwięk odwracam się, ale przez otwór wpada tak jaskrawe światło, że nie poznaję postaci stojącej w wejściu - cała jest złotą plamą. Dopiero gdy drzwi się zamykają, a do biblioteki powraca półmrok, pędzę przez całe pomieszczenie, żeby się przywitać.

Rzucam się w ramiona Dimitriego w sposób daleko odbiegający od manier panienki z dobrego domu. Nie dbam o to, ani przez chwilę. Od czasu, kiedy jego czarne oczy patrzyły w moje, minęła cała wieczność.

Wtulony w moje włosy Dimitri śmieje się.

- Bardzo się cieszę, że nie tylko ja cierpiałem.

- Cierpiałeś? - mruczę gdzieś przy jego szyi.

- W każdej sekundzie twojego długiego snu. - Dimitri odsuwa się, żeby lepiej mi się przyjrzeć, a potem całuje mnie prosto w usta, nie przejmując się, że tuż przy nas stoją Una i Luisa. - Wszystko w porządku? Jak się czujesz?

- Jeszcze trochę słaba, szybko się męczę. Ale z czasem, jak dłużej odpocznę, będzie lepiej.

- Altus to świetne miejsce na spędzanie wolnego czasu i odpoczynek. Chodź, pokażę ci parę rzeczy na wyspie. Ruch na świeżym powietrzu dobrze ci zrobi.

- Mogę? - pytam Unę.

Nie wiem, dlaczego proszę ją o pozwolenie, ale pomysł włóczęgi po wyspie wydaje mi

się trochę dziwny, zważając na to, że mam szukać zaginionych stronic Księgi.

- Oczywiście - Una gestem odgania moje pytanie, jakby czytała mi w myślach. - Będzie jeszcze czas na to, żeby porozmawiać z Lady Abigail o celu twojej wizyty. Na razie i tak śpi.

- Pozwolisz? - zwracam się do Luisy.

- Naturalnie - łatwo się zgadza. - Mam zresztą swoje własne plany.

Dimitri prowadzi mnie do drzwi, a ja postanawiam, że przy następnej okazji zapytam Luisę o te nowe, uwodzicielskie pomruki w jej głosie.

* * *

- Czy tutaj kiedykolwiek pada?

Chociaż wróciłam do normalnego stanu mniej niż dwadzieścia cztery godziny temu, wydaje mi się niemożliwe, że na Altus może być inaczej niż ciepło i przyjemnie.

- Gdyby nie padało, nie rosłoby tyle drzew.

Dimitri uśmiecha się do mnie, gdy wspinamy się kamienistą dróżką. Patrząc na niego, jakbym widziała go po raz pierwszy. Jego cera tryska zdrowiem. Ma na sobie takie same brązowe spodnie i białą bluzę jak Fenris, którego spotkałyśmy z Uną, idąc pasażem. Biały kolor świetnie odcina się od ciemnych włosów Dimitriego. Nie można też nie zauważyć, jak ściśle tkanina opina jego ramiona. Napotykam jego wzrok, a wtedy śmieje się od ucha do ucha. Unosi brwi, jakby dokładnie wiedział, o czym myślę.

Patrząc mu w oczy z radością, dziwnie niespieszona.

Odwracam się, aby sprawdzić, jaką drogę pokonaliśmy. Dopiero teraz mam okazję dobrze przyjrzeć się budynkowi, w którym przespałam dwa dni. Z zewnątrz wygląda znacznie bardziej imponująco niż od środka, chociaż nie jest ani wysoki, ani okazały. Wzniesiono go w całości z szarobłękitnego kamienia, wzdłuż grzbietu wzgórza, które zamierzałam pokonać w dniu przyjazdu. Dach chyba jest miedziany, bo pokrył się zielonkawą patyną. Jego barwa delikatnie różni się od zieleni trawników i szmaragdowego listowia jabłoni.

Wyspa jest piękna, choć to określenie nie oddaje całej jej urody. Patrząc na rozciągający się poniżej ocean, na budynek, który mieszkańcy nazywają Pałacem, i na mniejsze, otaczające go zabudowania. Czuję, że dokładnie tu jest moje miejsce. To tu mogę osiągnąć największy spokój. Szkoda, iż wcześniej nie wiedziałam, że jestem jedną z Sióstr i przynależę do Altus. Mam wrażenie, że przez długi czas byłam pozbawiona jakiejś części samej siebie - nie wiedziałam jednak, jak bardzo mi jej brakowało, dopóki jej nie odzyskałam.

Wędrując ścieżką, spotykamy wiele osób. Dimitri zwraca się do każdej z nich po imieniu. Uśmiecha się z typowym dla siebie wdziękiem, ale przechodzący wydają się dziwnie odporni

na jego urok osobisty. Bierze mnie za rękę, gdy mijamy jakąś czarującą starszą panią, która, przywitana, zwyczajnie się na nas gapi. Uznaję ją za zbzikowaną staruszkę, jednak nie potrafię nie skomentować zachowania pewnej młodej kobiety, która ze złością odpowiada na powitanie Dimitriego:

- Jak ci nie wstyd!

Zatrzymuję się i patrzę, jak odchodzi.

- Co za maniery! Co im się wszystkim stało? - spoglądam na Dimitriego zdumiona.

Zwiesza głowę.

- Cóż, nie wszyscy tak gorąco popierają nasze zamierzenie, jakbyśmy sobie życzyli.

- Nie wiem, o czym mówisz. Jak mogą nas nie popierać? Chcemy tylko odszukać brakujące strony, aby doprowadzić prorocstwo do zakończenia. Chyba tego właśnie pragną Siostry? - Ponieważ Dimitri nie odpowiada, dociera do mnie, jak bardzo mało rozumiem. - Dimitri?

- W przeciwieństwie do mnie, nie znają cię. - Twarz ma zaczerwienioną ze wstydu czy zażenowania. Domyślam się, jak trudno było mu to powiedzieć.

A więc rozwiązanie jest bardzo proste. To niewiarygodne, że nie wpadłam na nie aż do tej pory.

- To przeze mnie. - Przez chwilę wpatruję się w ziemię, nim podnoszę wzrok na Dimitriego. - Prawda?

Dimitri kładzie mi ręce na ramionach i zagląda w oczy.

- To bez znaczenia, Lia. - Nie wytrzymuję jego spojrzenia, lecz on palcami podnosi mi podbródek, tak że nie jestem w stanie uciec wzrokiem. - Bez znaczenia.

- Owszem, to ma znaczenie - nie chciałam, żeby moje stwierdzenie zabrzmiało tak ostro, ale tak się stało. Ruszam sama ścieżką, unikając spojrzeń mijających nas osób.

Dimitri dogania mnie już po sekundzie. Na początku nie odzywa się, ale potem zauważam, że stara się rozmawiać ze mną bardzo ostrożnie.

- Nie bronię ich, ale postaraj się zrozumieć - zaczyna.

Nie mam ochoty przyswajać sobie opinii, które inni ukuli na mój temat, w ogóle mnie nie znając. Jednak to Dimitri chce mi je przedstawić, a jego wysłucham.

- Mów - nie patrzę na niego, wbijam wzrok w ścieżkę przed sobą.

- Jesteś jedyną Bramą - wzdycha Dimitri - która kiedykolwiek dotarła na wyspę. Co więcej, zostałam tu *zaproszona*. Zrozum, nigdy tak nie było. To się po prostu nie zdarzało. Dotychczas każda Brama była wrogiem. Nieprzyjaciółką Sióstr, mimo że jedną z nich. Może nawet gorszą nieprzyjaciółką, dlatego że jedną z nich. Twoja matka i ojciec uniknęli

potępienia mieszkańców wyspy, bo zamieszkali gdzie indziej.

- Czy moja obecność tutaj nie jest wystarczającym dowodem? Czy dowodem nie jest to, że zaryzykowałam swoje własne życie i życie bliskich mi osób, żeby tu przyjechać? - Jestem świadoma faktu, że narasta we mnie gniew. Nie dorównuje wściekłości, jaką wzbudziła we mnie zdrada Soni, ale sączy się nieustannie, jak woda, która podnosi się i podnosi, aż wreszcie przerywa tamę.

- Lia... Dopóki nie odnajdziesz brakujących stron i nie wykorzystasz ich w celu rozwiązania przepowiedni, Siostry nie mają możliwości się przekonać, że właśnie to jest twoim zamiarem. Twoja matka...

Zatrzymuję się i wbijam w niego wzrok.

- Moja matka to nie ja. Kocham ją, ale jestem inną osobą.

Dimitri, pokonany, ciężko wzdycha.

- Ja to rozumiem. Ale oni nie. Wszystko, na czym mogą oprzeć swoje opinie i swoje nadzieje, to przeszłość. Twoja mama starała się walczyć z Duszami. Próbowiła, ale ostatecznie nie zdołała ich zatrzymać. Wiedzą o tym Siostry z Altus i tego się boją.

Idę dalej, lecz powoli. Dimitri podąża za mną, przez pewien czas wspinamy się w milczeniu. Muszę przygotować sobie słowa, jakie powinnam wypowiedzieć, by zadać pytanie, które napęla mnie największym strachem. Kiedy zaczynam mówić, okazuje się, że z trudem opanowuję drżenie głosu.

- Unikają cię, ponieważ się ze mną... zapoznałeś? - Dimitri kroczy w ciszy, wiem, że obmyśla wyważoną odpowiedź. - Powiedz mi, Dimitri. Jak można być razem, jeśli nie ma otwartej rozmowy?

- *Unikają* to trochę za dużo powiedziane - wyjaśnia spokojnie. - Nie rozumieją. Dostałem już wezwanie do Sądu Najwyższego w związku z tym, że uratowałem cię przed koniem morskim. To skandaliczne zachowanie jak na kogoś o mojej...

- Pozycji? - kończę.

- Chyba tak - potwierdza. - Do tego dochodzi mój romans z Siostrą, której przydzielono rolę Bramy, i to nie zwyczajnej, ale takiej, która może ostatecznie pozwolić Samaelowi przejąć władzę.

- Wygląda na to, że ich bronisz - nie potrafię ukryć gorzkiego tonu.

- Nie bronię. Staram się ich zrozumieć i osądzać uczciwie, nawet jeśli oni tego nie potrafią.

Nie umiem się na niego gniewać. Wiem, że każde słowo, które wypowiada, jest prawdą. Najważniejsze jednak jest to, że coraz lepiej go poznaję i upewniam się, że jest dobrym

człowiekiem. Czy można go obwiniać o to, że ma zalety?

Tym razem to ja biorę go za rękę. Wydaje się taka duża w porównaniu z moją, lecz mimo to chciałabym chronić go tak samo, jak on chronił mnie. Nie mam pojęcia, jak zdołałabym go ocalić w obliczu poważnego niebezpieczeństwa, ale nagle zdaję sobie sprawę, że jestem gotowa na wszystko, byle uratować go od złego.

- Zdaje się, że pozostaje tylko jedna możliwość.

- Jaka?

- Pokazać im, że się mylą.

W tym momencie, zaglądając Dimitriemu w oczy, jestem przekonana, że mi się powiedzie.

Rozdział 22

Przechodzimy, trzymając się za ręce, na drugą stronę wyspy. Ścieżka schodzi w dół do jakiegoś zagajnika. Uświadamiam sobie, że od pewnego czasu nikogo po drodze nie spotkaliśmy. Zadziwia mnie głęboka cisza tej okolicy.

- Chodź - mówi Dimitri - chcę ci coś pokazać.

Każe mi zejść ze ścieżki i ciągnie w stronę zagajnika. Biegnę, żeby za nim nadążyć, starając się nie przewrócić na łękę, pomiędzy kwiaty.

- Co ty wyprawiasz? - śmieję się. - Gdzie mnie prowadzisz?

- Zobaczysz! - woła Dimitri.

Przemykamy się pomiędzy drzewami - dopiero teraz widzę, że to gaj pomarańczowy. Przypominam sobie, jak pachniała moja matka: pomarańczami i jaśminem. Zaczynam czuć działanie zmijowego kamienia, który pulsuje i rozgrzewa się pod moją tuniką.

Gaj ciągnie się bez końca. Gdyby nie obecność Dimitriego, bałabym się, że się zgubię, bo drzewa rosną w jakimś dziwnym porządku, który chyba tylko natura potrafi zrozumieć. Dimitri dobrze wie, dokąd idzie, podążam więc za nim, nie zadając pytań.

Wychodzimy z gaju, ponad nami rozciąga się niebo. Poniżej połyskuje morze, kotłuje się i kipi bielą, gdy fale rozbijają się o poszarpane skały, schodzące ostro w dół od gaju do morskiego brzegu.

- Przychodziłem tu, kiedy byłem mały - wyjaśnia stojący u mojego boku Dimitri. - To było moje tajne miejsce, choć mama pewnie dobrze wiedziała, gdzie przebywam. Na Altus trudno o sekrety.

Uśmiecham się, usiłując wyobrazić sobie Dimitriego jako ciemnowłosego chłopca o łobuzerskim wyrazie twarzy.

- Jak ci tu było, kiedy byłeś dzieckiem?

Dimitri podchodzi do najbliższego drzewa, wyciąga rękę i zrywa niewielką pomarańczę.

- To była... idylla. Oczywiście wtedy nie zdawałem sobie z tego sprawy.

- A twoi rodzice? Mieszkają na wyspie?

- Ojciec tak. - Na twarzy Dimitriego pojawia się cień żalu. Kiedy kończy wypowiedź, wiem dlaczego. - Moja mama nie żyje.

- Och, tak mi przykro, Dimitri. - Przechyliłam głowę, przyglądam mu się ze smutnym

uśmiechem. - To chyba kolejna sprawa, która nas łączy.

Dimitri kiwa głową, zbliża się do mnie i pokazuje gestem trawę nad urwiskiem.

- Podejdz, usiądź.

Siadam na ziemi, on obok mnie. Mówi dalej, ale nie wspomina już swoich rodziców. Rozumiem, że temat został zamknięty.

- Altus jest jak małe miasteczko, tylko horyzonty są tu dużo szersze - opowiadając, Dimitri bawi się trzymaną w dłoni pomarańczą. - Dorastanie na wyspie chyba niewiele różniło się od twojego. Tak samo mieliśmy śluby; narodziny; pogrzeby.

- I wszyscy; mężczyźni i kobiety; mieszkali razem. - Ciągle przypomina mi się ten fakt i nie mogę się powstrzymać, żeby o nim nie wspomnieć.

- Aaa, widzę, że dyskutowałaś z Uną. To dobrze. Czy to cię dziwi?

- Trochę - wzruszam ramionami. - To inny zwyczaj niż te, które znam.

- Potrzeba trochę czasu, żebyś przywykła do naszych zwyczajów, Lia - zgadza się Dimitri. - Ja to rozumiem. Ale nie myśl o nich jak o czymś nieznanym czy obcym. Są starsze niż świat.

Patrzę na morze, zastanawiając się nad jego słowami. Nie wiem, czy jestem gotowa, żeby je rozważać. Mówią o rzeczywistości, której kilka tygodni temu nawet nie potrafiłam sobie wyobrazić, mimo że mieszkałam w Londynie prawie bez nadzoru.

- Powiedz mi, co z Sonią - proszę, po części dlatego, że chcę zmienić temat, a trochę z tego powodu, że mam już dość sił, żeby poznać prawdę o swojej przyjaciółce.

Dimitri zaczyna obierać pomarańczę, starając się nie rozrywać skórki na mniejsze kawałki.

- Sonia ciągle... nie jest sobą. Starszyzna postanowiła nadal trzymać ją w zamknięciu.

- W zamknięciu? - Coś mi tu nie pasuje. W jednym momencie czuję się, jakbym zamieszkała wśród jakiejś hedonistycznie pojmującej życie społeczności, w drugim - jakbym była w klasztorze.

- W odosobnieniu. Tylko niewielu Siostron - tym, które mają wystarczającą moc - można powierzyć zadanie przeprowadzenia odpowiednich ceremonii. Jedną z nich mogłaby być twoja ciotka, gdyby nie była tak bardzo chora. Tylko one mogą stykać się z Sonią w okresie rekonwalescencji.

- Ceremonii? - Tą wizją jestem przerażona. - Mam nadzieję, że nie robią jej krzywdy!

- Oczywiście, że nie. - Dimitri bierze mnie za rękę. - To Dusze wyrządziły jej krzywdę. Siostry muszą odebrać Duszom władzę nad Sonią, żeby wróciła do zdrowia. - Cofa swoją dłoń i kończy obieranie pomarańczy. - Uwolnienie Soni spod kontroli Dusz na pewno zajmie

sporo czasu i tylko Starszyzna może nadzorować ten proces.

- Kiedy będę mogła ją odwiedzić?

- Może jutro - jego ton wskazuje, że to kolejny zamknięty temat.

Wrywam kilka kępek trawy.

- A Edmund gdzie jest?

Dimitri rozrywa pomarańczę na pół, a ja czuję nagłą ochotę, żeby powąchać jego dłonie.

- Jest na wyspie. Pierwszego dnia siedział przed drzwiami twojego pokoju, dopóki nie zasnął na podłodze. Musieliśmy go przenieść, śpiącego, do jego własnej sypialni.

Nie da się nie uśmiechnąć na myśl o Edmundzie. Nie mogę się doczekać spotkania z nim.

- Edmund dużo dla ciebie znaczy, prawda? - pyta Dimitri.

- Tak. Poza ciotką Virginią jest najbliższą mi osobą, w zasadzie można powiedzieć, że z rodziny. Pomógł mi przetrwać... - na to wspomnienie biorę głęboki wdech - wiele strasznych chwil. Ponieważ on jest silny, wiem, że nie muszę być zawsze dzielna. Tak dobrze jest czasami móc się na kimś oprzeć.

Trochę mi głupio, bo powiedziałam na głos to, co często przychodziło mi do głowy. Dimitri tymczasem uśmiecha się łagodnie i wiem, o czym myśli.

Jego wzrok parzy moją twarz. Jest w nim tyle znaczeń. Tyle spraw, których normalnie nie powinno się odczytywać w spojrzeniu: siła, pewność siebie, godność, lojalność - może nawet miłość.

Dimitri odrywa ode mnie oczy i oddziela cząstkę pomarańczy. Wyciąga rękę. Najpierw wydaje mi się, że chce mi podać owoc, ale potem widzę, że kieruje go prosto do moich ust. Oczywiście w Nowym Jorku czy Londynie nieprzyzwoitością byłoby pozwolić mężczyźnie, aby mnie nakarmił.

Lecz ja nie jestem ani w Nowym Jorku, ani w Londynie.

Pochyliłam się do przodu i biorę ustami pomarańczę z ręki Dimitriego, muskając wargami jego palce. Rozgryzam podaną mi cząstkę. Jest maleńka, tak naprawdę na jeden kęs, za to słodsza niż wszystkie pomarańcze, jakich próbowałam gdzie indziej. Jem, a Dimitri patrzy na moje usta.

Przyglądam się reszcie owocu, która nadal leży w jego ręce.

- Ty nie spróbujesz?

Dimitri zwilża wargi językiem i odpowiada chropawym głosem:

- Spróbuję.

Przysuwa się do mnie. Nim zdążę pomyśleć, jego usta już dotykają moich. Pocałunek budzi we mnie tę drugą Lię - tę, która nigdy nie musiała sznurować gorsetu ani zakładać

pończoch. Tę, która nie wstydzi się, kiedy dotyk spragnionych warg Dimitriego powoduje w niej dreszcz, podobnie jak dotyk jego palców przez delikatny materiał tuniki. Ta druga Lia żyje według zasad obowiązujących na wyspie, a nie zwyczajów londyńskiej socjety.

Nie odrywając ust od moich warg, Dimitri kładzie mnie na miękkiej trawie. Zatracamy się w swojej bliskości, pośród wiatru i szumu morza. Gdy Dimitri odsuwa się ode mnie, oddycha szybko i głęboko.

Zaplatam palce na jego szyi i chcę znowu przyciągnąć go do siebie. Mruczy, ale całuje delikatnie tylko moje powieki i policzki.

- Lia... Jesteśmy z dwóch różnych światów i chyba też z różnych epok. Chcę, żebyś wiedziała, że szanuję zasady obowiązujące w twoim świecie, w twoich czasach.

Wiem, o czym mówi, i chciałabym się nie zaczerwienić.

- A gdybym wołała, żebyś nie szanował? - te słowa wyrrywają mi się z ust, nim zdążę je przemyśleć.

Dimitri opiera się na łokciu, gładząc materiał mojej tuniki.

- Ślicznie ci w liliowym - szepcze.

- Zmieniasz temat?

- Chyba tak - uśmiecha się. Potem pochyla się nade mną i całuje mnie w czubek nosa. - Żeby nie stracić własnej godności, muszę respektować prawa twojego świata tak długo, jak do niego należysz. Gdybyś podjęła decyzję, że chcesz być częścią mojego... cóż, wtedy możemy szanować tutejsze normy obydwój.

Siadam na podwiniętych nogach.

- Chcesz, żebym została z tobą na Altus?

Dimitri zrywa małą stokrotkę i zakłada mi ją za ucho.

- Oczywiście nie teraz. Musimy znaleźć zaginione strony i pokonać Dusze. Ale potem... Nie będzie dla mnie większego szczęścia niż żyć razem z tobą na Altus. A ty? Czujesz jakąś łączność z tym miejscem?

Potwierdzam, bo nie umiem skłamać. Przepelniają mnie sprzeczne uczucia. Słowa Dimitriego są dla mnie największym komplementem, a jednocześnie panicznie boję się przyszłości. Kiedyś była całkowicie przewidywalna, jasna jak słońce. Teraz nie wiem, co przyniesie. I muszę spytać o coś jeszcze.

- Co się stanie, jeśli nie zechcę opuścić swojego świata?

Dimitri pochyla się i długo, delikatnie mnie całuje. Potem odsuwa się tylko odrobinę, tak że prawie czuję ruch jego warg, kiedy mówi:

- Wtedy ja dołączę do ciebie.

Całuje mnie jeszcze raz, ale kiedy zamykam oczy, w głowie mam miłosne wyznania nie Dimitriego, ale innego mężczyzny, usłyszane dawno temu.

* * *

Aż podskakuję w miejscu, gdy do pokoju wpada Luisa, zatrzaszkując za sobą drzwi.

- Lia! To śmieszne! To absurdalne! - Wyciąga do mnie swoje szczupłe ramiona, z których zwieszają się szerokie rękawy nowej fioletowej tuniki. Jest o kilka odcieni ciemniejsza niż ta noszona w ciągu dnia. Ja również otrzymałam drugą od Uny. - Una mówi, że wieczorem na kolację chodzi się w *tunikach!*

Śmieję się z tonu Luisy - o tunikach wyraża się z takim obrzydzeniem, jakby to były łachmany.

- Tak, bo Siostry na Altus noszą właśnie tuniki - staram się nie mówić jak do pięcioletniej dziewczynki.

- Nie pouczaj mnie - odpowiada Luisa. - Doskonale wiesz, o co mi chodzi. Idziemy na pierwsze ważne przyjęcie na wyspie i mamy założyć tylko... tylko... *to?! -* wskazuje swoją jedwabną szatę.

- Gdzie byłaś przez dwa dni, kiedy ja spałam? - kręcę głową. - Jakie wtedy wkładałaś ubrania?

- Posiłki najczęściej dostawałam do pokoju, więc było mi obojętne, co mam na sobie. Myślę, że ze specjalną uroczystością czekali na ciebie.

Ze zdenerwowania brakuje mi tchu. Nie jestem gotowa na spotkanie z całą wyspą.

- Jaką uroczystością?

Luisa podchodzi do łóżka, rzuca się na nie i mówi, patrząc w sufit:

- Nie wiem. Ale chyba niezbyt oficjalną. Przypadkiem usłyszałam, jak jedna z dziewcząt mówiła, że "nie wypada" urządzać wielkiego przyjęcia.

Myślę o ciotce Abigail, która w tym samym czasie walczy o życie. Okazuje się, że mam podobne zdanie jak nieznana mi Siostra.

Luisa siada na łóżku.

- Nawet jeśli to prawda, Lia... Chciałabym włożyć coś eleganckiego, a ty? Nie tęsknisz za ślicznymi sukienkami?

- Powoli przyzwyczajam się do tunik - konstatuje, dotykając miękkich, fioletowych, otulających mnie fałdów. - Rzeczywiście są wygodne, prawda?

Podchodzę do lustra, żeby upiąć włosy. Ledwie poznaję tę dziewczynę, której się przypatruję. Przeglądam się w lustrze po raz pierwszy od wyjazdu z Londynu. Pod wieloma

względami jestem teraz inną osobą. Zastanawiam się, czy są to zmiany na lepsze. Odwracam się od zwierciadła, bo pod wpływem impulsu postanawiam, że nie będę spinać włosów, zostawię je rozpuszczone.

- Jestem skłonna zrezygnować z wygody na korzyść elegancji bez względu na okazję - mówi do mnie Luisa z drugiego końca pokoju - a szczególnie dzisiaj.

Żal mi jej, jest taka markotna. Podchodzę do łóżka i siadam obok przyjaciółki.

- A dlaczego to szczególnie dzisiaj?

- Nie mam konkretnego powodu - Luisa wzrusza ramionami, ale zdradza ją znaczący uśmiech.

- Ach tak. Czyli nie ma to nic wspólnego z obecnością... powiedzmy... pewnego Brata, który akurat przebywa na wyspie?

- Niech ci będzie! - śmieje się Luisa. - Chciałabym wyglądać jak najładniej, bo przyjdzie Rhys! Czy to coś złego?

- Oczywiście, że nie - wstaję - ale spójrz na to z drugiej strony. Gdybyś poszła na przyjęcie w eleganckiej sukni, Rhys mógłby pomyśleć, że jesteś zwykłą wystrojoną gąską.

Luisa przygryza dolną wargę, więc wiem, że trafiłam w sedno. Rumieńce na jej twarzy ustępują miejsca zamyśleniu.

- Naprawdę uważam, że jedwabna tunika jest dosyć... egzotyczna. I taka zmysłowa!

Luisa jeszcze przez chwilę się zastanawia, a potem szybko wstaje.

- Dobrze, dobrze! Założę tę cholerną tunikę! Poza tym zdaje się, że nie mam wyboru, chyba że pójdę goła!

- Racja. - Biorę ją pod rękę i razem idziemy w stronę drzwi.

- Ale kto wie? Może Rhys nawet by tak wołał?

Zdumiona Luisa odwraca się do mnie z otwartą buzią.

- Lia! Zachowujesz się doprawdy skandalicznie!

Wygląda na to, że ma słuszość. Zmierzając do sali bankietowej, przypominam sobie propozycję, jaką Dimitri złożył mi w gaju pomarańczowym. Zastanawiam się, czy wybór pomiędzy jednym światem a drugim rzeczywiście należy do mnie. Być może nie będę już umiała zachowywać się tak, jak kiedyś, być tą osobą, którą byłam, i żyć dawnym życiem.

Przypominam sobie słowa Henry'ego, słowa z odległej przeszłości. Sprawdzają się - jak zawsze.

Dopiero czas pokaże.

Rozdział 23

Kiedy wchodzimy do sali bankietowej, pośród zgromadzonych gości zapada taka cisza, że aż się boję. Staram się nie zwracać na nią uwagi, przemierzając pomieszczenie wraz z Luisą.

Sala jest przeogromna, cała wypełniona kobietami ubranymi w tuniki i przystojnymi mężczyznami odzianymi od stóp do głów w czerń. Na środek swoje ciepłe światło rzuca potężny żyrandol z setkami świec. Zastanawiam się, jak to możliwe, że ktoś sięgnął aż tak wysoko, aby je zapalić, żyrandol bowiem zawieszony jest na grubym i długim łańcuchu, którego końca pod sufitem nie da się dojrzeć.

- Co robimy? - pyta szeptem Luisa.

- Nie wiem. Chyba powinniśmy poszukać Dimitriego albo Uny.

- Albo Rhysa - dodaje Luisa.

- Jasne - przewracam oczami. - Albo Rhysa.

Wchodzę w głąb sali, starając się trzymać głowę wysoko, a na twarzy zachować uśmiech - wystarczająco szeroki, by uchodził za przyjacielski, lecz nie aż tak szeroki, żeby się wygłupić.

W takich chwilach ogromnie brakuje mi Soni. Prawdę mówiąc, to dzięki niej w wielu sytuacjach potrafiłam się zmobilizować i dzielnie uśmiechnąć, nawet gdy w duchu kuliłam się z przerażenia. Jej obecność i wsparcie zawsze dawały mi dodatkową siłę. Teraz odczuwam stratę wyjątkowo boleśnie, tak jakby Dusze odebrały mi Sonię wczoraj.

- Całe szczęście! - wzdycha z ulgą Luisa. - Jest Dimitri.

Podążam za jej spojrzeniem i rzeczywiście widzę, że nadchodzi. Na pewno to nie wyobraźnia podpowiada mi, że jego uśmiech ma szczególne znaczenie i przeznaczony jest wyłącznie dla mnie. Dimitri staje przed nami i bierze mnie za rękę.

- Tutaj jesteś - mówi tak po prostu, jakby szukał mnie od nie wiadomo kiedy i znalazł w najmniej spodziewanym miejscu.

Spodnie, które nosił w dzień, zmienił na węższe, czarne, a do tego włożył czarną bluzę zamiast białej. W czarnych ubraniach wygląda na niebezpiecznego osobnika, a światło świec, umieszczonych w żyrandolu i rozstawionych na obrzeżach sali, sprawia, że jest jeszcze bardziej przystojny i atrakcyjny niż zwykle.

Kiedy pochyla się nade mną, myślę, że chce mnie pocałować w policzek, ale zamiast tego jego usta wędrują w stronę moich. Pocałunek nie jest ulotny, ale nie jest też nieprzyzwoity. Rozglądam się ukradkiem po sali i zauważam, że goście są albo zażenowani, albo zaskoczeni. Zdaję sobie sprawę, że w tej chwili Dimitri złożył publiczną deklarację. Powiedział wszystkim, że jesteśmy parą bez względu na to, co o tym sądzą. Choć wydawałoby się to niemożliwe, moje serce jeszcze bardziej skłania się ku niemu.

- Witaj - mówię. Mój głos nie jest tak śmiały, jakbym chciała, ale przecież nastawienie zgromadzonych i gest Dimitriego były dla mnie niespodzianką.

Dimitri rzuca szeroki uśmiech - jest teraz osobą, którą już dobrze znam.

- Tak, witaj.

W tym momencie mój uśmiech staje się szczery, bo skoro jestem z nim, nie ma znaczenia, co pomyśli czy powie reszta świata.

Dimitri bierze pod ramię z jednej strony mnie, a z drugiej Luisę i prowadzi nas do stołu ustawionego pośrodku sali. Dla zebranych jest to jakby sygnał, bo znowu zaczynają rozmawiać, najpierw cicho, a potem tak donośnie, że początkowe skrzypowanie zdaje się tylko snem.

- Przykro mi, że musieliście przyjść tutaj same - Dimitri z konieczności mówi głośno, gdyż wokół panuje hałas. - Myślałem, że przyprowadzi was Una, inaczej zabrałbym was z sobą.

- Taki miała zamiar - tłumaczę. - Ale chciała też sprawdzić, jak się ma ciotka Abigail. Chyba jeszcze się nie obudziła.

Dimitri poważnie kiwa głową, a z zatroskania na jego twarzy wnioskuję, że nie jestem jedyną osobą, która martwi się o Abigail.

Dochodzimy do długiego stołu umiejscowionego bezpośrednio pod żyrandolem. Prawie wszystkie miejsca są już zajęte - pozostały tylko trzy, najwyraźniej zarezerwowane dla nas. Przez chwilę martwię się, że Luisa nie będzie siedzieć obok swojej nowej sympatii, ale widzę, że jej twarz rozpromienia się w anielskim uśmiechu. Wędruję za jej spojrzeniem i zauważam, że Rhys wcześniej usadowił się przy naszym stole. Postanawiam, że później zapytam Dimitriego, czy stało się tak przypadkiem, czy to celowy zabieg.

Jako pierwsza od stołu wstaje starsza kobieta o kruczoczarnych włosach. Składa lekki ukłon, a kiedy jej nieugięty wzrok napotyka moje oczy; przypominam sobie, że właśnie ta Siostra prowadziła nas ścieżką na wzgórze, nim straciłam przytomność.

- Witaj na wyspie Altus, Amalio, córko Adelaide - ma niższy głos, niż mi się wydawało.

To dziwne uczucie usłyszeć wypowiedziane głośno imię matki. Nie pamiętam, aby

ktokolwiek wymienił je po jej śmierci. Dlatego potrzebuję chwili, żeby ochłonąć.

- Dziękuję - odpowiadam ukłonem na ukłon.

Teraz zwraca się do mnie Dimitri. Składa uroczysty ukłon, odgrywając swoją rolę w nieznanym mi ceremoniale.

- Amalio, Lady Ursula i pozostałe Siostry pragną cię powitać.

Również jemu oddaję ukłon, niespodziewanie zawstydzona.

Dimitri powtarza rytuał powitania wobec Luisy, a goście siedzący przy stole przedstawiają się. Wszystko odbywa się tak szybko, że większość imion natychmiast wypada mi z pamięci. Nieprędko zapomnę jednak przeszywający wzrok Rhysa, który zdaje się widzieć tylko Luisę. Jest ciemnowłosy jak Dimitri, ale bardziej małomówny. Nie potrafi, czy też nie ma ochoty prowadzić konwersacji. Wypadałoby zapytać Luisę, o czym rozmawiają, będąc razem, ale mam wrażenie, że rozmowa nie należy do ich ulubionych zajęć. Luisa siedzi tak blisko Rhysa, że wyraźnie widzę, jak ich uda stykają się pod stołem.

Ponieważ my usiedliśmy; pozostali zgromadzeni w wielkiej sali również zajmują swoje miejsca przy drugim stole. Wkrótce wnoszone są potrawy; a mnie aż kręci się w głowie od różnorodności owoców, warzyw, chrupiącego pieczywa, słodkich win. Zauważam tylko, że nie serwują nam mięsa.

W trakcie gdy jesteśmy tak podejmowani, przyłapuję osoby siedzące przy stole na rzucaniu zaciekawionych spojrzeń w moją stronę. Wcale im się nie dziwię. Przypominam sobie wcześniejsze argumenty Dimitriego i myślę, że pewnie mają do mnie mnóstwo pytań, których nie zadają przez grzeczność.

Od razu jest też jasne, że najważniejszą pozycję zajmuje Ursula. Niestety; podczas całej kolacji nie mam żadnej spokojnej chwili, żeby zapytać Dimitriego dokładnie o jej status. Ursula tymczasem w pełni wykorzystuje swoją funkcję, jakakolwiek ona jest. Nim służba zdążyła oddalić się od stołu, pada pierwsze pytanie.

- Dimitri opowiedział mi, że miałaś bardzo trudną podróż, Amalio, nim do nas dotarłaś. - Sączy wino ze swojego kielicha.

Odpowiadam, kończąc przeżuwać figę:

- Tak, była... męcząca.

- Podobno nie jesteś osobą - kiwa głową Ursula - która unikałaby zadań zarówno trudnych, jak i niebezpiecznych?

Jej słowa same w sobie mogłyby być komplementem, a jednak ton wskazuje, że tak nie jest. Chciałabym być na tyle inteligentna, żeby dostrzec pytanie kryjące się za tym zadaniem pytaniem, ale mój mózg wciąż regeneruje się po długim okresie bezsenności. Decyduję więc,

że wezmę wypowiedź Ursuli za dobrą monetę.

- Proroctwo nauczyło mnie, że pewne zadania należy wykonać, nawet gdybyśmy bardzo chcieli ich uniknąć.

- A ty? - Ursula unosi brwi. - Chcesz ich uniknąć?

Spuszczam wzrok na dłonie leżące na kolanach.

- Wydaje mi się, że każdy chciałby uniknąć pewnych rzeczy, które przytrafiły mi się przez ostatni rok.

Ursula przechyla głowę i przez chwilę zastanawia się nad czymś, dopiero potem mówi:

- A co z twoją siostrą Alice? Czego ona wolałaby uniknąć?

Wzdrygam się na tę niespodziewaną wzmiankę o mojej siostrze, jakby samo wymówienie jej imienia mogło ją tu sprowadzić. Zastanawiam się, dlaczego Ursula interesuje się Alice, skoro powszechnie wiadomo, że nie szanuje ona Obserwatorów ani ich praw.

- Moja siostra odrzuca rolę Strażniczki - staram się powstrzymać drżenie głosu. - Ponieważ masz wielką wiedzę i mądrość, zapewne znasz ten fakt już od dawna. - Pochylam głowę w ukłonie, mając nadzieję, że zostanie to odczytane jako gest pełen respektu. Tak naprawdę staram się ukryć rosnące lekceważenie.

Nie podnoszę oczu, aby nie napotkać jej spojrzenia, które - czuję to - tężeje. Ursula w końcu odpowiada, bo musi. Jej milczenie mogłoby zostać uznane za oznakę słabości. To ustępstwo daje mi dziwne poczucie zwycięstwa.

- Przede wszystkim zdaję sobie sprawę z faktu, że chodzi o przyszłość Altus i całego świata. Ty zaś zapewne rozumiesz, że z twoją rolą wiążą się pewne przywileje, prawda? Zwłaszcza zważając na to, jaką funkcję *pierwotnie* przypisało ci proroctwo.

W niskim, spokojnym głosie Ursuli wyczuwam groźbę. Nie powinnam zadowalać się myślą, że słyszę mruczenie kota, kiedy naprawdę może to być pomruk lwa. Jednak tak mało wiem o sprawach i ludziach związanych z przepowiednią, że nie powinnam zniechęcać do siebie potencjalnych przyjaciół ani odrzucać możliwości poznania wrogów. Widzę, że toczy się tu jakaś gra, najlepiej więc będzie planować trzy lub cztery ruchy naprzód.

Dlatego podnoszę wzrok i napotykam spojrzenie Ursuli. Również oczy pozostałych gości przy stole są utkwione we mnie.

- O przywilejach myślałabym wtedy, kiedy wiązałyby się z pomyślnością. - Na moment przerywam. - Tymczasem jak wiele mogę zyskać w porównaniu z tym, co straciłam za sprawą proroctwa? A straciłam siostrę, brata, matkę, ojca... - Tu myślę o Jamesie i naszej zaprzepaszczonej przyszłości. Ogarnia mnie smutek, chociaż w głębi duszy wiem, jakie są moje uczucia do Dimitriego. - Wybaczcie, ale z moich doświadczeń wynika, że proroctwo to

raczej brzemień niż przywilej, choć nie oznacza to, że nie będę respektować swoich zadań.

Może to kwestia wyobraźni, ale wydaje mi się, że reszta sali również się uciszyła, słuchając jednym uchem tego, co dzieje się przy naszym stole. Ursula stuka palcami w gruby drewniany blat, rozważając odpowiedź. Przechyliła głowę.

- Może powinnaś pozostawić to lepiej predysponowanym osobom, tym, które chętniej wezmą na siebie to *brzemień*.

Zastanawiam się nad tymi słowami, ale w obecnych okolicznościach nie widzę ich sensu.

- W tej sprawie chyba nie mam wyboru, prawda? Żadnej opcji, którą mogłabym wziąć pod uwagę. Nigdy nie pozwolę Samaelowi, żeby wykorzystał mnie jako Bramę.

- Oczywiście, że nie - cicho mówi Ursula. - Ale zapominasz o jeszcze jednej możliwości.

- Jakiej możliwości? - dziwię się.

- Żeby nie robić nic. Przekazać odpowiedzialność innej Siostrze.

Rozglądam się wokół. Goście kręcą się nerwowo na krzesłach odwracają wzrok, jakby zobaczyli jakieś paskudztwo. Wszyscy, z wyjątkiem Dimitriego i Luisy. Przyjaciółka wygląda na równie rozkojarzoną jak ja. Patrzy na mnie, a w jej oczach widzę pytania, na które nie potrafię odpowiedzieć. Tymczasem Dimitri posyła Ursuli mordercze spojrzenia. Przyglądam się jej.

- Następny Anioł Chaosu może zostać wyznaczony dopiero za kilka pokoleń.

Ursula lekko kiwa głową i macha ręką w lekceważącym geście.

- Albo bardzo niedługo. Nikt nie wie, co nakazuje proroctwo.

Przez moment mam wrażenie, że zaraz oszaleję. Czy sugestia, abym nie robiła nic, rzeczywiście pochodzi od jednej z Sióstr, i to należącej do Starszyny? Czy faktycznie poradziła mi, abym przekazała obowiązki innej osobie, nawet jeśli oznacza to czekanie przez kilka wieków na kolejną okazję zakończenia proroctwa? Kilka stuleci, podczas których do naszego świata przeniknie więcej Dusz Samaela?

Nagle odzywa się Dimitri głosem lodowatym z wściekłości.

- Wybacz, Sostro Ursulo, ale jest absolutnie jasne, co nakazuje proroctwo. Przede wszystkim wyznacza Amalii rolę Anioła Chaosu, tej wyjątkowej Bramy, która ma możliwość wpuścić Samaela lub odmówić mu. W tej roli Lia ma wolny wybór, może podjąć dowolną decyzję. Czy w całej swojej mądrości nie zgodzisz się z tym, że mamy wobec niej dług wdzięczności za to, że opowiedziała się po stronie dobra?

Szach mat, myślę. Przynajmniej chwilowo.

Ściskam pod stołem dłoń Dimitriego. Nie chciałabym, aby miał przeze mnie więcej kłopotów, ale z drugiej strony jestem mu wdzięczna za interwencję.

Przy stole zapada cisza, której nie da się określić inaczej jak "pełna skrępowania". Na szczęście nie musimy starać się za wszelką cenę ratować przyjemnej atmosfery przy kolacji, bo niespodziewanie zjawia się Astrid. Podchodzi do Ursuli i składa lekki ukłon.

- Mogę usiąść z tobą przy stole, mamó? Chciałabym poznać naszych gości - mówi słodkim, spokojnym głosem. Nie ma w nim protekcyjnego tonu, jaki słyszałam podczas rozmowy w mojej sypialni.

Mamó? Ursula jest matką Astrid. Teraz uśmiecha się, ale nie do córki. Nawet odpowiadając jej, nie spuszcza wzroku ze mnie.

- Naturalnie, usiądź, kochanie. Zajmij miejsce koło Brata Markova.

Policzki Astrid są purpurowe. Składa matce lekki ukłon, a potem podąża na miejsce po drugiej stronie Dimitriego. Usadowiona, wpatruje się w niego z nieskrywanym uwielbieniem.

- Na wyspie było tak pusto bez ciebie - wyznaje ze skromną miną.

Wydaje mi się, że w oczach Dimitriego pojawia się zniecierpliwienie, ale dobrze je maskuje.

- Mnie także brakowało Altus. - Odwraca się do mnie z uśmiechem. - Jak kolacja? - Przysuwa się tak blisko, że czuję zapach wina w jego oddechu. - Nie mówię tu o towarzystwie - szepcze.

- Pyszna, dziękuję - śmieję się.

Dalsza część uroczystości przebiega bez incydentów. Astrid siedzi nadąsana z drugiej strony Dimitriego, a Luisa jest bez reszty pochłonięta Rhysem. Po pewnym czasie u wejścia do sali rozbrzmiewa dziwna muzyka. Rhys wstaje i wyciąga dłoń do Luisy. Razem odchodzą od stołu, żeby zatańczyć, podobnie jak wielu gości siedzących obok i dalej.

Dimitri sięga do misy stojącej na stole i bierze dorodną, dojrzałą truskawkę, po czym podaje mi ją do ust. Tym razem bez namysłu odrywam ją wargami od ogonka. Dimitri uśmiecha się, bo zdarzyło się coś, co nas łączy i czego znaczenie rozumiemy tylko my.

Odkłada szypułkę na talerz i nagle przybiera poważny wyraz twarzy.

- Przykro mi, Lia.

- Z jakiego powodu? - pytam, przełknąwszy truskawkę.

- Z powodu Ursuli. I całej reszty.

- Nie ma potrzeby - kręcę głową. - To nie twoja wina.

Dimitri rozgląda się po sali, w której jak w kalejdoskopie, w rytm spokojnej, poważnej melodii, wirują pary odziane w fioletowe i czarne szaty.

- To bliscy mi ludzie. Moja rodzina. A ty... ty, Lia, jesteś kimś więcej. Chyba zdążyłaś się już domyślić. - Unosi moją dłoń i całuje ją. - Chciałabym, żeby traktowali cię zyczliwie.

Biorę go za rękę i naśladowuję jego gest.

Przez chwilę czuję się tak, jakbym patrzyła mu w oczy pierwszy raz. Tonę w nich, nic innego nie ma znaczenia. Potem zmienia się tempo muzyki na żywsze, a Dimitri wstaje i mnie również pomaga się podnieść.

- Zrób mi tę grzeczność.

To nie była prośba. Nim zdążyłam się zorientować, jestem już pośrodku sali, między innymi parami. Mam nadzieję, że wypatrzę gdzieś Luisę, ale znika w tłumie, zanim zdążę się upewnić, że to rzeczywiście ona.

- Ale... ja nie umiem tańczyć do takiej muzyki! - protestuję, oglądając się na szybko poruszających się tancerzy.

Dimitri kładzie moją dłoń na swoim ramieniu, drugą w pasie, podobnie ustawiając swoje ręce.

- Nic się nie martw. To prosty taniec, naprawdę. Poza tym nie będziesz prawdziwą Siostrą, jeśli nie zatańczysz!

Potem już ruszamy i przemieszczamy się przez tłum w rytm melodii. Na początku w zasadzie to Dimitri wlecze mnie za sobą. Kroki są tak skomplikowane jak w tańcach, jakich uczono nas w Wycliffe, a muzyka niestety nie ułatwia sprawy. Nie płynie tak jak u Straussa czy Chopina. Jest pełna tryli, nagłych zwrotów, ozdobników.

Podczas mojej nauki wpadamy na niejedną osobę, więc Dimitri prowadzi, wykrzykując co chwilę: "Przepraszam!" i "Proszę wybaczyć!". Po pewnym czasie nabieram większej pewności. Dimitri nadal musi mnie prowadzić, ale nadążam za nim i nie depczę mu po nogach. Zaczynam się coraz lepiej bawić, lecz oto muzyka nagle się zmienia. Z ust tańczących wydobywa się radosny okrzyk. Dimitri znika. Rozglądam się za nim, ale nie potrafię go znaleźć. Tymczasem mam już u boku innego partnera.

- Witaj! - mówię.

Ma takie same ubrania jak Dimitri, ale nie nosi ich z taką samą klasą. Jest dosyć sympatyczny, odwzajemnia mój uśmiech.

- Witaj, Siostro.

Myślę sobie, że może nie będzie źle spędzić czas w towarzystwie tego miłego dżentelmena aż do powrotu Dimitriego. Ale, niestety, i on znika, a szybko zastępuje go nowy. Ten jest blondynem, ma złote włosy jak Sonia. Nie mamy chwili, żeby porozmawiać, tylko wymieniamy uśmiechy, bo następuje kolejna nagła zmiana partnera.

Tempo muzyki narasta, podobnie jak podniecenie otaczającego mnie tłumu. Jedyne, co mogę zrobić, to przetrwać tę paradę partnerów. Zdaje się, że w tym szaleństwie jest metoda,

jakaś kolejność, według której następują zmiany, ale ja na razie jej nie rozumiem.

Parę razy próbuję w ogóle zrezygnować z tańca, ale okazuje się, że nie potrafię oddzielić się od partnera i wyrwać z tłumu. Poddaję się więc i pozwalam, by obracano mnie wte i wewte, aż kręci mi się w głowie od muzyki i śmiechu.

Śmieję się w głos, nie dbając o nic, kiedy mój następny partner, starszy i przysadzisty mężczyzna, wiruje ze mną po parkiecie i przekazuje jeszcze kolejnemu.

- Muszę powiedzieć, że wyglądasz znacznie lepiej niż ostatnio.

Tego głosu nie pomyłę z żadnym innym, chociaż ledwie poznaję Edmunda, gładko ogolonego i w nowym ubraniu. Uśmiecham się do niego, nie przerywając tańca.

- Ja to samo mogę powiedzieć o tobie! - To szczerą prawdą: Edmund wygląda na wypoczętego. Założył taką samą odzież jak inni Bracia i wydaje mi się, że bluza i spodnie są w sam raz eleganckie na jego wiek.

- Tak - przytakuje. - Podróż na wyspę Altus nigdy nie należy do łatwych, a ta była jeszcze gorsza niż zazwyczaj. Szczególnie dla panienki. Czy panienka dobrze się czuje?

- O wiele lepiej, dziękuję. - Od tańczenia zaczyna mi już brakować tchu, podczas gdy Edmund jest tak odprężony, jakby przetańczył ledwie minutę. - Podziwiam natomiast ciebie! Świetnie ci idzie! Domyślałam się, że uczestniczysz w tańcach na wyspie nie po raz pierwszy.

Edmund mruga porozumiewawczo śmiejącymi oczami.

- Nie przyznam się.

Od śmierci Henry'ego nigdy nie widziałam Edmunda w lepszym nastroju. Porywa mnie fala radości i dobrego samopoczucia. Już mam zapytać go, gdzie był od momentu przybycia na wyspę i czym się zajmował, gdy to on się przybliżył i mówi do mnie:

- Byłoby nieładnie, gdybym najpiękniejszą Siostrę na Altus zagarnął tylko dla siebie. Do zobaczenia wkrótce. - Po czym przekazuje mnie kolejnemu tancerzowi.

Próbuję protestować, że przecież nie widzieliśmy się od tylu dni, ale nagle zdaję sobie sprawę, że tym nowym partnerem jest Dimitri.

- Przepraszam! - woła, przekrzykując gwar tłumu. - Usiłowałem się przedostać z powrotem, ale... - wzrusza ramionami, a następnie, w obrotach, wyprowadza mnie spośród tańczących poza miejsce zarezerwowane na zabawę.

Prowadzi mnie dalej i dalej. Nie zatrzymujemy się ani na chwilę, dopóki nie dotknę plecami zimnej kamiennej ściany, słabo oświetlonej świecami. Stoimy przez chwilę, starając się uspokoić oddech. Nawet policzki Dimitriego są zaczerwienione, nie mam więc wątpliwości, że ja także mam rumieńce.

- Dobrze się bawiłaś? - pyta Dimitri, gdy jego oddech wraca do normy.

- Tak - odpowiadam, jeszcze dysząc. - Na początku trudno było nadażyć, ale poszło mi całkiem nieźle, zważając na okoliczności.

- Masz to we krwi - podsumowuje z uśmiechem.

Przytakuje. Trochę onieśmiela mnie fakt, że pod wieloma względami Dimitri wie o mnie więcej niż ja sama. Unosi mój podbródek, tak żebym spojrzała mu w oczy.

- Nie miałem zamiaru z nikim się tobą dzielić. - Leciutko dotyka swoimi wargami moich, a w jego pocałunku narasta pożądanie. Po chwili odsuwa się, ale widzę, że z trudem. - Masz smak truskawek.

Patrzę na usta Dimitriego i zastanawiam się, jak długo możemy być sami w tym zaciemnionym zakątku sali, gdy nagle za jego plecami pojawia się Astrid. Dimitri nie widzi jej, pochyla się, żeby znowu mnie pocałować.

- Ekhm - odchrząkuję i spoglądam w przestrzeń przed siebie. Wreszcie Dimitri się odwraca i spostrzega dziewczynę.

- Astrid - mówi - w czym mogę ci pomóc?

Twarz córki Ursuli nabiera coraz bardziej nieprzyjemnego wyrazu, gdy przenosi spojrzenie z Dimitriego na mnie i z powrotem na niego. Wiem, że w jej oczach na pewno jest gniew. Zdaje mi się, że waży słowa, zastanawiając się, czy warto dać upust swojej niechęci. W końcu mruży powieki i zwraca się do Dimitriego, jakby mnie tam wcale nie było.

- Una przysłała mnie z wiadomością, że Lady Abigail zbudziła się i prosi o przybycie Siostry Amalii.

- Dobrze. Dziękujemy ci - odpowiada Dimitri. A ponieważ dziewczyna stoi w miejscu jak zamurowana, dodaje: - Astrid, ja odprowadzę Lię do Lady Abigail. Ty możesz już iść.

W jej oczach pojawia się biały ognik wściekłości. Zdaję sobie sprawę, że jest obrażona za taką odprawę. Dimitri jednak należy do Starszyny i trzeba okazywać mu pewien szacunek. W końcu Astrid odwraca się na pięcie i zostawia nas, znikając wśród nieustannie wirującego tłumu.

Dimitri mówi do mnie:

- Wiem, że bardzo się martwisz o Lady Abigail. Chodźmy od razu, zaprowadzę cię do niej.

Nie rozumiem, dlaczego się waham. Spotkanie z Lady Abigail ma być przecież zwieńczeniem mojej długiej podróży, ma rozwiązać wszystkie wątpliwości, całą niepewność. To klucz do mojej przyszłości, do zakończenia proroctwa.

Może dlatego wyrażam zgodę dopiero po chwili, skinieniem głowy. I dopiero po chwili ruszam.

Przyjemnie było zapomnieć o wszystkim, zjeść dobrą kolację, posłuchać muzyki. Nawet konfrontacja z Ursulą była ciekawą odmianą w porównaniu z tym, co mnie czeka. Musi jednak dojść do spotkania, wychodzę więc za Dimitrim z sali bankietowej, wiedząc, że powinno ono stać się początkiem końca.

A jeżeli będę mieć dużo, dużo szczęścia, może i zapowiedzią nowego początku.

Rozdział 24

- Zdaje się, że powinienem cię przeprosić za Astrid - mówi Dimitri w drodze do pokoju ciotki Abigail. - Znam ją od niemowlęcia. Zawsze traktowałem ją jak młodszą siostrę, ale wychodzi na to, że ona widzi nasze relacje zupełnie inaczej.

Podążamy długim kruzgankiem, który poznałam rano. Najwyraźniej otacza on wszystkie części Pałacu, tak że nie sposób się zorientować, gdzie się obecnie znajdujemy.

Patrzę na Dimitriego z filuternym uśmiechem.

- Wszystko w porządku. Ja ją nawet rozumiem. - Nie wiem, czy sprawiło to wino, czy taniec, czy gwiazdy błyszczące na czarnym niebie, ale nagle czuję pełnię życia, zwłaszcza że jedwabne szaty to unoszą się, to miękko opadają na moje gołe nogi.

Odpowiadając uśmiechem, Dimitri bierze mnie za rękę.

- Widzę, że powietrze na Altus ci służy.

- Bardzo możliwe - na moich ustach też błąka się uśmiech, gdy idziemy, trzymając się za rękę.

Nie wiem, jak długo będzie nam dane swobodnie rozmawiać, więc wracam myślami do poważniejszych spraw.

- Dimitri...

- Tak?

- Dlaczego Ursula jest taka... cięta?

Dimitri odchyła głowę do tyłu i zanosi się śmiechem.

- Jesteś o wiele bardziej łaskawa, niż ja byłbym na twoim miejscu.

Skręcamy za róg i zatrzymujemy się przed wejściem do środka Pałacu. Tutaj kruzganek przechodzi w korytarz. Zaczynam rozumieć, że Dimitri pragnie mieć chociaż tyle prywatności, ile możemy mieć wewnątrz budynku.

- Ursula jest tą osobą spośród Starszyny, która zajmuje drugie miejsce po Abigail. Gdyby Lady Abigail zmarła, co - przyznaję ze smutkiem - może nastąpić już wkrótce, Ursula powinna zająć jej pozycję.

- Nie rozumiem, co to ma wspólnego ze mną. Nie kwestionuję jej praw do tego stanowiska, nawet nie jestem mieszkanką Altus.

Dimitri wzdycha. Mam wrażenie, że prowadzi tę rozmowę w zasadzie wbrew swojej

woli.

- Tak, Lia. Jednak są jeszcze dwie Siostry, które mogłyby rościć sobie większe prawa do tej pozycji niż Ursula. - Patrzy przed siebie w noc, a potem wraca spojrzeniem do mnie. - Twoja siostra Alice i ty.

Przez chwilę nie rozumiem, co mówi.

- Co masz na myśli? To niemożliwe.

- Ależ możliwe - podkreśla Dimitri. - Rodzicami wszystkich Sióstr byli Czuwający i ziemskie kobiety. Ale przodkami twoimi i Alice, w prostej linii, są Maari i Katla, od których wzięło początek proroctwo. Dlatego to wy zostańcie wybrane na Strażniczkę i Bramę. Zawsze tak było.

- Ale co z tego?

- To, że siostra rządząca wyspą Altus musi być jak najbliżej spokrewniona z Maari i Karlą. Ciotka Abigail bezpośrednio od nich wie dzie swój ród. Poza ciotką Virginią ty i Alice jesteście jej najbliższymi krewnymi. Najbliższą rodziną. Alice natomiast nie może objąć stanowiska, jako że obecnie sprzeciwia się zasadom Obserwatorów. Ursula pochodzi z tego samego rodu, lecz nie w prostej linii.

Przestępuję z nogi na nogę, starając się pojąć sens jego słów.

- No dobrze, a co z ciotką Virginią? Jest starsza ode mnie. Na pewno jej pretensje do stanowiska mogłyby być większe.

- Ona go nie chce - wzrusza ramionami Dimitri. - Wycofała wszystkie swoje roszczenia, wyprowadzając się stąd. Prawdopodobnie i tak nie miałaby wystarczającej mocy, żeby skutecznie rządzić.

Przypominam sobie, jak ciotka Virginia opowiadała mi kiedyś, że zdolności Sióstr pochodzą jeszcze sprzed momentu narodzin. Niektóre osoby mają po prostu większe wrodzone zdolności niż inne. Nie kryła, że była znacznie mniej uzdolniona niż jej własna siostra, a moja matka.

- Ale ja też go nie chcę. - Po krótkiej przerwie dodaje: - Choć nie znam Ursuli na tyle dobrze, żeby wiedzieć, czy ona powinna je zająć.

Altus i Siostry, Ursula, Alice oraz ciotka Abigail umierająca w którymś z następnych pokoi. To dla mnie zbyt wiele. Przyciskam skronie palcami, jakby ten gest miał przepędzić wszystkie moje troski.

Dimitri bierze mnie za rękę.

- Chodź. Idziemy do Lady Abigail. Reszta może poczekać.

Przytakuję, wdzięczna za to, że mnie prowadzi. Przechodzimy przez drzwi do

wewnętrznego korytarza. Dimitri cały czas idzie obok mnie. Jakoś nie mogę sobie wyobrazić, że doprowadzę przepowiednię do końca bez jego udziału i lojalnej pomocy.

Oczywiście nie jest to łatwe, ale cały czas uciekam myślami od pytania, które raz po raz pojawia się w mojej świadomości: *Co będzie z Jamesem?*

* * *

W pokoju jest prawie ciemno, ale nie dlatego, że zatrzaśnięto okiennice czy zawieszono ciężkie kotary, jak bywa w pomieszczeniach, gdzie przebywają chorzy. Tutaj wprost przeciwnie - skrzydła wielkich szklanych drzwi są otwarte i wpuszczają do środka ciepłe nocne powietrze. Bryza znad morza wypełnia zasłony, które podnoszą się i opadają, jak gdyby oddychały.

Dimitri zostaje przy wejściu, ja zaś wchodzę głębiej. Podchodzi do mnie Una, a dwie inne Siostry krzątają się we wnętrzu. Jedna nalewa wody do kubka stojącego na nocnym stoliku. Druga strzepuje koc wyciągnięty z przepastnej szafy obok okna.

- Lia! Tak się cieszę, że jesteś. - Una przysuwa się i całuje mnie w policzek. Mówi cichym głosem, prawie szeptem. - Lady Abigail zbudziła się pół godziny temu i natychmiast zaczęła pytać o ciebie.

- Dziękuję ci, Uno. Przyszłam najszybciej, jak mogłam. - Spoglądam ponad jej ramieniem na postać leżącą w łóżku. - Jak ona się czuje?

Una poważnieje.

- Członkowie Starszyny powiedzieli, że może nie doczekać jutra.

- Idę do niej.

Mijam Unę i kieruję się w stronę posłania, składając po drodze ukłon Siostron opiekującym się Lady Abigail. Kiedy w końcu staję obok łóżka, zimny kamień na mojej piersi zaczyna pulsować tak mocno, że nieomal go słyszę. Wyciągam go spod tuniki i tulę w rękę. Jest gorący, jakbym go wyjęła z ogniska, a jednak nie parzy delikatnej skóry dłoni.

Wsuwam go z powrotem pod tunikę i przyglądam się ciotce Abigail. Zawsze wyobrażałam ją sobie jako energiczną, pełną życia osobę - z pewnością taka była, nim zachorowała. Teraz jej skóra jest cieniutka i pomarszczona jak bibułka, a postać tak drobna, że ledwie widoczna pod przykryciem. Oddycha chrapliwie, z trudem, ale kiedy otwiera oczy, okazuje się, że one właśnie są młode, pełne energii, zielone jak moje. Można domyślić się, że to siostra mojej babci.

- Amalia - otwarłszy powieki, natychmiast wypowiada moje imię, jakby wiedziała, że nad nią stoję. - Przyjechałaś.

Kiwam głową i siadam na krawędzi łóżka.

- Oczywiście. Szkoda tylko, że tak długo to trwało. Przyjechałam najszybciej, jak się dało.

- To niełatwa podróż - Abigail próbuje się uśmiechnąć, ale kąciki jej ust podnoszą się ledwie odrobinę.

- Niełatwa - zgadzam się. - Ale nic nie mogłoby mnie zatrzymać. - Chwytam jej dłoń. - Jak się czujesz, ciociu Abigail? A może mam się do ciebie zwracać "Lady Abigail", jak wszyscy?

Ciotka zaczyna się śmiać, ale kończy się to serią kaszlnięć.

- Proszę, zrób mi tę przyjemność i mów mi "ciociu". - Wzdycha, a jej głos przybiera melancholijne zabarwienie. - Minęło już wiele czasu, odkąd byłam po prostu Abigail. Córką, siostrą albo ciotką.

- Dla mnie zawsze będziesz ciotką Abigail. - Pochyliłam się i całuję jej przywiedły policzek, dziwiąc się jednocześnie, że czuję, jakbym ją dobrze znała.

Z wycięcia tuniki wyłania się łańcuszek, na którym wisi żmijowy kamień. Ciotka Abigail wyciąga dłoń i dotyka nadal gorącego kamienia.

- A więc nosisz go. - Puszczą kamień. - To dobrze.

- Co to za kamień? - nie potrafię ukryć ciekawości, nawet w obliczu jej choroby.

- To *glain nadredd*. - Nie rozumiem tych słów, które wychodzą z jej ust z westchnieniem świadczącym o wielu wspomnieniach. Dalsza wypowiedź jest już zrozumiała. - Żmijowy kamień, ale nie byle jaki. Mój.

Unoszę rękę i gładzę nią kamień, jakbym chciała wydobyć z niego wszystkie sekrety.

- Po co on jest? - pytam.

- Po to - oczy ciotki wędrują w stronę mojego prawego nadgarstka, do którego uwiązałam medalion, rysujący się pod tuniką. Abigail chwilę milczy, zbierając siły. - Każda Siostra mieszkająca na Altus posiada kamień nasycony jej magią. Jego moc zależy od mocy właścicielki. Mój kamień chronił mnie przed nieszczęściem, uzdrawiał, kiedy byłam chora, i w razie potrzeby wzmacniał moją siłę. Teraz będzie strzegł ciebie przed Duszami, mimo że nosisz medalion Bramy. Będzie tak, nawet gdyby twoi najbliżsi przyjaciele dostali się we władzę Samaela. Jednakże kamień nie będzie funkcjonował wiecznie, a kiedy jego - czyli moja - moc wygaśnie, będziesz musiała wypełnić go swoją.

- Jak długo będzie działał?

- Przynajmniej dopóki nie odnajdziesz brakujących stron. Jeżeli szczęście będzie nam sprzyjać, trochę dłużej. Bo ja... - zwilża językiem swoje suche wargi, a ja przerywam

rozmowę, podając jej wodę, której jednak Abigail nie przyjmuje. - Bo ja, moje dziecko, pozbyłam się swojej mocy. Całą przelałam w kamień.

Żal, który przeszywa moje serce, jest jak sztylet. Teraz rozumiem, dlaczego ciotka jest tak bardzo chora. Swoją moc przekazała mnie, poprzez kamień. Musiała zdawać sobie sprawę, że Alice rośnie w siłę, a może nawet dowiedziała się o zdradzie Soni. Nie potrafię zdobyć się na pytanie, czy to ja jestem przyczyną choroby Abigail. Nie chcę wiedzieć. Tak czy owak, co się stało, to się nie odstanie. Mądrzej i o wiele lepiej będzie roztropnie wykorzystać czas, jaki jeszcze nam pozostał.

- Dziękuję, ciociu Abigail. Lecz co mam robić, gdyby moc kamienia okazała się za mała? Jeżeli twoja moc już z niego wyjdzie, a ja nie będę miała dość swojej, żeby bronić się przed Duszami, nim doprowadzę proroctwo do końca?

Uśmiech ciotki jest słaby, ale bez wątpienia rozpromienia jej twarz. Widzę w nim tę siłę, która prowadziła Siostry przez całe stulecia.

- Jesteś silniejsza, niż się spodziewasz, moje dziecko. Masz dość siły.

Jej słowa budzą we mnie wspomnienia. W jednej chwili przenoszę się myślą do Birchwood, gdzie pewnego ranka ciotka Virginia przekazała mi list, jaki moja matka napisała tuż przed śmiercią. Virginia powiedziała wtedy: *Jesteś mądrzejsza, niż ci się wydaje, kochanie. I silniejsza, niż się domyślasz.*

Ciotka Abigail na moment przymyka oczy. Kiedy je otwiera, płoną nową energią.

- Musisz odzyskać stronice.

- Powiedz mi tylko, gdzie są, a skorzystam z nich, żeby rozwiązać przepowiednię.

- Nie mogę... powiedzieć ci. - Ciotka łapie mnie mocno za rękę.

- Ale przecież... - kręcę głową - po to tutaj przyjechałam. Po to *kazałaś* mi tu przyjechać.

Nie pamiętasz, ciociu Abigail?

- To nie pamięć mnie zawodzi, dziecko.

Nadal nie rozumiem.

Oczy ciotki Abigail rozglądają się po pokoju. Jest zbyt słaba, żeby obrócić głowę. Jeszcze bardziej ścisza głos, słyszę ją z największym trudem.

- Ściany Pałacu... mają uszy. Zასłyszane wiadomości zostaną przez niektórych wykorzystane dla dobra Sióstr. Przez innych - dla ich własnego dobra.

Podnoszę wzrok. Jedna z Sióstr, stojąc przy oknie, składa prześcieradła. Nie wiem, gdzie poszła druga. Una tymczasem uciera jakiś proszek tłuczkiem w moździerzu, potem miesza go z wodą w szklance. Dimitri opiera się o ścianę przy drzwiach.

Zwracam się ponownie do ciotki Abigail.

- Jak mam znaleźć utracone strony, jeśli nie powiesz mi, gdzie szukać?

Ciotka puszcza moją dłoń, chwytą mnie za ramię i przyciąga tak blisko, że nieomal dotykam jej suchych, spękanych ust.

- Wyjedziesz pojutrze. Zaufany człowiek twojego ojca, Edmund, wywiezie cię bezpiecznie z wyspy i doprowadzi do pierwszego punktu kontaktowego. Każdy etap podróży będziesz pokonywać z nowym przewodnikiem. Tylko Dimitri pozostanie przy tobie do końca. Pracuje dla mnie już od dłuższego czasu. Mam do niego absolutne zaufanie. - Nasze spojrzenia spotykają się, a w oczach ciotki widzę błysk zadowolenia. - Nikt nie będzie znał całej trasy twojej podróży. Każdy z przewodników będzie odpowiadać tylko za pewien odcinek. Nawet ostatni przewodnik nie będzie wiedział, że prowadzi cię przez końcowy etap. Zostanie poinformowany, że masz dotrzeć do jednego z wielu punktów.

Prostuję się, czując, jak ogarnia mnie fala miłości do ciotki i dumy z niej. Nawet schorowana, umierająca, potrafiła zrobić doskonały użytek ze swojego umysłu i siły woli. Ja jednak nie jestem aż tak ufna jak dawniej.

- Co się stanie, jeśli któryś z przewodników porzuci nas lub zdradzi Duszom?

- Przewodnicy zostali starannie wybrani, ale mądrze z twojej strony, że dopuszczasz każdą ewentualność - mówi Abigail schrypniętym głosem. - Dlatego jestem gotowa, żeby powiedzieć tobie - tylko tobie - to, co powinnaś wiedzieć. - Gestem nakazuje, abym się pochyliła. - Jeszcze bliżej, kochanie. - Przybliżam ucho do jej warg, a wtedy Abigail wypowiada tylko jeden wyraz: - *Chartres*.

Prostuję się, zaskoczona tym słowem. Wiem, że usłyszałam je wyraźnie, ale nie znam jego znaczenia.

- Nie wiem...

Abigail przerywa mi, szepcząc:

- *U stóp Strażniczki. Nie Dziewicy, lecz Siostry*. - Omiata spojrzeniem pokój. - Moje słowa cię poprowadzą, gdy przemierzysz morze. Gdybyś była zmuszona kontynuować podróż samotnie, wiesz tyle, by odnaleźć drogę.

Obracam to dziwne słowo w ustach, podoba mi się jego smak. Staram się zapamiętać dalsze niezwykłe wskazówki. Wiąże się z nimi niejasne wrażenie, że skądś je znam, chociaż nie potrafię sobie przypomnieć, aby ktokolwiek wypowiadał je w mojej obecności.

Po drugiej stronie łóżka staje Una, trzymając szklanekę, do której wsypała utarty proszek. Smutno się uśmiecha.

- Lady Abigail musi teraz odpocząć.

Patrę jeszcze raz na siostrę swojej babci. Właśnie zasnęła, schylam się więc i całuję jej

rozpalone czoło.

- Śpij dobrze, ciociu Abigail.

Una stawia szklankę na stoliku przy łóżku.

- Przykro mi, Lia. Czy mogę ci jakoś ulżyć w smutku?

- Po prostu dbaj o nią - proszę.

- Przygotowałam jej środek łagodzący ból, ale skoro nareszcie spokojnie może odpocząć, nie chciałabym jej budzić. Posiedzę przy niej, a kiedy się przebudzi, podam jej to lekarstwo, żeby nie cierpiała. - Una uśmiecha się. - Ty też powinnaś odpocząć. Jeszcze wyglądasz na zmęczoną.

Nie zdaję sobie sprawy, jak dalece prawdziwe są jej słowa. Usłyszawszy je, natychmiast zaczynam odczuwać wyczerpanie.

- A przyjdiesz i zawołasz mnie, kiedy się obudzi? Chciałabym spędzić z nią jak najwięcej czasu, zanim...

- Sprowadzę cię natychmiast, jak się ocknie, obiecuję - Una kiwa głową ze zrozumieniem.

Na drżących nogach idę w stronę Dimitriego czekającego przy wejściu. Bierze mnie za rękę i wychodzimy na korytarz, zamykając za sobą drzwi.

- Trzeba cię położyć do łóżka - stwierdza Dimitri. - W najbliższych dniach musisz mieć dużo sił.

Idąc, przyglądam się mu.

- Co wiesz o miejscu, w którym znajdują się brakujące strony?

Dimitri ma zamyśloną twarz.

- Bardzo niewiele. Powiedziano mi tylko, że mam przygotować się do podróży, że ty i ja, z Edmundem jako przewodnikiem, wyjeżdżamy pojutrze.

Kiwam głową. Mimo że mam całkowite zaufanie do Dimitriego, postanowiłam, że uszanuję decyzję ciotki. Nie wyjawię mu słów, którymi szeptem podzieliła się tylko ze mną, w czterech ścianach swojej sypialni.

- Dimitri...

- Hmm?

Skręcamy za róg, poznaję korytarz prowadzący do mojego pokoju.

- Zanim odjedziemy, muszę odwiedzić Sonię.

Czuję się winna, że nie należałam wcześniej, nie byłam jednak pewna swoich własnych sił. Chciałabym wierzyć, że moja zdolność przebaczenia jest na tyle duża, że pokona każdą przeszkodę, jednak szok związany ze zdradą Soni nadal przyprawia mnie o zawrót głowy.

Chyba nie dowiem się, jak wielka jest moja chęć wybaczenia, dopóki jej nie zobaczę. Dlatego musimy się spotkać przed wyjazdem, niewykluczone, że po raz ostatni.

- Jesteś pewna, że to dobry pomysł? Członkowie Starszyny twierdzą wprawdzie, że jej stan się poprawił, ale może lepiej byłoby poczekać, aż Sonia całkiem wyzdrowieje, aż wrócimy z podróży.

- Nie, Dimitri, ja muszę się z nią zobaczyć. Inaczej nie zaznam spokoju. I tak powinnam była odwiedzić ją już wcześniej.

- Nic by to nie dało, gdybyś odwiedziła ją zaraz po przyjeździe, zresztą Starszyna zakazałaby widzeń. Lecz jeśli teraz uważasz, że powinnaś spotkać się z Sonią, porozmawiam z nimi i poproszę o pozwolenie na odwiedziny jutro.

Staję na palcach i obejmuję Dimitriego za szyję.

- Dziękuję - mówię, a potem leciutko go całuję.

Oddaje mi pocałunek z ledwie hamowanym pożądaniem, wreszcie mnie puszcza.

- Musisz odpocząć, Lia. Zobaczymy się rano.

Opieram się czołem o jego pierś.

- Nie chcę, żebyś poszedł.

Dimitri przeczesuje palcami moje loki na karku.

- Więc nie pójdę.

- Jak to? - przypatruję mu się.

- Jeśli chcesz, mogę spać na podłodze - wzrusza ramionami - albo gdziekolwiek indziej, skoro wolisz, żebym nie odchodził. To żaden wstyd. Przynajmniej tutaj. Poza tym powiedziałem ci - dodaje z żartobliwym błyskiem w oku - że zamierzam uszanować zasady obowiązujące w twoim świecie, czy tego chcesz, czy nie.

W moim umyśle jest jeszcze jakiś zakątek, który pamięta zalecenia panny Gray, nauczycielki z Wycliffe, dotyczące przyzwoitości. Zakątek ten zadziwiony jest moją bezwstydną, ale oświecla go tylko mała świeczka, nieporównanie mniejsza od ognia, który rozpala się gdzie indziej. Nie podsyca go wyłącznie moje coraz silniejsze uczucie do Dimitriego, lecz także radość płynąca ze świadomości, że istnieją jeszcze inne drogi, inne sposoby, z których mogę skorzystać. Że moje możliwości wyboru nie są tak ograniczone, jak kiedyś zakładałam. Nic więc dziwnego, że się uśmiecham.

- W porządku. Chcę, żebyś został.

Dimitri otwiera drzwi do mojego pokoju.

- No to zostaję.

Nie przebieram się do spania. Przypominam sobie, w jakim "stroju" obudziłam się rano,

więc pozostaje mi chyba tylko jedna możliwość. Wystarczającym skandalem, mimo że moje pragnienie wolności ostatnio bardzo się wzmogło, jest obecność mężczyzny w sypialni. Obecność ta w połączeniu z moją nagością byłaby już niemożliwa do wytłumaczenia, nawet w mistycznym świecie Altus.

Układam się wygodnie na łóżku, podczas gdy Dimitri wyciąga z szafy koce i poduszki, które rozściela dla siebie na podłodze. Potem przechodzi przez pokój i rozsuwa zasłony zawieszane w dużym oknie. Okazuje się, że są to szklane drzwi, takie jak w pokoju ciotki Abigail. Dimitri otwiera jedno skrzydło, pytając:

- Mam nadzieję, że nie będzie ci przeszkadzać? Lubię czuć morską bryzę.

- Nie będzie. Nie wiedziałam, że się otwierają - wyjaśniam.

Dimitri podchodzi do łóżka i otula mnie ciepłą kołdrą.

- Teraz będzie ci ciepło, kiedy zaśniesz ukołysana szumem morza. - Nachyla się i całuje mnie powściągliwie w usta. - Dobranoc, Lia.

Czuję się zawstydzona jego bliskością.

- Dobranoc.

Dimitri gasi świecę na nocnym stoliku i słyszę, jak układa się na kocach. Nie na długo jednak. Łóżko jest szerokie, ja jestem do niego nieprzyzwyczajona, a poza tym nie podoba mi się pomysł, że Dimitri ma spać na zimnej podłodze.

- Dimitri?

- Hmm?

- Czy mógłbyś spać tu na łóżku, jednocześnie... szanując zasady obowiązujące w moim świecie? - Ciekawe, czy wyczuje żart w moim głosie.

- Oczywiście, że mógłbym.

Ja z pewnością słyszę wesołość w jego tonie.

Rozdział 25

- Na litość boską! - z głębokiego snu budzi mnie głos Luisy. - Śmiem twierdzić, że szybko przyzwyczyłaś się do wyspiarskiego stylu życia!

Siadam, wyplątując się z ramion Dimitriego, który powoli otwiera oczy, zupełnie niespeszony porannym wtargnięciem Luisy.

- Cóż... dla zachowania przyzwoitości niech to pozostanie między nami, dobrze?

- Ja dochowam twoich sekretów, jeśli ty dochowasz moich - Luisa unosi brwi.

- Nie znam żadnych twoich sekretów. Przynajmniej tych najnowszych. - Przeciagam się, walcząc z pragnieniem, żeby znów położyć się obok Dimitriego.

- Myślę, że temu problemowi da się zaradzić, jeżeli odeślesz stąd swojego małego dzikusa, a sama umyjesz się i ubierzesz - Luisa zmierza w stronę szafy.

Nie chcę, żeby Dimitri wychodził, nawet na moment, ale muszę przygotować się na spotkanie z Sonią. Chciałabym także zajrzeć do ciotki Abigail.

Schylam się i delikatnie całuję Dimitriego w usta, podczas gdy Luisa przekopuje zawartość szafy, odwrócona do nas plecami.

- Przepraszam - szepczę.

Dimitri gładzi moje potargane włosy opadające wzdłuż skroni, policzka i szyi, docierając do tuniki na ramieniu.

- Nie ma o czym mówić. Ja też muszę się ubrać i porozmawiać ze Starszyzną o twoich odwiedzinach u Soni. Niedługo przyjdę po ciebie.

- Dziękuję, że zostałeś.

- To ja dziękuję - uśmiecha się Dimitri. - Od dawna tak dobrze nie spałem. - Wstaje z posłania i zwraca się do Luisy, stojącej w nogach łóżka z czystą tuniką przewieszoną przez ramię. - Cała wyspa wie już, jakim uczuciem darzę Lię, Nie dbam o to, czy się dowiedzą, gdzie spędziłem noc, ale w imieniu Amalii dziękuję ci za dyskrecję.

- Tak, jasne - Luisa przewraca oczami. - Idź już, dobrze? Nigdy nie wyciągnę jej z pokoju, jeśli ty tu będziesz!

- Zgoda, idę. - Dimitri z uśmiechem rusza do drzwi, nie mówiąc nic więcej.

Natychmiast po jego wyjściu Luisa wybucha śmiechem.

- No co? - Staram się przybrać niewinny wyraz twarzy, ale czuję, że policzki mi płoną,

więc chyba się nie udało.

Luisa rzuca mi tunikę.

- Lia, przede mną nie musisz udawać niewiniątka. Za dobrze Cię znam.

- Nie udaję niewiniątka - wzruszam ramionami. - Do niczego nie doszło. Dimitri... szanuje prawa obowiązujące w naszym społeczeństwie.

Śmiech Luisy jest najpierw delikatnym chichotem, który łatwo można stłumić przyłożoną do ust dłonią. Potem jednak przeradza się w tak niesamowity rechot, że Luisa pada na łóżko obok mnie. Jestem trochę urażona jej drwiną, jednak nie znajduję słów, by bronić siebie czy Dimitriego. Przyjaciółka stara się złapać oddech, pewnie i tak nie słuchałaby żadnych wyjaśnień.

Niestety, jej śmiech jest zaraźliwy. Ja natomiast, dla zasady, nie chciałabym się śmiać razem z nią - w końcu przecież sama jestem powodem tej kiepskiej komedii. Jednak nie udaje mi się zachować powagi i wkrótce śmiejemy się obie tak głośno, że Luisie po policzkach płyną łzy, a mnie aż rozboleł brzuch.

Dopiero po pewnym czasie uciszamy się, leżąc na kołdrze, a nasz oddech staje się coraz spokojniejszy.

- Skoro już tak świetnie się ubawiłaś moim kosztem, może teraz opowiesz mi o swojej nocy z Rhyssem? - rzucam pytanie, wpatrując się w sufit.

- O Rhysie mogę ci powiedzieć tylko jedno: "poszanowanie praw obowiązujących w naszym społeczeństwie" nie stoi wysoko na liście jego priorytetów...

Rzucam w Luisę poduszką.

- Doskonale. Pośmiej się. Ty i Rhys możecie zaspokajać swoje niezbyt cnotliwe pragnienia, a tymczasem ja uważam, że to bardzo wielkoduszne ze strony Dimitriego, że szanuje nasze obyczaje.

- Masz rację, Lia. - Słyszę, że nadciąga kolejny atak śmiechu. - Dimitri jest dżentelmenem w każdym calu. Cieszę się jednak, że Rhys jest inny!

- Och, ty! Jesteś niemożliwa! - Siadam, biorę czystą tunikę i staram się zachować poważny wyraz twarzy. - Mówiłaś, że trzeba by się wykąpać. Chciałabym wiedzieć gdzie!

- Zawsze byłaś dobra w zmienianiu tematu. - Luisa niezaprzeczalnie mówi prawdę, ale jestem jej wdzięczna, że nie rozwodzi się nad tym problemem. Siada na łóżku, a potem wstaje. - Poproszę, żeby przynieśli ci tu wannę i ciepłą wodę. Na pewno zgodzą się, ja wszystko dostałam.

- Dziękuję.

- Proszę bardzo. - Luisa podchodzi do drzwi i otwiera je, żeby wyjść na korytarz.

Wcześniej jednak patrzy na mnie i mówi: - Tylko się z tobą droczyłam, Lia.

- Wiem - uśmiecham się.

Luisa odpowiada lekko melancholijnym uśmiechem.

- Dimitriemu bardzo na tobie zależy.

- To też wiem.

Z jakiejś przyczyny jestem o tym przekonana, mimo że między mną i Dimitrim nie padły dotychczas pewne słowa.

* * *

- Nie musisz tego robić, wiesz, prawda? - mówi Luisa.

Siedzimy na łóżku, czekając na Dimitriego, który ma nas zaprowadzić do Soni. Wcześniej, zgodnie ze słowami Luisy, wniesiono mi do pokoju dużą miedzianą wannę i napełniono ją ciepłą wodą, do której wlane ze szklanej fiolki jakiś olejek zapachowy. Nie wiem, czy to dlatego, że dawno nie brałam porządnej kąpieli, czy rzeczywiście mycie się na Altus okazało się tak niewiarygodnym doświadczeniem - w każdym razie była to najwspanialsza kąpiel w moim życiu. Wkładając śliską jedwabną tunikę na czyste, pachnące ciało, czułam się bosko.

- Jeżeli nie teraz, to kiedy? - pytam Luisę. - Przecież jutro wyjeżdżam, zapomniałaś?

Podzieliłam się z Luisą najbardziej ogólnymi wiadomościami na temat następnego etapu naszego zamierzenia: ja i Dimitri mamy za zadanie szukać utraconych stron, ona tymczasem powinna zostać i opiekować się Sonią, póki nasza przyjaciółka nie wydobrzeje.

Luisa mnie w rękę fałdę fioletowego materiału, szeleszczącego od dotyku.

- Mogłabyś poczekać z odwiedzinami, aż będzie na tyle zdrowa, żeby wrócić do Londynu.

- Nie mogę - kręcę głową. - Sonia jest jedną z moich najlepszych przyjaciółek i nigdy bym sobie nie darowała, gdybym nie spotkała się z nią przed odjazdem. Gdyby chodziło o ciebie, postąpiłabym dokładnie tak samo.

- Skoro tak, niech będzie... - wzdycha Luisa. - Pójdę z tobą.

- Nie będę mieć ci za złe, jeśli poczekaasz tutaj. Wiem, że to będzie trudne... zobaczyć Sonię w takim stanie.

- Nie zostawię cię samej - Luisa bierze mnie za rękę. - Teraz ani nigdy. Musimy załatwić to razem.

Uśmiecham się i ściskam jej dłoń, a w tym momencie rozlega się stukanie do drzwi. Pojawia się w nich ciemnowłosa głowa Dimitriego.

- Dzień dobry, raz jeszcze - pozdrawia nas wesoło.

- Chodź, Lia - Luisa przewraca oczami. - Wyjdźmy, nim Dimitri znowu się rozgości.

Dimitri podaje mi ramię.

- Wszystko jasne. Poprawiamy sobie nastrój moim kosztem, tak? Dobrze.

Śmieję się i całuję go w policzek. Wychodzimy razem z Luisą na korytarz i zamykamy za sobą drzwi. Idziemy przed siebie, kłaniając się napotkanym osobom. Wiele z nich przypatruje się mnie, potem Dimitriemu, wreszcie naszym splecionym rękom, a na ich twarzach pojawiają się chmurne miny. Ja nie chcę jednak głośno wyrażać niechęci, która we mnie wybiera. Dzisiaj muszę stawić czoło ważniejszym sprawom.

- Jak się czuje Sonia, Dimitri? Dowiedziałeś się czegoś nowego? - Chcę być przygotowana na spotkanie.

- Rzeczywiście pojawiły się dziś nowe wiadomości. Członkowie Starszyny uważają, że nastąpił przełom. Nie można jeszcze powiedzieć, że Sonia jest zdrowa, ale w ciągu ostatniej doby ani razu nie wspomniała o Duszach ani o medalionie.

Lecz to nie znaczy, że Dusze od niej odeszły. Czaję się gdzieś w zakamarkach jej umysłu. Tak myślę i mam wątpliwości, czy jeszcze kiedykolwiek zdołam zaufać Soni.

Dochodzimy do końca krużganka. Dimitri zaskakuje mnie, bo nie skręca za róg do środka Pałacu, lecz schodzi w dół niewielkimi schodami.

- Gdzie my idziemy? - pyta Luisa, odwracając się w kierunku budynku, w którym znajdują się nasze pokoje.

Dimitri prowadzi nas na wąską kamienistą dróżkę, którą wczoraj szliśmy do gaju pomarańczowego.

- Do mieszkania Soni.

- Które znajduje się... - docieka Luisa.

- Które znajduje się w innym budynku niż ten, gdzie my mieszkamy - odpowiada Dimitri.

Luisa nigdy nie lubi czekać na informacje, dlatego z jednej strony jestem zaskoczona, a z drugiej odczuwam ulgę, gdy tylko wzdycha, rozglądając się wokoło, kiedy idziemy przez falujące pola w stronę morza.

Niebo ma taki sam, niewiarygodnie błękitny kolor, jak wtedy, kiedy przybyliśmy na wyspę. Zastanawiam się, czy już na zawsze ten odcień pozostanie dla mnie "Altusowym błękitem". Docieramy do miejsca, gdzie wraz z Dimitrim zeszliśmy ze ścieżki w stronę gaju. Tym razem jednak podążamy dalej drogą schodzącą nad wodę.

Podobnie jak wczoraj, ta część wyspy jest opuszczona. Przez dłuższy czas nie zauważam żadnego ludzkiego siedliska. Zaczynam myśleć, że może Starszyna umieściła Sonię w

jakiejś jaskini, kiedy nagle na skraju urwiska zauważam niewielką kamienną budowlę.

Na ten widok puszczam dłoń Dimitriego i zatrzymuję się. Zastanawiam się, jak dom w ogóle może stać w tak niebezpiecznym miejscu, tuż na krawędzi.

Oczy Dimitriego podążają za moim spojrzeniem, znów bierze mnie za rękę.

- Nie jest tak źle, jak by się wydawało, Lia.

Luisa odwraca się do niego, a jej twarz o oryginalnej urodzie naznaczona jest złością.

- Nie tak źle? To mieszkanie na końcu świata! Przychodzi mi na myśl słowo "ponure"!

- Przyznaję, że stąd wygląda dosyć... skromnie - wzdycha Dimitri. - Ale wewnątrz są wszystkie wygody, tak jak w Pałacu. To budynek przeznaczony do pewnych uroczystości i obrzędów, które wymagają ciszy i odosobnienia, na przykład tych mających na celu przepędzenie Dusz. To wszystko.

Nie mam pojęcia, jak to się stało, że wczorajsze odwiedziny u chorej ciotki Abigail obyły się bez płaczu, skoro teraz do oczu zaczynają napływać mi łzy. Być może nie mogę uwierzyć w to, że za sprawą prorocstwa Sonia znalazła się na takim odludziu, pozbawiona miłości i opieki przyjaciół. Najpierw chcę głośno krzyknąć na wietrze, oburzona tą niesprawiedliwością, ale potem postanawiam się uspokoić, patrząc na Dimitriego i spoglądając na morze w oddali.

Po chwili czuję na ramieniu delikatny dotyk palców Luisy.

- Chodź, Lia. Pójdziemy razem.

Zgadzam się i ruszamy ścieżką, noga za nogą. Wkrótce budynek staje się lepiej widoczny, dzięki czemu domyślam się, że jest w nim więcej niż jedno pomieszczenie. To taki mini-pałacyk, znacznie mniej okazały niż główny Pałac, bez zewnętrznego krużganka, ale zbudowany z identycznego niebieskawego kamienia i również nakryty miedzianym dachem.

Skręcamy na mniejszą dróżkę, wiodącą przez bujny ogród. Ciężar spada mi z serca. Jest tu bardziej niż przyjemnie. Jest pięknie, spokojnie. Doskonałe miejsce, żeby odzyskać siły.

Dom stoi na końcu dróżki. Po przejściu przez sielski ogród ze zdziwieniem zauważam dwóch Braci stojących na straży po obu stronach potężnych drzwi. Mają takie same ubrania jak wszyscy mężczyźni na Altus. Jak Dimitri. To dzienny strój, składający się z białej bluzy i spodni. Nie wiem, dlaczego uznałam ich za wartowników, ale mam wyraźne przeczucie, że właśnie po to tu są.

- Dzień dobry - wita ich Dimitri. - Przyszliśmy w odwiedziny do Soni Sorrensen.

Bracia składają Dimitriemu pełen szacunku ukłon, a na mnie łypią podejrzliwie.

- Czy podczas mojej nieobecności na Altus zmieniano protokół? Co to, z Siostrami się już nie witamy? - pyta Dimitri. Po głosie słyhać, że ledwie hamuje gniew.

Kładę mu rękę na ramieniu.

- Już dobrze.

- Nie, wcale nie - odpowiada, nie patrząc na mnie. - Czy wiecie, że ta Siostra może być kolejną władczynią Altus? Nie ma znaczenia, czy według proroctwa jest Strażniczką, czy Bramą. Wystarczy, że działa dla naszego dobra. Może rządzić wami w przyszłości. Dlatego natychmiast - syczy przez zaciśnięte zęby - macie ją powitać.

Oczywiście czuję się okropnie, kiedy pochylają głowy w ukłonie.

- Dzień dobry; Siostro - mówią chórem.

Ja też się kłaniam. Również czuję gniew, lecz nie wobec tych dwóch strażników stojących przede mną. - Dzień dobry. Dziękuję, że pilnujecie mojej przyjaciółki. Kiwiają głowami, a kiedy otwierają drzwi i odsuwają się na bok, żeby wpuścić nas do środka, w ich oczach dostrzegam wstyd.

Wchodzimy do korytarza, który chyba ciągnie się przez cały budynek. Na końcu są szklane drzwi, przez które widać morze. Przyciągam Dimitriego do siebie i patrzę na Luisę.

- Luiso, możesz nas na chwilę zostawić?

Przyjaciółka wzrusza ramionami i odchodzi kilka kroków w głąb holu, gdzie podziwia obrazy na ścianach. W tak niewielkim budynku nie możemy liczyć na więcej prywatności. Odwracam się do Dimitriego.

- Nigdy więcej tak nie rób.

- Jak? - kręci głową, najwyraźniej nie rozumiejąc.

- Jak? - powtarzam chrapliwym szeptem. - *Tak*. Nie możesz upokarzać mnie w obecności tych wartowników ani nikogo innego na wyspie.

- Ja nie chciałem cię *upokorzyć*, Lia. - Moja sugestia jest dla Dimitriego szokiem. - Jeszcze wczoraj denerwował cię sposób, w jaki odnosiły się do ciebie najmniej światłe osoby na wyspie.

- A ty kazałeś mi zachować cierpliwość! - Przestałam mówić szeptem, ale chyba nic na to nie poradzę.

Dimitri krzyżuje ramiona na piersi. Przez chwilę wygląda jak nadąsane dziecko.

- Tak... Zmęczyły mnie już te ukradkowe spojrzenia i uwagi. A poza tym możesz zostać następną władczynią Altus. Nie mają prawa tak cię traktować. Nie pozwolę na to.

Złość opuszcza mnie tak szybko, jak nadeszła. Jakże mogłabym się gniewać na kogoś, komu tak na mnie zależy, że żąda, aby inni odpowiednio się wobec mnie zachowywali?

- Dimitri - wyciągam ręce i zakładam mu na szyję. - Nie wiem, czy będę kolejną władczynią Altus, ale wreszcie zrozumiałam, że na zawsze pozostanę Siostrą. I obojętne, czy

będę tylko jedną z wielu, czy Lady Amalią, to ja muszę zaskarbić sobie szacunek Braci, Obserwatorów i pozostałych Sióstr. Wyłącznie *ja* mogę to zrobić, ale prawdopodobnie zajmie to dużo czasu. - Staję na palcach i szybko całuję go w usta. - Jeżeli natomiast ktoś będzie się czuł zmuszony, aby okazywać mi szacunek, na jaki nie zasłużyłam, wtedy wzbudzę tylko jego antypatię.

Dimitri robi głęboki wydech, jakby był ogromnie zmęczony.

- Jesteś bardzo mądra jak na Siostrę, która tak krótko przebywa na wyspie. Twoja obecność tutaj to prawdziwe szczęście dla Altus, bez względu na to, czy będziesz tylko jedną z Sióstr, czy jej następną władczynią. - Schyla głowę i delikatnie mnie całuje. - Dla mnie to też wielkie szczęście.

- Na litość boską! - Luisa stoi parę kroków od nas. - Urządziliście sobie tak słodziutką pierwszą kłótnię i tak szybko doszliście do zgody, że aż mi niedobrze. Na dodatek obrazki tu na ścianach nie są zbyt ciekawe. Możemy już iść do Soni? Proszę.

- Chodźmy - ze śmiechem odrywam się od Dimitriego.

Ruszamy korytarzem, skręcamy w prawo i w pewnej odległości widzimy kolejne szklane drzwi. Dimitri jednak bez wahania podchodzi pod inne, najzwyczajniejsze drewniane. Siedzi przy nich jakaś niemłoda Siostra, pewnie też na warcie. Haftuje coś połyskliwą zieloną nicią na delikatnym białym płótnie.

- Witaj, Siostro - kłania się Dimitri, a ja i Luisa powtarzamy jego gest.

Siostra oddaje ukłon i przynajmniej tym razem moje oczy napotykają ciepłe, życzliwe spojrzenie. Kobieta nic nie mówi, tylko wstaje i otwiera drzwi, potem wprowadza nas do środka i zamyka, pozostając na zewnątrz.

Nie wiem, czego się spodziewałam, ale na pewno nie tak przytulnego i przyjaznego wnętrza. A więc to jest pokój Soni od dnia naszego przyjazdu na Altus. Wydaje się całkiem spory. Po jednej stronie stoi sofa z miękkimi poduszkami, po drugiej duże łóżko przykryte pluszową narzutą. Naprzeciwko wejścia widać znane nam już podwójne szklane drzwi, otwierające się na główny dziedziniec, pełen kwiatów. Nie mam pojęcia skąd, ale wiem, że wystarczy wyrzeć tam na zewnątrz, żeby znaleźć Sonię. Ruszam bez wahania w kierunku wyjścia.

Przekroczenie tego progu przypomina przejście do innego świata. Dziedziniec jest większą wersją ogródka zaaranżowanego wzdłuż ścieżki prowadzącej do pałacyku. Spośród roślin rozpoznaję hortensje, piwonie i jaśmin. Morska bryza nadaje powietrzu miły, delikatny zapach. Jest wyczuwalna na całej wyspie. Myślę, że już wszędzie i zawsze będzie mi jej brakowało.

Na tle dalekiego szumu morza dociera do nas jeszcze inny szmer wody. Dimitri unosi pytająco brwi. Wchodzimy na żwirową alejkę i skręcamy, rozglądając się za źródłem dźwięku. Rozpoznaję go dopiero, gdy pośrodku dziedzińca widzę małą fontannę. Woda spada po kamieniach ułożonych w wysoki stos. Fontanna jest śliczna i biegnę do niej, ale nie dlatego, że pod wpływem impulsu chcę zanurzyć w niej dłonie. Chodzi mi o ławeczkę stojącą nieopodal, a ściślej mówiąc o Sonię, która na niej siedzi.

Słyszając nasze kroki na żwirze, Sonia wstaje. Patrzą w jej głębokie, niebieskie jak lód oczy. Widzę w nich wahanie i obawę. - Nie zastanawiam się jednak, czy do niej podbiec. Robię to instynktownie, tak że mija może parę sekund pomiędzy ujrzeniem Soni a naszymi uściskami, jednoczesnym płaczem i śmiechem.

- Och, mój Boże! Lia! Tak za tobą tęskniłam! - słowa Soni toną we łzach.

Robię krok w tył i przypatruję się jej. Zauważam cienie pod oczami i bladą cerę. Sonia, wcześniej tak szczupła, że nie mogła sobie pozwolić na utratę choćby dwóch kilogramów, teraz wygląda, jakby schudła pięć.

- Dobrze się czujesz?

Dopiero po chwili kiwa głową.

- Chodź, usiądź - ciągnie mnie w stronę ławki, ale potem zatrzymuje się, patrząc na Dimitriego i Luisę. - Przepraszam - mówi nieśmiało. - Nie przywitałam się.

- Dzień dobry - z uśmiechem odpowiada Dimitri. - Jak się masz?

Sonia zastanawia się nad tym pytaniem, jakby odpowiedź nie była zbyt prosta.

- Chyba lepiej.

- To dobrze - cieszy się Dimitri. - Może wolałybyście zostać same?

- Nie - zaprzecza Sonia. - Mówiono mi, że jesteś jednym z Braci. Więc chyba i tak o wszystkim wiesz. Nie mam nic przeciwko temu, żebyś został. A ty, Luiso, zostaniesz?

Sonia nigdy wcześniej nie wyglądała na tak zawstydzoną, jak teraz przy spotkaniu z Luisą. Nie wiem, czy to dlatego, że na początku podróży tak gorąco mnie przekonywała o jej zdradzie, czy jest jakaś inna przyczyna tego wstydu. Nie potrafi spojrzeć Luisie w oczy.

Ona jednak uśmiecha się, starając się ośmielić Sonię, i staje obok nas. Dimitri, jak zawsze uprzejmy, usadawia się na jednym z kamieni okalających fontannę. Siedzimy tak przez kilka minut w niezręcznej ciszy, bo żadne z nas nie wie, jak zacząć. Tylko jeden raz spojrzenie Soni wędruje ku mojemu nadgarstkowi. Wciągam rękę głębiej do rękawa, żeby nie zauważyła medalionu. Kiedy napotykam jej spojrzenie, szybko odwraca wzrok.

Dimitri tymczasem rozgląda się po dziedzińcu.

- Już zapomniałem, jak tu ładnie. Dobrze cię traktowano? - pyta Sonię.

- O, tak. Siostry były dla mnie bardzo dobre, nawet w takich... okolicznościach - Sonia czerwieni się ze wstydu i znowu zapada milczenie.

Dimitri wstaje i wyciera ręce o spodnie.

- Wychodziłaś gdzieś na zewnątrz? - patrzy na Sonię. - Poza budynek? Nie mam na myśli dziedzińca, gdzie wokół są ściany.

- Raz - odpowiada Sonia. - Wczoraj.

- Raz to za mało. Wyspa jest zbyt piękna, żeby oglądać ją tylko raz. Chodźmy na spacer, dobrze?

Rozdział 26

Przechodzimy przez szklane drzwi na końcu korytarza i od razu przed nami rozciąga się morze. Połyskuje w słońcu, a choć jego tafla leży dużo niżej, dociera do nas jego zapach, silniejszy niż czułam na Altus kiedykolwiek wcześniej. Dimitri przysuwa się do mnie, przybliży usta do mojego ucha.

- Jak ci się podoba?

Z wrażenia zapiera mi dech. Widok jest tak piękny; że trudno oddać to słowami, dlatego tylko się uśmiecham.

Dimitri dotyka moich włosów, oczy pociemniały mu z pożądania. Jestem zaskoczona, kiedy okazuje się, że trzyma w ręce grzebyk z kości słoniowej, który dawno temu dostałam od ojca.

- O mało nie wypadł - wyjaśnia Dimitri, a potem zwraca się do moich przyjaciółek: - To świetny dzień na przechadzkę. Musimy go wykorzystać.

Rusza żwawo przed siebie, zostawiając nas w tyle. Dziwię się, jak on to robi, że w danej chwili zawsze wyraża się i postępuje właśnie tak, jak trzeba.

Spaceruję razem z Sonią i Luisą, nie rozmawiając. Wiatr rozwiewa nam włosy i szeleści naszymi tunikami. Idąc, pocieram palcami grzebyk. Kontakt z jego gładką powierzchnią nie pomaga mi jednak uspokoić gniewu, który cały czas kipi pod powierzchnią innych myśli.

Wreszcie Sonia przerywa ciszę delikatnym westchnieniem.

- Lia... Tak mi... przykro. Prawie nie pamiętam tych ostatnich dni spędzonych w lesie. - Patrzy na morze, jakby to pomagało jej zebrać siły. - Wiem, że zrobiłam coś okropnego. Mówiłam straszne rzeczy. Nie byłam... sobą. Czy potrafisz mi wybaczyć?

Potrzebuję czasu, żeby odpowiedzieć.

- To nie ma nic wspólnego z wybaczeniem. - Wyprzedzam Sonię i Luisę, mając nadzieję, że uda mi się pohamować gorycz, jaką czuję w sercu i zapewne wyrażam.

- Więc... z czym? - w głosie Soni wyraźnie słychać rozpacz.

Zatrzymuję się, żeby popatrzeć na wodę. Nie słyszę kroków na ścieżce, więc wiem, że Sonia i Luisa przystały za mną. Jest tyle słów, tyle pytań, oskarżeń... Tak dużo, jak ziarenek piasku na plaży pod nami. Jednak wyłącznie jedno jest teraz istotne.

Odwracam się do Soni.

- Jak mogłaś?

Zdruzgotana Sonia stoi ze zwieszonymi ramionami, lecz jej spokój, jej *słabość* nie budzą mojego współczucia ani zrozumienia. Rodzą tylko potęgującą się wściekłość, którą poskramiałam w sobie od dnia, kiedy zbudziłam się, czując, że przykłada medalion do mojego znamienia. Przez jedną straszną chwilę szukam czegoś, co pomogłoby mi rozładować narastającą furię.

- Ufałam ci! Ufałam ci *we wszystkim!* - wrzeszczę, rzucając w Sonię grzebykiem z całą mocą gniewu, który zwinął się we mnie jak żmija. - Jak zdołamy zaufać ci teraz? Jak zdołamy kiedykolwiek ci zaufać?

Sonia robi unik, chociaż grzebień nie jest groźną bronią. Przypuszczam, że dlatego właśnie go użyłam - bo przecież mimo wszystko ją kocham. Nie chcę jej zrobić krzywdy, chociaż z drugiej strony nie potrafię się opanować.

Luisa staje przed Sonią, jakby chciała ją przede mną obronić. *Przede mną.*

- Lia, przestań.

- Dlaczego, Luiso? Dlaczego mam nie zadawać pytań, które powinny paść, nawet jeśli się ich obawiamy?

Potem zapada cisza, której nie mogą już przerwać żadne słowa. Powiedziałam prawdę, wszyscy to wiemy. Tak, tęskniłam za Sonią. Tak, kocham ją i zależy mi na niej. Nie mogę jednak nie dostrzegać, że pewne rzeczy musiałyby nas drogo kosztować - nawet równać się cenie życia - gdybym uznała, że uczucia są najważniejsze.

Idąca za mną Luisa schyla się, żeby wziąć z ziemi kilka kamyków. Podchodzi do krawędzi urwiska i rzuca je w morze. Patrzę, jak przecinają powietrze. To taka jałowa rozrywka - urwisko jest zbyt wysokie, żeby zobaczyć, jak wpadają do falującej wody.

- Lia ma rację. - Na dźwięk głosu Soni odwracam się i widzę, że podniosła mój grzebyk. Ogląda go, jakby zawierał odpowiedzi na wszystkie nasze pytania. - Nadużyłam waszego zaufania i nie ma pewności, że będę silniejsza przy następnej okazji, gdyby Dusze chciały mnie wykorzystać. Mam tylko nadzieję, że następnego razu nie będzie. One... - Sonia urywa, a kiedy podejmuje wątek, jej głos dochodzi jakby z daleka. Wiem, że musi sobie wszystko przypomnieć. - One nie przyszły do mnie jako Dusze. Przybrały postać mojej matki. - Obraca się w moją stronę, a w oczach ma czysty ból. - Spotkałam się z nią na Równinie. Żałowała, że oddała mnie do pani Millburn. Powiedziała, że nie zdawała sobie sprawy, jak powinna postąpić, że myślała, iż pani Millburn pomoże mi zrozumieć moje własne umiejętności. Miło było znowu mieć mamę przy sobie, jeśli nie w tym świecie, to w jakimś innym.

- A potem? - pytam prawie szeptem.

- Potem matka zaczęła martwić się o moje bezpieczeństwo. Mówiła, że pilnując medalionu, narażam się na ryzyko, i że przez to, że nie chcesz otworzyć Bramy, wszyscy jesteśmy zagrożeni. Na początku nie słuchałam. Później jednak... nie wiem, jak to wytłumaczyć. Po prostu to wszystko zaczęło brzmieć sensownie. Oczywiście zdawałam sobie sprawę, że nie myślę normalnie, ale... - Patrzy mi w oczy i jeszcze teraz da się zauważyć, jak wielką władzę miały nad nią Dusze. To władza wynikająca z obietnicy, że coś, co było drogie i zostało utracone, można jakoś zastąpić. - To działo się stopniowo, tak powoli, że nawet nie wiem, kiedy się zaczęło.

Jej słowa unoszą się i opadają wraz z morską bryzą, odbijają się echem w moim umyśle, potem cichną. Wreszcie Sonia wyciąga do mnie rękę, w której trzyma grzebyk. Biorę go od niej.

- Przepraszam - mówię, bo rzucania grzebykiem nie można uznać za uprzejme. W głębi duszy nie jestem jednak pewna, jak szczerą są moje przeprosiny.

Sonia wyciąga ręce ku niebu, jakby zdawała się na jego werdykt.

- Nie, to ja przepraszam, Lia. Wszystko, co mogę zrobić, to błagać cię o przebaczenie i przysiąc, że prędzej zginę, niż znowu cię zdradzę.

Luisa otrzepuje ręce i podchodzi do Soni. Kładzie dłonie na jej ramionach.

- Wystarczy, Soniu. Według mnie wystarczy.

Nie przychodzi mi to łatwo, ale podchodzę kilka kroków po nierównym gruncie i przygarniam ramieniem każdą z przyjaciółek. Obejmujemy się jak wtedy, gdy prorocstwo było ledwie zagadką, gdy nie wiedziałyśmy, że zmieni nasze życie, a może nawet je przerwie.

Stojąc tak na urwisku nad morzem, przez moment chcę wierzyć, że jest jak dawniej, kiedy miałyśmy nadzieję, że w trójkę podołamy wszystkiemu. Ale to tylko moment. Bo w głębi serca wiem, że nic nie będzie jak dawniej.

* * *

Jesteśmy w połowie drogi do Pałacu, gdy zauważamy, że ktoś biegnie w naszą stronę.

Wcześniej pożegnaliśmy się z Sonią. Nie mam żadnych gwarancji, ale wierzę, że moja przyjaciółka chce wyzdrowieć i pozostać wierna naszej sprawie. Teraz można jedynie czekać, aż Siostry uznają, że jest wystarczająco silna, żeby wrócić do Londynu.

Dimitri osłania oczy przed słońcem i patrzy na zbliżającą się postać.

- To któraś z Sióstr.

Kiedy biegnie, jej tunika powiewa na wietrze. Dostrzegam jej długie, złote włosy falujące za plecami, odbijające światło niczym lustro. Siostra jest już przy nas. Nie znam jej. Jest

młoda, pewnie w wieku Astrid. Odzywa się dopiero po chwili, bo początkowo brakuje jej tchu - schyla się tylko, ciężko dysząc. Po około minucie prostuje się, ale nadal ma skrócony oddech, a policzki zaczerwienione z wysiłku.

- Przykro mi, ale... muszę zawiadomić was, że... Lady Abigail... odeszła.

Jej słowa nie od razu do mnie docierają. W głowie mam pustkę, czystą jak kawałki płótna, nim pokryją się haftami w pracowni w Wycliffe. Z otępienia wrywają mnie dopiero kolejne słowa tej młodej dziewczyny.

- Przysłano mnie tutaj z prośbą, abys raczyła przybyć, Lady Amalio.

Lady Amalio. *Lady.*

Jedyna moja myśl to: *Nie.*

Potem ruszam biegiem.

* * *

- Lia, to nie twoja wina, że cię tutaj nie było - Una stawia przede mną na stole filiżankę gorącej herbaty. - Twoja obecność nic by nie zmieniła. Abigail nie odzyskała przytomności.

Una powtarza te informacje, odkąd wpadłam potargana do środka, rozkojarzona z powodu odwiedzin u Soni i wiadomości o Śmierci Abigail. Jej słowa nie zmniejszają mojego poczucia winy. Powinnam była zostać przy Abigail. Powinnam była trwać przy jej boku cały czas. Wmawiam sobie, że przytomna czy nie, wyczuwałaby moją obecność.

- Lia - Una siada obok i bierze moją dłoń w swoje ręce. - Lady Abigail miała długie, pracowite życie. Żyła w spokoju tu, na Altus, tak jak chciała żyć. - Uśmiecha się. - I poznała cię, zanim zmarła. Myślę, że cały czas na to czekała.

Schylam głowę. Łzy kapią mi z oczu prosto na stół. Nie wiem, jak mam powiedzieć Unie, że oplakuję Lady Abigail z wielu powodów. Ciotka Virginia zawsze służy mi pomocą, ale sama przyznała, że jej moc jest niewielka. Poza tym przekazała mi już całą swoją wiedzę.

Miałam nadzieję, że obecnie Lady Abigail będzie mi przewodniczką. Myśląc o prorocztwie, zawsze miałam w pamięci jej silną, mądrą postać. To ona była moim najbliższym sprzymierzeńcem, nawet gdy dzieliły nas setki mil. Teraz jestem sama, samotna jak nigdy.

Zostałam już tylko ja i Alice.

Rozdział 27

Stoimy razem z Dimitrim nad brzegiem morza, wpatrując się w bezmiar wód. Barkę z ciałem Lady Abigail zepchnięto na fale dawno temu. Zniknęła, tak jak wszystkie osoby zgromadzone na plaży podczas ceremonii oddania ciała morzu otaczającemu Altus.

W porównaniu ze znanym mi obyczajem pogrzeb nastąpił bardzo szybko, już w dniu śmierci Abigail. Dimitri mówi, że taka tradycja obowiązuje na wyspie. Nie ma powodu, bym ją kwestionowała - zwyczaj mojego świata wydają się może równie dziwne mieszkańcom Altus, jak mnie tutejsze. Poza tym Abigail była Siostrą i panią wyspy. Skoro właśnie tak żegna się tutaj zmarłych, zapewne chciałyby, aby wszystko odbyło się zgodnie z tradycją.

Dimitri odwraca się i rusza w głąb lądu. Chwyta mnie za rękę.

- Odprowadzę cię do Pałacu, a potem muszę iść na naradę Obserwatorów, zająć się pewnymi sprawami.

Patrzę na niego zaskoczona. Nawet pogrążona w smutku, nie potrafię opanować ciekawości; to moja charakterystyczna cecha.

- Jakimi sprawami?

- Musimy omówić wiele rzeczy, zwłaszcza ze względu na śmierć Lady Abigail. - Idąc, Dimitri spogląda przed siebie. Wydaje mi się, że unika mojego wzroku.

- Ale jutro wyjeżdżamy! Czy te sprawy nie mogą poczekać?

- Tak sugerowałem - zgadza się Dimitri. - Muszę na przykład wyjaśnić powody swojej interwencji podczas spotkania z koniem morskim. Poprosiłem o odroczenie stawienia się przed Radą do momentu, gdy odnajdziemy brakujące strony.

- To wydaje się słuszne.

- Tak - potwierdza. - Do rana Rada poinformuje mnie o swojej decyzji. Jest jednak jeszcze jedna sporna kwestia. Dotyczy ciebie.

- Mnie? - Zatrzymuję się obok ścieżki, która zaprowadzi nas do Pałacu. Porusza się nią dzisiaj sporo osób; zbliżając się do budynku, mijaliśmy wiele Sióstr.

Dimitri chwyta obydwie moje dłonie.

- Lia, jesteś prawowitą władczynią Altus.

- Przecież już powiedziałam - kręcę głową. - Nie chcę rządzić. Nie teraz. Nie mogę... - Odwracam wzrok. - Nie potrafię o tym myśleć w tej chwili, kiedy wszystko dopiero przede

mną.

- Rozumiem. Masz rację. Tymczasem jednak Altus zostaje bez przewodniczki, a twoim obowiązkiem jest albo przyjąć, albo odrzucić stanowisko.

Moje rozdrażnienie, dotychczas skrywane, potęguje się.

- A dlaczego Obserwatorzy nie rozmawiają bezpośrednio ze mną? Altus to taka postępową wyspa - chyba rozmowa z kobietą nie jest poniżej ich godności?

W westchnieniu Dimitriego słyhać zmęczenie.

- Po prostu nie ma takiego zwyczaju. Nie dlatego, że jesteś kobietą, Lia, ale dlatego, że Obserwatorzy najczęściej nie spotykają się z nikim innym, o ile nie jest to niezbędne dla utrzymania porządku i dyscypliny. To takie... odosobnienie, jak w twoim świecie w klasztorach. Z tego powodu Obserwatorzy mieszkają po drugiej stronie wyspy. Zdają się na wysłanników, takich jak ja, żeby przekazywać informacje Siostron. Uwierz mi, Lia, jeśli kiedykolwiek zostaniesz poproszona, by stawić się przed Obserwatorami, nie będzie to wróżyło nic dobrego.

Poddam się, nie pojmuję zawiłości tych wyspiarskich zwyczajów. Nie mam teraz czasu, żeby rozszyfrowywać wszystkie skomplikowane zasady i przepisy.

- Jakie mam możliwości wyboru, Dimitri? Wymień wszystkie.

Dimitri bierze głęboki oddech, jakby dalsza część rozmowy wymagała więcej powietrza.

- W zasadzie są tylko trzy. Po pierwsze, możesz przyjąć należne ci stanowisko i wyznaczyć zastępcę do czasu swojego powrotu. Po drugie, możesz objąć władzę i zostać na wyspie, ale wtedy musisz wysłać kogoś innego, aby odszukał brakujące strony Księgi. Po trzecie, możesz zrezygnować z władzy.

Przygryzam dolną wargę i rozważam kolejno możliwości. W pewnej mierze chciałabym odrzucić to stanowisko już teraz. Wymazać tę możliwość ze świadomości, żeby skoncentrować się na poszukiwaniu kart Księgi. Lecz ta praktyczna, racjonalna strona mojej osobowości podpowiada, że nie jest to odpowiednia pora na pochopne decyzje.

- Co się stanie, jeśli zrezygnuję od razu?

Odpowiedź Dimitriego jest prosta.

- Władzę przejmie Ursula w zastępstwie Alice, która z powodu lekceważenia praw stanowionych przez Obserwatorów nie jest godna, by objąć to stanowisko.

Ursula. Już samo imię rodzi mój niepokój. Kto wie, może okazałaby się silną, mądrą władczynią. Ja jednak nauczyłam się ufać swojej intuicji. Nie czuję się gotowa, żeby powierzyć coś tak istotnego jak przyszłość Altus - przyszłość, której ciotka Abigail oddała całe swoje życie - osobie, która budzi we mnie taki niepokój. Nie. Skoro jestem prawowitą

władczynią, Obserwatorzy muszą uczynić, jak każę, bo leży to w interesie wyspy.

Jestem przekonana, że to, co zamierzam, posłuży dobru Altus.

Spoglądam na Dimitriego i dojrzenia we mnie postanowienie.

- Na razie ani nie przyjmuję, ani nie odrzucam stanowiska.

- Takiej możliwości nie ma, Lia - Dimitri kręci głową.

- Będzie musiała się pojawić - prostuję się. - Jestem prawowitą panią wyspy, lecz zlecono mi, w imieniu wszystkich Sióstr, odnalezienie brakujących stron Księgi. Ponieważ nie potrafię być w dwóch miejscach jednocześnie ani skupić się na wyprawie, jeśli będę mieć na głowie obowiązki władczyni, również poproszę o odroczenie. - Zastanawiam się chwilę, chodząc wokół Dimitriego, lecz im dłużej myślę, tym bardziej przekonuje mnie to rozwiązanie. - Wyznaczam Obserwatorów na zarządców wyspy, dopóki bezpiecznie nie powrócę z odzyskanymi stronami.

- Nikt tak nigdy nie robił - odpowiada krótko Dimitri.

- Najwyższa pora to zmienić.

* * *

Znajduję Luisę w bibliotece, zanurzoną w ciepłym świetle lampki stojącej na biurku. Jej jasne policzki okolone są ciemnymi lokami. Nagle dociera do mnie myśl, że od jutra, po raz pierwszy od czasu wyjazdu z Londynu, będę pozbawiona jej towarzystwa. Jakże będzie mi brakowało jej ciętych odpowiedzi i humoru!

- Luiso - mówię cicho, żeby jej nie przestraszyć, ale niepotrzebnie się martwię. Luisa unosi bezgranicznie spokojną twarz.

Wstaje, delikatnie się uśmiecha i podchodzi do mnie. Obejmuje mnie ramionami. Przez chwilę stoimy tak w bezruchu, w przyjacielskim uścisku.

W końcu Luisa odsuwa się, przygląda mi się uważnie i pyta:

- Dobrze się czujesz?

- Chyba tak - odpowiadam z uśmiechem. - Przyszłam się pożegnać. Wyjeżdżamy jutro bardzo wcześnie rano.

Twarz przyjaciółki smutnieje.

- Nie pytam, dokąd jedziesz. Wiem, że nie wolno ci tego wyjawić. Dlatego obiecuję, że zostanę tutaj i będę opiekować się Sonią, dopóki nie wrócisz ze stronami. Wtedy poradzimy sobie doskonale, prawda? A niedługo potem wrócimy razem do Londynu.

Chciałabym odejść teraz, kiedy obydwie jesteśmy w dobrym humorze, pełne nadziei na przyszłość - przynajmniej z pozoru. Lecz wiem, że nie zaznam spokoju, jeżeli nie

porozmawiam z Luisą o dzisiejszym poranku.

- Bardzo chcę znowu ufać Soni - wzdycham.

- Wierzę ci. Zaufasz jej - Luisa podchodzi i mocno mnie ściska. - Zaufanie wymaga czasu, Lia, jak wiele innych rzeczy. Teraz nie pora martwić się Sonią. To, pod twoją nieobecność, będzie moim zadaniem. Ty masz skupić się na swoim bezpieczeństwie i celu podróży. Odszukaj te karty. Z resztą uporamy się, jak wrócisz.

Jeszcze przez chwilę cieszymy się swoją bliskością, lecz przez cały czas staram się wymazać z myśli niewypowiedziane na głos zastrzeżenie, które spontanicznie zrodziło się w mojej głowie: *Jeśli wrócę, Luiso. Jeśli wrócę.*

* * *

Jestem tak zdenerwowana, że ledwie oddycham. Od pożegnania z Luisą minęła już cała godzina. Siedzę na łóżku, czekając na Dimitriego i decyzję Obserwatorów, a nerwy mam tak napięte, że chyba zaraz pękną.

W samą porę dochodzi mnie lekkie stukanie do drzwi. Przechodzę przez pokój, żeby otworzyć. Wcale mnie nie dziwi widok Dimitriego, który wchodzi do środka bez zaproszenia.

Nic nie mówię, chcę najpierw zamknąć drzwi. Potem nie czekam ani chwili dłużej.

- Co powiedzieli?

Dimitri kładzie mi ręce na ramionach. Przez moment obawiam się, że odmówili, że stwierdzili, iż decyzję trzeba podjąć natychmiast. Decyzję, która zwiąże mnie na zawsze.

Na szczęście nic takiego nie słyszę.

- Zgodzili się, Lia - Dimitri, śmiejąc się, z niedowierzaniem kręci głową. - Ledwie mogę uwierzyć, ale obydwójce dostaliśmy odroczenie. Nie było łatwo, ale w końcu przekonałem ich, że nie należy cię karać za to, że dążysz do rozwiązania proroctwa, ani mnie - za to, że chronięm cię, kiedy podróżowałaś, zawezwana przez Lady Abigail.

Nadpływa fala ulgi, zmywając cały lęk.

- Mamy czas do momentu znalezienia stron?

- Lepiej - odpowiada Dimitri.

- Lepiej? - Nie rozumiem, jaka sytuacja mogłaby być lepsza.

- Decyzje zostają odroczone do momentu zakończenia proroctwa, o ile będziesz starała się doprowadzić do rozwiązania. Gdybyś zmieniła zdanie... Gdybyś postanowiła spełnić się jako Brama, władzę obejmie Ursula.

- To się nigdy nie stanie.

- Ja to wiem, Lia.

Odwracam się na chwilę, próbując zrozumieć, jak to możliwe, że Obserwatorzy postąpili inaczej niż zwykle.

- Dlaczego się zgodzili, skoro nie było precedensów?

Dimitri wzdycha i ucieka wzrokiem w kąt pokoju.

- Zwyczajnie powiedz - w moim głosie pobrzmiwa zmęczenie.

Dimitri patrzy mi prosto w oczy.

- Doszli do wniosku, że zadecyduje przeznaczenie. Jeżeli doprowadzisz przepowiednię do końca, decyzje i tak należeć będą do ciebie. Jeżeli nie doprowadzisz...

- Jeżeli nie doprowadzę?...

- Jeśli ci się nie powiedzie, to albo dlatego, że poddasz się i przyjmiesz rolę Bramy, albo dlatego... że zginiesz.

Rozdział 28

Następnego ranka Una budzi mnie, kiedy jest jeszcze ciemno.

Z ciężkim sercem biorę od niej stos poskładanej odzieży, bo poznaję, że to wyprane spodnie do konnej jazdy i koszula, którą miałam na sobie w drodze na Altus. Podczas pobytu na wyspie przyzwyczaiałam się do jedwabnej tuniki. I do wielu innych rzeczy.

Myję się i ubieram, a tymczasem Una pakuje mi do sakwy tyle jedzenia i picia, żeby wystarczyło dla mnie i Dimitriego aż do pierwszego przystanku w podróży. Ja wcześniej zapakowałam strzały oraz sztylet. Nawet wiedząc, że będzie ze mną Dimitri, który ma mnie chronić, postanawiam na wszelki wypadek liczyć również na własne siły, pomna zdrady Soni.

Nic innego chyba nie będzie mi potrzebne.

Pewną otuchą napętnia mnie ciepło zmiowego kamienia, które czuję na skórze. Kamień łatwo skryć pod koszulą, lecz kiedy poprawiam rękawy, mój wzrok pada na medalion umocowany przy nadgarstku. Myślałam o tym, czy nie powinnam go zostawić pod opieką Obserwatorów, Sióstr, nawet samej Uny, ale jakoś nie mogę nabrać przekonania, że jest ktoś, komu mogłabym go powierzyć. Nie po tym, co stało się z Sonią.

Una podąża za moim spojrzeniem i dociera wzrokiem do mojego nadgarstka.

- Czy wszystko w porządku?

Kiwam głową, zapinając guziki koszuli.

- Może chciałybyś... - Una chwilę się waha. - Może wolałybyś zostawić medalion tutaj? Będę go pilnować, Lia, o ile ci to pomoże.

Przygryzam wargę, zastanawiając się nad propozycją, choć myślałam na ten temat już wiele razy.

- Mogę o coś spytać?

- Oczywiście.

Wpycham koszulę do spodni, starając się dobrać odpowiednie słowa.

- Czy wy tutaj... na Altus... Obserwatorzy, Bracia, Siostry... jesteście podatni na pokusy Dusz?

Una odwraca się, podchodzi do niewielkiego stolika i podnosi coś z blatu.

- Nie Rada Obserwatorów. W żadnym wypadku. A Bracia i Siostry... tak, ale nie w tym samym stopniu co ty czy Alice. Wy jako Brama i Strażniczka jesteście bardziej bezbronni

wobec Dusz.

- Czuję, że jest coś, o czym nie chcesz mi powiedzieć, Uno.

Una odwraca się od stolika i wraca do mnie, niosąc coś w dłoniach.

- Niczego celowo przed tobą nie ukrywam. Po prostu niełatwo to wytłumaczyć. Przeciętny Brat czy Siostra nie mają bezpośredniego wpływu na to, czy Dusze przejdą do materialnego świata, ani na to, jaki będzie los Samaela. Ale Dusze mogą skusić Brata lub Siostrę, aby działali w ich imieniu i wywierali wpływ na osoby o nadzwyczajnej mocy.

Takie jak Sonia i Luisa.

- Czy to się kiedyś zdarzyło na wyspie? - pytam.

Una wzdycha, widzę, że rozmowa sprawia jej ból.

- Bywały takie... przypadki. Przyłapano kilka osób na tym, że chciały wpłynąć na bieg wydarzeń tak, aby pomóc Duszom. Ale nie było to częste - tę ostatnią uwagę Una dodaje pospiesznie, jakby chciała mnie pocieszyć w obliczu wiadomości, które wcale nie są krzepiące.

Jest więc tak, jak myślałam. Dokładnie tak, jak przypuszczałam. Nie ma takiej osoby, której mogę powierzyć medalion. Zostaję tylko ja, choć i sobie nie ufam, czując jego ciężar u ręki.

Zapinam rękawy, zakrywając czarną aksamitkę. Spojrzenie Uny znowu przesuwa się w stronę mojego nadgarstka.

- Tak mi przykro, Lia.

To żalosne, ale znowu chce mi się płakać. Staram się uspokoić, rozglądając się po pokoju, który przez ostatnie dni należał do mnie. Usiłuję zapamiętać wygląd surowych kamiennych ścian, ciepło podniszczonej podłogi, słodki, pizmowy zapach pomieszczenia. Nie mam pewności, czy jeszcze kiedyś ujrzę to miejsce.

Chciałabym zapamiętać je na zawsze.

Wreszcie odwracam się do Uny. Uśmiecha się i coś mi podaje.

- To dla mnie?

Przytakuje.

- Chciałam dać ci coś, żebyś dobrze wspominała nas wszystkich i dni spędzone na Altus.

Biorę od niej ten przedmiot, zdziwiona jego miękkością, i rozwijam go. Z wrażenia zasycha mi w gardle. Mam przed sobą fioletową podróżną pelerynę, z takiego samego jedwabiu jak tuniki Sióstr przeznaczone na specjalne okazje.

Una najwidoczniej opacznie rozumie moje milczenie, wywołane wzruszeniem. Szybko dodaje:

- Wiem, że na początku, jak przyjechałaś, nasze ubrania ci się nie podobały, ale jednak... - Przygląda się swoim dłoniom i wzdycha, kiedy podnosi wzrok. - Jednak postanowiłam dać ci coś na pamiątkę. Przywiązałam się do ciebie.

Przysuwam się i przytulam ją.

- Dziękuję, Una. Za pelerynę i za przyjaźń. Mam przeczucie, że jeszcze się spotkamy. - Odsuwam się i patrzę na nią z uśmiechem. - Nie wiem, jak ci dziękować za opiekę nad Lady Abigail w jej ostatnich chwilach. I za opiekę nade mną. Będzie mi ciebie bardzo brakować.

Biorę łuk i kołczan i zawiązuję pelerynę pod brodą. Wątpię, czy kiedykolwiek będę miała ochotę ją zdjąć.

Potem odchodzę. Ciągle muszę skądś odchodzić.

* * *

Ciemności na wyspie rozjaśniają tylko pochodnie rozstawione wzdłuż ścieżki. Dimitri, Edmund i ja schodzimy w stronę zatoki, opuszczając Pałac. Mam tylko mgliste wspomnienie chwil, gdy znaleźliśmy się tu po przybyciu na Altus. Pierwsze godziny na łódce zlewają się w niewyraźną plamę, po której nastąpiły dwa stracone dni, kiedy wyłącznie spałam.

Gdy tak idziemy w kierunku morza, spodnie cały czas drapią mnie w uda, a koszula drażni skórę tułowia. Świat jedwabnych tunik i spania nago pod prześcieradłami pozostawiliśmy daleko za sobą.

Dimitri włożył pelerynę podobną do mojej, tylko czarną, mniej widoczną we mgle. Kiedy on i Edmund spotkali się ze mną w porannych ciemnościach, Dimitri natychmiast zwrócił uwagę na miękko otulającą mnie szatę. Na jego ustach pojawił się uśmiech.

- Dzisiaj też ci pięknie w fioletach.

Wiem, która łódź na przystani jest nasza, ponieważ na dziobie i na rufie siedzą dwie Siostry w luźnych szatach, z wiosłami w dłoni. Poruszamy się w milczeniu ze względu na ciszę wyspy, wsiadamy do łodzi bez słowa. Siostry od razu zaczynają wiosłować. Ja i Dimitri siedzimy z przodu, Edmund nieco za nami.

W głowie wciąż rozbrzmiewają mi słowa wyszeptane przez ciotkę Abigail, unoszą się jak mgła nad wodą. Mam nadzieję, że nasi przewodnicy okażą się godni zaufania, że Dimitri i ja nie będziemy zmuszeni szukać drogi sami. Jednocześnie odżywa we mnie postanowienie, żeby uczynić wszystko, co będzie trzeba.

Patrzę na wiosłujące w milczeniu Siostry, wyprowadzające łódź coraz dalej w morze. Przypominam sobie pewne niewypowiedziane pytanie, którego nie zdołałam sformułować, gdy wyczerpana dopływałam do Altus.

- Dimitri?

- Hmm? - Patrzy na morze.

Przysuwam się bliżej i mówię cicho, żeby nie przeszkadzać naszym wioślarkom.

- Czemu te Siostry wcale się nie odzywają?

Dimitri wydaje się zdziwiony pytaniem, jakby dopiero teraz zrozumiał, że jest coś dziwnego w tym, iż wiożą nas milczące kobiety.

- Składają takie przyrzeczenie. Przysięgają milczenie, bo w ten sposób nie zostanie ujawnione położenie wyspy.

Patrzę na Siostrę stojącą na dziobie.

- W ogóle nie wolno im mówić?

- Mogą rozmawiać, ale nigdy poza obszarem Altus. Byłoby to złamanie ich ślubów.

Kiwam głową, zdając sobie sprawę - chyba po raz pierwszy - jak bardzo Siostry są oddane swojej ojczyźnie.

Przyglądam się, jak Altus maleje w oddali. Czuję, że należałoby coś powiedzieć, żeby podkreślić rolę wyspy i mojego pobytu na niej. Ostatecznie jednak nie mówię nic, jakbym się bała, że słowa zatrą wspomnienie zapachu jaśminu, delikatnej bryzy znad morza i nocy spędzonej w ramionach Dimitriego, kiedy nie musiałam się o nic martwić, poza tym, że takie zachowanie może się wydawać niestosowne osobom żyjącym w innym świecie.

Nie spuszczam oczu z wyspy, dopóki nie zginie we mgle. W ostatnich sekundach jest jeszcze maleńką, ciemną plamką na horyzoncie, a potem znika bez śladu.

* * *

Nasza morska przeprawa przebiega bez zakłóceń. Siedzę blisko Dimitriego, tak że nasze nogi dotykają się. Tym razem nie odczuwam chęci, żeby zanurzać ręce w wodzie.

Tak jak poprzednio, tracę poczucie czasu. Najpierw staram się zorientować, w jakim kierunku zmierzamy, w nadziei, że zgadnę, jaki jest cel podróży. Jednak mgła wprowadza nas w otępienie, które jeszcze się pogłębia z powodu rytmicznego kołysania łodzi. Po chwili rezygnuję z wszelkich wysiłków.

Dotyk zmiętego kamienia na skórze jest kojący, a jego pulsowanie świadczy o tym, że moc ciotki Abigail nadal jest ze mną i zapewnia mi ochronę. Dusze nie mogą wykorzystać medalionu, mimo że noszę go tak blisko znamienia. Pozwalam swoim myślom dryfować, na przemian zasypiając i budząc się oparta o ramię Dimitriego.

Nie rozmawiamy - ani między sobą, ani z Edmundem, czego wkrótce przyjdzie mi pożałować, łódź bowiem niespodzianie ociera się o piaszczyste dno przy brzegu. Razem z

Dimitrim wyskakuję do płytkiej wody i brniemy w stronę plaży, a w ślad za nami Edmund: Siostry nie wysiadają na ląd.

Dopiero teraz zauważam, że nasz przewodnik nie ma ze sobą żadnych rzeczy, przede wszystkim strzelby, z którą nie rozstawał się podczas naszej podróży przez las, gdy zmierzaliśmy na wyspę.

- Gdzie twój bagaż, Edmundzie? - mój głos, po ciszy panującej w łodzi, rozbrzmiewa w porannym powietrzu niczym dzwon.

Edmund pochyla się w ukłonie.

- Obawiam się, że tu musimy się rozstać.

- Ale... wyjechaliśmy parę godzin temu! Myślałam, że będzie jeszcze czas, żeby się pożegnać...

Odpowiedź Edmunda jest prosta.

- Mamy czas. Wcale nie musimy się teraz żegnać. Wracam na Altus pilnować przyjaciółek panienki. Kiedy panna Sorrensen wyzdrowieje, dowiozę ją i pannę Torelli bezpiecznie do Londynu. Tam się przecież wkrótce spotkamy - stara się mówić dziarskim tonem, ale z oczu wyziera mu smutek.

Nie wiem, co jeszcze można powiedzieć. Mgła jest nadal gęsta, mimo że stoimy na łodzi. W ogóle nie widać, jak wygląda plaża. Kawałek dalej dostrzegam tylko jakąś falującą trawę.

Spoglądam na Edmunda.

- Co mamy teraz robić?

On rozgląda się dookoła, jakby odpowiedź kryła się w szarym tumanie zalegającym plażę.

- Chyba powinniście zaczekać. Powiedziano mi, że mam was przywieźć na tę plażę, a potem wrócić na Altus. Stąd zabierze was następny przewodnik. - Edmund rzuca spojrzenie w kierunku Sióstr czekających w łodzi. Chyba odebrał od nich jakiś sygnał, którego ja nie zauważyłam. - Muszę już iść.

Kiwam ze zrozumieniem głową, a Dimitri robi krok naprzód, wyciągając rękę.

- Dziękujemy za pomoc, Edmundzie. Będę czekać na spotkanie z tobą w Londynie.

Edmund ściska mu dłoń.

- Mam nadzieję, że zadbasz o bezpieczeństwo panny Milthorpe - tylko tak ośmiela się wyrazić swoje zatroskanie.

- Ręczę swoim życiem - zapewnia go Dimitri.

Nie ma pożegnań. Edmund po prostu kłania się i odchodzi plażą, a potem przez płyciznę,

prawie nie rozchlapując wody. W jednej chwili siedzi z powrotem w łodzi.

Znam już ten smutek, który spada ciężarem na moje barki. Jest jak stary kompan. Parę minut później postać Edmunda i łódź zanurzają się we mgle. Zniknęła kolejna osoba, jakby nigdy nie było jej na świecie.

Rozdział 29

- Jak myślisz, gdzie jesteśmy? - pytam Dimitriego.

Siedzimy na wydnie i wpatrujemy się w otaczającą nas szarość. Dimitri bacznie rozgląda się wokoło, jakby przypuszczał, że ustali nasze położenie na podstawie gęstości mgły, która podchodzi do nas ze wszystkich stron.

- Myślę, że pewnie gdzieś we Francji. Podróż łodzią była zbyt długa jak na rejs do Anglii, ale do końca nie mam pewności.

Zastanawiam się nad tym, co powiedział, starając się domyślić, gdzie we Francji mogą być ukryte brakujące strony. Bez skutku. Nie mam pojęcia, jakie to miejsce, więc zajmuję się bardziej palącymi problemami.

- Co zrobimy, jak przewodnik nie przyjdzie?

Staram się nie lamentować, ale jestem już zmęczona, zziębnięta i głodna. Mamy wprawdzie trochę zapasów, które zapakowano nam na Altus, ale oboje nie jesteśmy zbyt skłonni zużywać ich bez wyraźnej potrzeby. Rozsądniej jest zachować prowiant jak najdłużej.

Siedzący obok mnie na piasku Dimitri odpowiada:

- Jestem przekonany, że przewodnik wkrótce tu dotrze.

Jego bezgraniczna wiara i przekonanie o prawdziwości tego stwierdzenia nappełniają mnie pewną otuchą, ale ślepa ufność nie leży w mojej naturze.

- Skąd wiesz?

- Bo Lady Abigail powiedziała, że przewodnik nas znajdzie, a choć nie mogła dać gwarancji, że nasza wyprawa się powiedzie, postarała się zapewnić nam najbardziej zaufanych ludzi do wykonania tego ważnego zadania. Poza tym wiedziała, że chodzi o bezpieczeństwo wnuczki jej siostry i przyszłej władczyni Altus.

- Jeszcze nie powiedziałam, że przyjmuję to stanowisko - przypominam mu.

- Pamiętam - potwierdza.

Zastanawiam się, czy w ogóle warto kwestionować brzmiące w jego głosie zadowolenie z siebie, kiedy gdzieś przed nami, we mgle, rozlega się niskie dudnienie. Dimitri także słyszy ten dźwięk, kieruje głowę w stronę, skąd dochodzi odgłos. Kładzie palec na ustach.

Rozumiem, że mam być cicho, nasłuchuję więc razem z nim, wpatrując się w mgłę. W końcu zaczyna się z niej wyłaniać jakiś kształt. Jest ogromny, potworny, ma kilka głów. Tak

mi się przynajmniej wydaje, dopóki nie podjedzie bliżej, przebijając się przez mgłę. Wtedy widzę, że to mężczyzna na koniu, prowadzący ze sobą dwa inne wierzchowce.

- Dzień dobry - głos mężczyzny jest silny i pewny. - Przybywam z polecenia pani wyspy Altus, niech sprzyja jej szczęście i pokój.

Dimitri wstaje z piasku i ostrożnie zbliża się do jeźdźca.

- Jak masz na imię?

- Jestem Gareth z Altus.

- Na wyspie nigdy o tobie nie słyszałem - mówi Dimitri podejrzliwym, jak dla mnie, tonem.

- Już od wielu lat nie mieszkam na Altus - wyjaśnia mężczyzna. - Ale to nadal mój dom. Wszyscy tak myślimy, to wpływ tego miejsca, prawda? Tak czy inaczej, wielu z nas służy Siostron, a najlepiej to robić dyskretnie. Z pewnością wiesz, o czym mówię.

Dimitri najwyraźniej zastanawia się przez chwilę, potem kiwa głową. Następnie przyzywa mnie skinieniem, więc gramolę się z piasku, chcąc lepiej się przyjrzeć naszemu przewodnikowi.

Nie wiem dlaczego, spodziewałam się, że będzie ciemnowłosy - tymczasem ze zdumieniem zauważam, że jego włosy są jasne. Nie złote, jak u Soni, ale w odcieniu nieco tylko ciemniejszym od bieli. Kontrastuje z nimi nienaturalnie mocno opalona skóra, jakby zbyt długo przebywał na słońcu. Domyślam się, że w tym miejscu raczej nie mieszka, bo tutaj nie miałby szans się opalić.

Wykonuje lekki ukłon głową w moją stronę.

- O, pani! Złożyłbym ci bardziej uroczysty pokłon, gdybym nie siedział na grzbiecie tego czworonoga.

Śmieję się, ubawiona jego bezceremonialnością poczuciem humoru.

- Jasne. Poza tym jeszcze nie jestem panią Altus.

Gareth unosi brwi.

- Naprawdę? Znosi się więc na ciekawą rozmowę podczas podróży. - Przyciąga bliżej prowadzone przez siebie konie. Prawie piszczę z radości, widząc Sargenta i rumaka, na którym podróżował Dimitri w drodze na Altus.

Pędzę, żeby pogłaskać Sargenta po jego gładkiej szyi. Dotyka chrapami moich włosów i wydaje z siebie znane mi odgłosy świadczące o tym, że jest zadowolony.

- Skąd je wzięłeś? Myślałam, że nie zobaczę Sargenta, dopóki nie wrócę do Londynu.

Gareth pochyla się ku mnie, siedząc w siodle.

- Dżentelmen nigdy nie zdradza sekretów, moja pani. - Prostuje się i uśmiecha. - Usiłuję

być dowcipny, żeby odwrócić uwagę od swojej niewiedzy. Naprawdę nie mam pojęcia, skąd te konie się tu wzięły. Do tej pory w ogóle nie zdawałem sobie sprawy, że należą do was. Czekają na mnie tam, gdzie powiedziano mi, że będą.

Dimitri podchodzi do swojego wierzchowca.

- Jedziemy? Jestem niespokojny w tej mgle. Wolałbym wydostać się na otwartą przestrzeń.

- Rozumiem - odpowiada Gareth. - Ruszamy. Wsiądźcie na konie, zaczynamy jazdę. Przed zmrokiem musimy dotrzeć do miejsca pierwszego postoju.

- Gdzie będzie ten postój? - pytam, wkładając nogę w strzemień i podciągając się na grzbiet Sargenta.

Gareth odwraca się i woła:

- Nad rzeką!

- Nad rzeką? - upewniam się. - Dziękuję za szczegółowe informacje.

Za Garethem odjeżdżamy z plaży i wspinamy się na stromą wydmnę. Moje obawy, że Sargent nie poradzi sobie w takim nieznanym terenie, okazują się nieuzasadnione. Niesie mnie, jakby urodził się nad morzem, i po chwili znajdujemy się na łące, wśród wysokich traw. Przed nami ciągną się równiny, od czasu do czasu urozmaicone niewielkimi wzgórzami. Cieszę się, bo jak okiem sięgnąć, nie widać żadnego lasu.

W miarę jak oddalamy się od plaży, mgła rzednie. W końcu - to prawdziwy cud! - nad naszymi głowami pojawia się błękitne niebo. Trudno uwierzyć, że cały czas takie było, nawet gdy przebywaliśmy na morzu i nad brzegiem, tyle że zakryte grubą warstwą oparu. Kiedy słońce rzuca swoje złote światło na żółtą trawę, natychmiast poprawia mi się nastrój.

W porównaniu z drogą na wyspę prowadzącą przez osaczający nas las, to prawdziwy luksus mieć wokół tyle otwartej przestrzeni. Da się, na przykład, jechać obok siebie, dzięki czemu łatwiej nam rozmawiać.

- Skoro nie jesteś władczynią Altus, kto nią został po śmierci Lady Abigail? - pyta Gareth.

- To długa historia - wykręcam się, bo nie jestem pewna, jak dużo można mu powiedzieć.

- Tak się składa, że mam czas - uśmiecha się. - Mogę również powiedzieć, że dla Altus byłoby wielkim szczęściem mieć tak piękną przywódczynię.

- Nie jestem przekonany, czy panna Milthorpe chciałaby rozmawiać o tak osobistych sprawach - wtrąca się Dimitri. W jego głosie słychać nutkę zazdrości, dlatego z trudem tłumię chichot. Powiedział: *panna Milthorpe?*

Patrzę na niego.

- Czy wolno o tym rozmawiać, czy to zabronione?

Na twarzy Dimitriego zaskoczenie rywalizuje z wrogością.

- Temat jako taki nie jest zakazany. To żadna tajemnica, że możesz odziedziczyć tytuł władczyni Altus. Myślałem tylko, że może nie życzysz sobie rozmawiać o prywatnych sprawach z nieznaną osobą.

Pohamowuję wesołość - Dimitri dąsa się jak chłopczyk!

- Skoro to nie tajemnica, to nie może być bardzo prywatną sprawą. Poza tym wygląda na to, że mamy przed sobą długą podróż. Droga szybciej nam minie na rozmowie, nie sądzisz?

- Faktycznie - odpowiada naburmuszonym tonem.

Kiedy odwracam się do Garetha, nawet nie próbuje ukryć triumfalnego uśmiechu, jaki zagościł na jego opalanej twarzy.

Usiłuję przedstawić mu jak najbardziej ogólne wyjaśnienie.

- Zadanie, które mamy wykonać - wskazuję ręką na rozciągające się dookoła pola - ma pierwszeństwo przed obowiązkami pani wyspy. Nie mogę przyjąć stanowiska, zanim nie wywiążę się z zadania, dlatego pozwolono mi dokończyć przedsięwzięcie przed podjęciem ostatecznej decyzji.

- Chcesz powiedzieć, że mogłabyś nie przyjąć tej funkcji? - w głosie Garetha słychać niedowierzanie.

- Ona chce powiedzieć... - wtrąca się Dimitri, ale przerywam mu, nim dokończy.

- Przepraszam, Dimitri - staram się przemawiać łagodnym tonem. - Czy mogłabym mówić za siebie? - Skarcony Dimitri milknie, a ja powracam do pytania Garetha. - Chodzi mi o to, że nie powinnam nawet rozważać objęcia władzy, zanim nie dokończę tego, co trzeba zrobić.

- To oznaczałoby jednak, że władczynią zostanie Siostra Ursula, prawda?

- Prawda. - Zastanawiam się, co przeciętny Brat czy Siostra mogą wiedzieć o polityce prowadzonej na Altus.

- Jeżeli Ursula dojdzie do władzy, ja nigdy nie powrócę na wyspę! - Widać, że Gareth ma ochotę splunąć, tak wielka jest jego pogarda.

- A mogę spytać, dlaczego masz taką opinię na temat Ursuli?

Gareth patrzy na Dimitriego i po raz pierwszy wyczuwam między nimi pewną nić porozumienia. Potem odpowiada:

- Ursula i ta jej zaborcza córka...

- Astrid? - pytam.

- Ursula i Astrid - potwierdza Gareth. - Im w ogóle nie zależy na dobru wyspy. Lubią

mieć władzę i rządzić. Nie ufałbym im ani przez moment, ty też nie powinnaś. - Z poważną twarzą Gareth patrzy daleko na pola. Kiedy ponownie napotyka mój wzrok, po dobrym humorze nie ma nawet śladu. - Uważam, że oddałabyś wielką przysługę wyspie i jej mieszkańcom, gdybyś została władczynią.

Pod jego uważnym spojrzeniem policzki mi płoną. Jadący obok Dimitri wzdycha, rozdrażniony.

- Twoje słowa, Gareth, to dla mnie wielki komplement. Ale przecież wcale mnie nie znasz. Skąd wiesz, że byłabym mądrą przywódczynią?

- Masz to w oczach, moja pani - odpowiada z uśmiechem Gareth, dotykając skroni. - Są czyste jak morze okalające Altus.

Odpowiadam uśmiechem, ale domyślam się, że Dimitri robi zdegustowaną minę.

Pola ciągną się przed nami bez końca. W ciągu dnia mijamy bowiem łąki i wjeżdżamy między łany pszenicy. Zatrzymujemy się tylko raz, przy strumieniu szmerzącym po szarym, kamienistym dnie. Pijemy chłodną wodę, napełniamy manierki i pilnujemy, aby konie także były dobrze napojone. Na chwilę wyciągam się na trawie nad brzegiem i zamykam oczy, wzdychając z przyjemnością, gdy słońce ogrzewa mi twarz.

- Przyjemnie posiedzieć w słońcu, prawda? - odzywa się obok głos Dimitriego.

Otwieram oczy i osłaniam je dłonią od światła, uśmiechając się do niego.

- Przyjemnie to mało powiedziane.

Dimitri przytakuje i zamyśla się, patrząc na płynący strumyk. Siadam, nachylam się i całuję go prosto w usta. Kiedy odsuwam się, jest zadowolony, chociaż trochę zdziwiony.

- Za co to dostałem?

- To tylko przypomnienie, że moje uczucia do ciebie są zbyt mocne, żeby zgasły podczas tak krótkiego czasu, jaki minął od wyjazdu z Altus - trochę się z nim przekomarzam. - Za mocne, żeby zniknęły na widok jakiegoś przystojnego mężczyzny, nawet bardzo czarującego i życzliwego.

Przez chwilę zastanawiam się, czy nie zraniłam jego dumy, ale wkrótce twarz Dimitriego rozjaśnia się w szerokim uśmiechu. Potem uśmiech nagle znika.

- Więc uważasz, że Gareth jest przystojny?

Kręcę głową z udawaną przyganą. Całuję Dimitriego jeszcze raz, a potem wstaję i otrzepuję bryczesy.

- Panie Markov, jaki pan nierozsądny.

Idę w stronę koni, gdy jeszcze dolatuje mnie głos Dimitriego:

- Nie odpowiedziałas mi, Lia!

Gareth siedzi już w siodle, a ja, nim wsiądę na grzbiet, starannie sprawdzam wędzidło.

- To było bardzo piękne miejsce na postój. Dziękuję, Gareth.

- Proszę bardzo - Gareth przygląda się Dimitriemu idącemu w stronę swojego wierzchowca. - Pewnie jesteś zmęczona. Podobno przebyłaś długą drogę.

- Bardzo się cieszę, że nie musimy jechać lasem - wyjaśniam. - Straszna była podróż przez ciemną, gęstą puszcę, żeby się dostać na wyspę.

Gareth sprawdza, czy Dimitri już wsiadł i jest gotów do drogi. Ponieważ wszystko jest w porządku, zawraca konia.

- Nie martw się. Od tej pory powinniście jechać przez otwartą przestrzeń.

Ruszamy, chociaż po raz kolejny cel mojej podróży pozostaje ściśle skrywaną tajemnicą.

* * *

Reszta dnia upływa nam w miłej komitywie. Podczas krótkiego popasu nad strumieniem Dimitri najwyraźniej odzyskał pewność siebie, jest teraz znacznie bardziej uprzejmy dla Garetha. Jedziemy przez łąki i pola, niektóre obsiane zbożem, inne różnorodnymi plonami.

Słońce wędruje po niebie, a kiedy docieramy do następnego strumienia, przedmioty zaczynają rzucać długie cienie. Ten strumień jest większy niż poprzedni, wije się pomiędzy zielonymi wzgórzami, na jednym jego brzegu rośnie zagajnik. Gareth ściąga wodze, zatrzymując konia, i zeskakuje na ziemię.

- W sam raz na czas - mówi. - Tu rozbijemy obóz na noc.

Znajdujemy prowiant w sakwach przytroczonych do koni i zabieramy się za urządzenie obozowiska. Gareth rozpala ognisko, a potem razem z Dimitrim ustawia namioty; ja natomiast szykuję skromną kolację.

Wcale nie jest dziwnie mieszkać z Garethem w jednym obozie. Wydaje się, że jest naszym dobrym kolegą. Obaj z Dimitrim urozmaicają mi czas opowieściami o swoich wspólnych znajomych z Altus. Rozluźnieni, bawią się coraz lepiej, więc wystarczy; że ja dołączam się ze śmiechem w odpowiednich miejscach.

Kiedy Gareth wreszcie wstaje, ziewając, ogień ledwie się tli.

- Trzeba iść spać, skoro mamy jutro rano wczesnie wstać. A musimy. - Kiwa głową w naszą stronę. Nawet w bladym świetle ogniska dostrzegam w jego oczach porozumiewawcze błyski. - Zostawiam was, żebyście mogli spokojnie powiedzieć sobie dobranoc.

Idzie do jednego z namiotów, zostawiając nas samych pośród chłodnej nocy. Dimitri śmieje się znacząco niskim głosem. Wyciąga rękę, pomaga mi wstać i przyciąga do siebie.

- Przypomnij mi później, żebym podziękował Garethowi.

Nie muszę pytać, skąd ta chęć składania podziękowań. Dimitri szuka ustami moich ust, czule, lecz uparcie, więc rozchyłam je i pozwalam, żeby cały świat zniknął. W ramionach Dimitriego znajduję spokój, którego brakuje mi wtedy; gdy myślę racjonalnie. Pozwalam sobie na ten moment zapomnienia, chcę czuć jego ciało przy swoim i delikatność jego pocałunków.

Rozdzielamy się dopiero z inicjatywy Dimitriego.

- Lia, odprowadzę cię do twojego namiotu. - Pociera mój policzek swoim, a ja dziwię się, jak to możliwe, że krótki zarost może być i kłujący; i zmysłowy.

- Możesz zostać u mnie? - Nie wstydzę się o to spytać. Teraz już nie.

- Tego bym chciał najbardziej, ale nie położę się spać w nieznannej okolicy. - Podnosi głowę i patrzy w ciemność rozciągającą się poza kręgiem ogniska. - Przecież dopiero szukamy zaginionych stron. Uważam, że będzie rozsądniej, jeżeli posiedzę na straży przed twoim namiotem.

- Nie możesz poprosić Garetha? - Poczynam sobie bardzo śmiało, ale nie dbam o to.

Dimitri patrzy mi w oczy; a potem całuje mnie w usta, tym razem mocno.

- Twojego bezpieczeństwa nie powierzę nikomu - uśmiecha się. - Mamy mnóstwo czasu. Całą przyszłość, tyle nocy, ile zechcesz. A teraz pora położyć cię spać.

Tej nocy, choć bezpieczna przy cieniu Dimitriego odbijającym się na ścianie namiotu, nie mogę jednak zasnąć. Jego słowa wciąż powracają do mnie echem, bo wiem, że się myli.

Nie mamy tyle czasu, ile zechcemy. Mamy tylko tyle, ile da nam prorocstwo. Tylko tyle, ile zagarniemy. To czas między dziś a tym dniem, kiedy trzeba będzie pogodzić przeszłość spędzoną z Jamesem i przyszłość obiecaną Dimitriemu.

* * *

Nasz obóz jest niewielki, łatwo więc go zwinąć. W jednej chwili siedzimy na koniach i znowu pędzimy przez pola.

Po mgle, jaka nas opadła przy dobieganiu do plaży, słońce jest prawdziwym błogosławieństwem. Zamykam oczy na długie momenty, wystawiając twarz w kierunku promieni i pozwalając, by ich ciepło wnikało w moją skórę. Czuję przy sobie obecność osób, które wcześniej były uwikłane w prorocstwo. Tworzymy jedność, choć nie zamieszkujemy jednego świata. Ta świadomość nappełnia mnie spokojem. Po raz pierwszy od wielu dni jestem pogodzona ze swoim przeznaczeniem, bez względu na to, jakie się okaże.

Podczas jednej z takich chwil zauważam, że otacza mnie całkowita cisza. Nie słychać tętentu kopyt ani odgłosów przeżuwania. Żadnej pogawędki Garetha i Dimitriego. Kiedy

otwieram oczy, okazuje się, że znajdujemy się w maleńkim zagajniku, do którego z łatwością wnika słońce.

Dimitri i Gareth zatrzymali już swoje konie, ale nie zsiadli. Ja także ściagam wodze Sargentowi.

- Dlaczego się zatrzymujemy? - pytam.

Gareth omiata spojrzeniem otaczające nas pola i zagajnik.

- Obawiam się, że tu musimy się rozstać. Szkoda, że na spotkanie z waszym następnym przewodnikiem nie wybrano jakiegoś bardziej zacisznego miejsca. - Wzrusza ramionami. - Ale ponieważ nie ma tu lasu, pewnie tylko tyle dało się zrobić.

Staram się ukryć swoje rozczarowanie, bo przyzwyczaiałam się do Garetha i ufałam mu.

- Kiedy przyjedzie ten następny przewodnik? - dociekam.

- Zapewne niedługo, ale nie wiem tego na pewno. Przy tego typu zadaniach nie znamy nawzajem ani swoich personaliów, ani godzin spotkań. - Gareth szuka czegoś w swoim bagażu, po czym rzuca nam na ziemię dwie dodatkowe torby. - Do przybycia przewodnika pozostaniecie tutaj. W tych torbach jest dość jedzenia, wystarczy nawet na parę dni.

- Czy jeszcze kiedyś się zobaczymy? - Tym razem z pewnością nie udało mi się ukryć rozczarowania.

- Kto wie? - Gareth szeroko się uśmiecha.

- Gareth - odzywa się Dimitri - dziękujemy.

- Nie ma za co, Dimitri.

Nasz dotychczasowy przewodnik podjeżdża do mnie i wyciąga rękę, Ja wyciągam swoją.

- Obojętne, czy zostaniesz panią Altus, czy nie, dla mnie zawsze będziesz jej prawowitą władczynią. - Schyla się, żeby pocałować moją dłoń, po czym zawraca konia i puszcza się galopem.

Po odjeździe Garetha przez chwilę stoimy w ciszy. Wszystko wydarzyło się tak szybko, że żadne z nas nie wie dokładnie, co robić. Wreszcie Dimitri zsiada z konia i odprowadza go pod drzewo, a potem wraca po mojego.

Stawiamy namiot i przyrządzamy kolację z rozmaitych rzeczy do jedzenia znalezionych w torbach. Kiedy zapada zmrok, zdajemy sobie sprawę, że dzisiaj nasz nowy przewodnik już nie przyjedzie. Dimitri znowu staje na straży przed namiotem, a ja, zmarznięta, kulę się pod kocami i jakoś staram się przetrwać tę noc w niepokoju i niewygodzie.

Kilkakrotnie wydaje mi się, że pomiędzy drzewami otaczającymi obozowisko słyszę jakiś szmer i odgłosy kroków na ubitej ziemi. Dimitri najwidoczniej też je słyszy, bo wstaje i chodzi dookoła namiotu, na którego ścianach pojawiają się wtedy niesamowite cienie. Wołam

go parę razy, pytając, czy wszystko w porządku, ale on surowym tonem nakazuje, żebym poszła spać i pozwoliła mu spokojnie pilnować obozu. Napomniana, postanawiam więcej mu nie przeszkadzać.

Leżę w ciemności, cała spięta. Dopiero po dłuższej chwili ogarnia mnie mrok snu.

Rozdział 30

Nasz nowy przewodnik w niczym nie przypomina Garetha.

Pierwsze, co przyciąga moją uwagę, to jego płomiennie rude włosy. Kiedy odwraca się do mnie, żeby się przywitać, słońce zmienia je w rdzawozłoty snop światła.

- Dzień dobry - Dimitri kłania się, ale nie podaje swojego imienia.

- Jestem waszym przewodnikiem, mam na imię Emrys. - Jest chyba dużo starszy niż Gareth, choć nie tak wiekowy jak Edmund.

- Dzień dobry. Jestem Lia Milthorpe. - Wyciągam dłoń, a Emrys wita się krótkim uściskiem, po czym znowu wkłada obie ręce do kieszeni.

Spodziewam się, że będzie chciał nawiązać rozmowę i poznać nas, nim ruszymy, ale nic takiego nie następuje. Emrys odwraca się i idzie po swojego konia, kasztanek, którą przywiązał obok Sargenta i wierzchowca Dimitriego.

- Musimy jechać - mówi, odwiązuje ją. - Przed nami cały dzień drogi.

Patrzę na Dimitriego, który unosi pytająco brwi, a potem wzrusza ramionami i idzie w stronę namiotu. Razem pakujemy rzeczy, zwinięty namiot wkładając byle jak do bagażu Dimitriego, zaś koce do moich sakw. Tymczasem Emrys przez cały czas siedzi na koniu i nawet nie pyta, czy pomóc. Rzucam mu tylko jedno spojrzenie - spogląda na zagajnik. Dopiero się poznaliśmy i rzeczywiście trudno nie myśleć o nim jak o kimś obcym.

Kiedy obozowisko jest już uprzątnięte, a w zagajniku nie ma ani śladu naszej obecności, Dimitri podchodzi do swojego wierzchowca, poprawia siodło i wsadza nogę w strzemię. Szybko sprawdzam uprzęż Sargenta i robię to samo.

Emrys kiwa głową i spina konia ostrogą. Tak zaczyna się nasz dzień, bez fanfar i nawet bez pogawędki.

* * *

Nie wiem, czy to dlatego, że zbliżamy się do zaginionych stron, czy to tylko moje urojenia, ale przez cały czas mam dziwne, niedobre przeczucie. Nie umiem go wyjaśnić ani rzucić na Emrysa, który - choć nie tak rozmowny jak Gareth - nie jest przecież nieuprzejmy.

Przedostajemy się na drugą stronę dość wysokiego wzgórza i dostrzegamy miasto, skulone w kotlinie jak w gnieździe. W oddali widać piękne, niebosiężne wieże. Już tak dawno

nie widziałam żadnego miasta, że czuję nagle pragnienie, by tam pojechać, przespać się w gospodzie na miękkim łóżku, zjeść ciepły posiłek przygotowany przez kogoś, a nie samodzielnie, pospacerować po ulicach, kupić coś w jakimś sympatycznym sklepiku albo wypić herbatę w zacisznej hotelowej kawiarni.

Niestety, nie zmierzamy do miasta. Przez chwilę Emrys zastanawia się, jakby miał kilka możliwości, po czym skręca w lewo. Przejeżdżamy przez pole pszenicy, ozdobione aureolą złocistej poświaty, i zmierzamy w stronę ciemnej kreski na horyzoncie. Zbliżając się do niej, zdaję sobie sprawę, że to dom z kamienia, zbudowany na skraju lasu. Za domem i za stodołą rosną potężne, wiekowe drzewa, prawie sięgające nieba.

Jedziemy w kierunku farmy, a ja zastanawiam się, czy będzie to tylko miejsce na krótki postój, czy przystanek w podróży, gdzie dostaniemy następnego przewodnika. Okazuje się jednak, że żadna z tych możliwości nie wchodzi w grę - mijamy dom, a przy nim małego chłopca karmiącego drepczące w kółko kury, które zbierają ziarno u jego stóp. Chłopiec przygląda się nam z zainteresowaniem.

- *Bonjour, mademoiselle* - uśmiecha się lekko, kiedy nasze spojrzenia spotykają się.

Francja, myślę, odwzajemniając uśmiech.

- *Bonjour, petit homme*.

Teraz malec śmieje się od ucha do ucha, więc cieszę się, że umiem, chociaż słabo, mówić po francusku.

Zaraz za domem wjeżdżamy w cień, w las, gdzie prawie nie dociera słońce. Na szczęście drzewa nie rosną tu tak gęsto jak w borze, który przemierzaliśmy w drodze na Altus. Resztki światła płaczą się pomiędzy pniami, rysując na ściółce delikatną mozaikę ciemniejszych i jaśniejszych plam. Jest tu pięknie, lecz mimo wszystko wystraszone serce ciąży mi w piersi. Zbyt wiele rzeczy przypomina mi o poprzedniej trudnej podróży, o tych paru dniach, kiedy cały świat zamarł w bezruchu, a ja straciłam poczucie czasu i świadomość samej siebie.

Mijamy tylko jeden charakterystyczny punkt - porośnięty mchem kamienny słup, który niespodziewanie wyrasta z ziemi w środku gęstwiny. Podobne kamienne pomniki i święte miejsca często napotyka się w Europie, nie jestem więc zbyt zdziwiona. Ten na dodatek przypomina mi o Avebury i pradawnym kamiennym kręgu wspomnianym w proroctwie.

Przyglądam się słupowi, przejeżdżając obok. Emrys jak zwykle milczy i nie okazuje żadnego zainteresowania, Dimitri też trwa przy moim boku bez słowa. Postanawiam nie przerywać ciszy i nie pytam o słup.

Nieco później Emrys zwalnia i patrzy na nas przez ramię.

- Przed nami woda. Dobre miejsce na popas. - To najdłuższa jego wypowiedź od

porannego wyjazdu.

- Przydałaby się nam przerwa - przytakuję. Dodaję jeszcze uśmiech. Emrys być może chce go odwzajemnić, ale wygląda, jakby sprawiało mu to ból.

W przeciwieństwie do większości miejsc, jakie dotychczas wybieraliśmy na postój, to nie znajduje się na polanie, lecz jest na wpół ukryte w lesie. Strumień jest nieduży, wije się między drzewami, nie pędzi ani nie huczy, tylko wesoło pluska. Zsiadamy z koni, pijemy i napełniamy manierki.

Jestem zaskoczona, kiedy Emrys, patrząc mi w oczy, składa bezpośrednią propozycję:

- Mogę zająć się końmi, podczas gdy panienka odpocznie. Z tego co wiem, wcześniejszy etap podróży był długi. My na pewno dojedziemy na miejsce przed zmrokiem. Mamy czas na przerwę.

- Och... dziękuję! Sama mogę zająć się koniem. Nie chciałabym dodawać ci obowiązków.

- Nie mówię mu, że marzę o odpoczynku, choćby krótkim.

Dimitri, też zaskoczony, zgadza się jednak z naszym przewodnikiem.

- Emrys ma rację, Lia. Wyglądasz na zmęczoną. Poradzimy sobie z końmi.

Na samą myśl o odpoczynku resztką energii odpływa z mojego ciała, jakby wsiąkała w ziemię pod stopami.

- Skoro jesteście pewni, że tak będzie dobrze...

Dimitri pochyla się i całuje mnie w policzek.

- Będzie dobrze. Zamknij na chwilę oczy. My napoimy konie.

Znajduję nasłonecznione miejsce nad strumieniem i kładę się na suchej trawie. A kiedy już leżę, niespokojna noc daje o sobie znać i wkrótce kołysanka śpiewana przez rzeczkę usypia mnie.

Nie czuję zupełnie nic, dopóki nie budzi mnie ze snu dotyk ręki Dimitriego. Gładzi delikatnie mój nadgarstek. Uśmiecham się, chciałabym opóźnić moment, kiedy znowu będziemy musieli wsiąść na konie.

- Tak mnie nie przekonasz, żebym wstała - mówię głosem rozleniwionym od snu.

On tymczasem unosi moją dłoń, wyczuwam, że po tej wewnętrznej, delikatnej stronie nadgarstka przesuwa się coś miękkiego.

- Nie słuchasz, co mówię - drażnię się z nim.

Odpowiadający mi głos jest cichy; jakby z obawy; że ktoś nas podsłucha.

- Wszystko będzie proste, jeśli tylko zrobisz, co ci każą.

Ten głos nie należy do Dimitriego.

Otwieram oczy i staram się wyrwać dłoń. Widzę kłęczącego Em rysa, który trzyma coś w

ręce. Coś z czarną aksamitką. Medalion!

- Co ty... Co ty robisz?! Oddaj mi to! To nie twoje!

Patrzę na prawy nadgarstek, żeby się upewnić - tak, medalion został odwiązany; kiedy spałam! Rozglądam się za Dimitrim, jednocześnie starając się nie spuszczać oczu z Emrysa. Na brzegu; za jego plecami, nikogo nie ma.

- Nie chcę wyrządzić ci krzywdy. Robię tylko to, co mi nakazano. - Emrys w ogóle się nie waha, a ja zaczynam czuć wielki strach, bo widzę, że nie obawia się interwencji Dimitriego.

Zastanawiam się, co mu zrobił.

Czołgam się tyłem po ubitej ziemi, aż do najbliższego drzewa, o które mogę się oprzeć. Pień jest solidny; ale ja nie czuję się bezpieczna. Nie mam dokąd uciekać.

- Proszę, zostaw mnie w spokoju - mówię słabym głosem, słabszym niżbym chciała. Jestem jednak zbyt wystraszona, żeby to sobie wyrzucać.

Jest tylko jedna taka chwila, kiedy mam ochotę przeklinać samą siebie - wtedy; gdy przypominam sobie słowa Garetha: *Od tej pory powinniście jechać przez otwartą przestrzeń.* Przecież nie jesteśmy na otwartej przestrzeni. Przez większość dnia jechaliśmy lasem i teraz też pozostajemy pod osłoną jego wiekowych drzew.

Powinniśmy byli się domyślić.

Emrys wstaje i podchodzi do mnie zdecydowanym krokiem. Tym razem nie mówi już nic. Łapie mnie za lewy nadgarstek naprawdę mocno. Leżąc na mnie, przyciska mnie do ziemi i stara się przyłożyć medalion do znamienia. Wyrywam się z całej siły; chcę cofnąć rękę. Ale on jest silniejszy, mimo że kopię i szamoczę się. Zaciska swoją dłoń na moim przegubie. Czuję suche dotknięcie aksamitki, a potem dotknięcie medalionu, chłodne i przerażająco kojące, jak morze, w którym o mało nie utonąłam. Łapska Emrysa nie radzą sobie z zapięciem, ale potem klamerka zatrzaskuje się - dokładnie w momencie, w którym za jego plecami pojawia się ktoś, kto rzuca się na niego z nieprzejednaną zaciętością.

Prawie nie poznaję Dimitriego - w jego oczach jest wściekłość, z czoła sączy się krew. Wiem jednak, że to on odciąga Emrysa ode mnie i wali nim o ziemię. Zresztą nie mam nawet czasu poczuć zaskoczenia, kiedy Dimitri bije Emrysa w takim gniewie, jakiego nigdy nie widziałam u człowieka.

Jestem zajęta ściąganiem medalionu z nadgarstka.

Dopiero po chwili udaje mi się go zerwać. Jestem w tak wielkim szoku, że cała się trzęsę, upuszczając medalion na ziemię. Jednak nie martwię się, że zginie. Jest mój. Wyłącznie mój. Znajdzie do mnie drogę, gdziekolwiek będę.

Zostawiam go więc tam, gdzie upadł, i pędzę do Dimitriego, który kopie Emrysa leżącego bezwładnie na trawie, jęczącego, trzymającego się za brzuch. Szarpię Dimitriego za ramiona.

- Przestań! Dostyc! - krzyczę. - Dimitri! Nie ma na to czasu!

Oddycha bardzo szybko, pierś i plecy falują mu z wysiłku. Odwraca się do mnie, a w oczach ma dzikość i furię. Patrzy tak, jakby mnie nie znał. Przez minutę czuję paniczny strach, czy całkiem nie postradał zmysłów, czy nie zapomniał, kim jestem. Ale po chwili Dimitri przyciąga mnie do siebie, przytula mocno i zanurza twarz w moich włosach.

Nareszcie oddech mu się uspokaja, więc odsuwam się i oglądam ranę na czole, z której nadal sączy się krew. Wyciągam rękę, żeby dotknąć skaleczenia, ale zaraz cofam ją, bo nie chcę sprawić mu bólu.

- Co się stało? - pytam.

Dimitri unosi dłoń do skroni, ściera krew i patrzy na nią, jakby nie rozumiał, że to on jest ranny.

- Nie wiem. Przypuszczam, że czymś mnie uderzył. Byłem przy strumieniu, a potem nic nie pamiętam, aż do chwili kiedy się ocknąłem, bo usłyszałem twój krzyk. Przybiegłem tak szybko, jak się dało.

Nie mam czasu, by odpowiedzieć, gdyż nagle naszą uwagę zwraca szelest liści. Patrzymy w kierunku, skąd dochodzi dźwięk, i dostrzegamy Emrysa, który podnosi się z ziemi i zmierza w stronę koni. Jak na człowieka, który został tak mocno pobity, porusza się dosyć szybko. Wsiada na siodło i puszcza się pędem w las - bez słowa, bez oglądania się za siebie.

Nie próbujemy go zatrzymać. Nic byśmy nie zyskali, bez wątplenia nie możemy już uważać go za swojego przewodnika.

Spoglądam na Dimitriego.

- Należał do Dusz?

- Nie sądzę - zaprzecza Dimitri. - Gdyby tak było, okazałby się znacznie bardziej niebezpieczny. Prawdopodobnie przechwycił naszego prawdziwego przewodnika, a potem uczynił tak, jak kazały mu Dusze. Mógł mieć bardzo przyziemny cel. Łatwo namówić takiego chłopca, żeby sprowadził nas na manowce, oferując mu zapłatę.

Przypominam sobie słowa mężczyzny, który przedstawił się nam jako Emrys: *Robię tylko to, co mi nakazano*. Biorę głęboki oddech i rozglądam się po otaczającym nas lesie.

- Czy w ogóle mamy pojęcie, gdzie jesteśmy?

- Niestety nie - potwierdza moje obawy Dimitri. - Ale można z pewnością stwierdzić, że przez cały czas prowadził nas w złym kierunku.

Załamana, odchodzę na bok, bliżej strumienia. Podnoszę medalion i ponownie

przywiążuję go do swojej prawej ręki. Nie dopuszczam do siebie myśli, że nasza podróż mogłaby się zakończyć już tutaj; że po wszystkim, co przeszliśmy, z czym już się uporaliśmy, mielibyśmy zawrócić z powodu przewodnika o słabym charakterze, którego Dusze namówiły, by działał w ich interesie. Co gorsza, wtedy nie odnaleźlibyśmy brakujących stron, bo ciotka Abigail przecież nie żyje. Tylko ona знаła informacje na nich spisane. Tylko ona była w stanie ułożyć tak misterny plan podróży.

Ale jej już nie ma.

Dimitri staje za moimi plecami i obejmuje mnie.

- Lia, wszystko będzie dobrze. Poradzimy sobie.

Odwracam się twarzą do niego. Jestem kompletnie pozbawiona nadziei, tak bardzo, że bardziej nie można.

- Jak sobie poradzimy, Dimitri, jak? Zgubiliśmy się, jesteśmy w środku nieznanego lasu. A jakby tego było mało... - odwracam się od niego, wybuchając śmiechem. Brzmi równie gorzko, jak smakuje w gardle. - Jakby tego było mało, *nawet nie wiemy, dokąd jedziemy!* Nie wiemy nic, Dimitri. Nic nas nie poprowadzi, bo ja znam tylko jedno dziwaczne słowo. - Siadam na dużym kamieniu nad strumieniem. Moja złość wylewa się jak woda, zostaje mi tylko rozpacz.

- Jakie słowo? - pyta Dimitri.

Patrzę na niego.

- Słucham?

Podchodzi do mnie nachyla się, tak że patrzy mi prosto w oczy.

- Powiedziałaś: "Nic nas nie poprowadzi, bo ja znam tylko jedno dziwaczne słowo". Co to za słowo?

Waham się, czy wyjawić to, co na łożu śmierci zdradziła mi ciotka Abigail w prywatnej rozmowie. Wygląda jednak na to, że nie mam wyboru, bo jeśli nie mogę zaufać Dimitriemu, kto mi pozostaje? Wzdycham głęboko. - Tuż przed śmiercią ciotka Abigail poprosiła mnie, abym zapamiętała słowo, które doprowadzi mnie do utraconych stron, gdybyśmy się zgubili. Ale jakie to ma teraz znaczenie? Nie mamy przewodnika, Dimitri, a nawet gdybyśmy mieli, to słowo może być wyłącznie wytworem umysłu konającej kobiety.

Dimitri nadal patrzy mi w oczy.

- Jakie to słowo, Lia?

- Chartres - wymawiam je, chociaż nadal nie znam jego sensu, tak jak nie znałam wówczas, gdy padło z ust umierającej ciotki Abigail.

Przypominam sobie również pozostałe jej słowa: *U stóp Strażniczki. Nie Dziewicy, lecz*

Siostry. Tych wskazówek jednak nie przekazuję Dimitriemu. Jeszcze nie pora. Zdaje się, że były przeznaczone wyłącznie dla mnie. W końcu to ja mogę zostać kolejną władczynią Altus. Dlatego wypada, aby tajemnice ciotki Abigail pozostały moimi tajemnicami.

Wzrok Dimitriego odpływa gdzieś w dal, a on sam wstaje i oddala się na kilka kroków.

Ja też podnoszę się z kamienia i wołam:

- Dimitri! O co chodzi?

Odwraca się dopiero po minucie, ale w jego wyrazie twarzy jest coś, co pozwala mi mieć nadzieję.

- To słowo... *Chartres*.

- Mów dalej!

- Kiedy byliśmy mali - ciągnie Dimitri - i wychowywaliśmy się na Altus, członkowie Starszyny opowiadali nam różne historie. W ten sposób utrwalane są nasze dzieje. Kultura stworzona przez Siostry i Obserwatorów nie uznaje źródeł pisanych. Nasza przeszłość jest opowiadana i tak przekazywana z pokolenia na pokolenie.

Kiwam głową, starając się zachować cierpliwość, bo chciałabym, aby Dimitri jak najszybciej przeszedł do sedna sprawy.

- Chartres to chyba jakiś... kościół... Nie! Niedokładnie. Chartres to miasto, ale faktycznie jest w nim katedra. Ważna z punktu widzenia Sióstr. - Dimitri z gorejącymi oczami znów się do mnie zbliża. Coś sobie przypomina. - Tam jest... jaskinia. Jakaś... grota. Pod ziemią.

- Nie rozumiem, jakie to ma znaczenie.

- Ja też nie - kręci głową. - Słyszałem jeszcze, że jest tam święte źródło. W pradawnych czasach nasz lud czcił je. Nawet teraz uważa się, że pod budynkiem płynie jakaś energia, jakiś nurt...

- Dimitri... - podnoszę wzrok.

- Tak?

- Gdzie leży Chartres? - pytam, mimo że już się domyślam.

Nasze spojrzenia spotykają się, jest w nich to samo olśnienie.

- We Francji.

Staram się uporządkować znane nam informacje i jakoś je wykorzystać, ale nasza nikła nadzieja chyba nie na wiele się przyda.

- Francja to niezbyt rozległy kraj, ale stanowczo za duży, żeby przejechać wszystkie zakątki konno, bez przewodnika. Nawet jeżeli brakujące stronice ukryte są w Chartres, a nie mamy dowodu, że tak jest, być może dzieli nas od nich wiele dni podróży.

- Nie sądzę - zaprzecza Dimitri. - Bez względu na to, gdzie ukryte są strony, zboczyliśmy

z trasy tylko o jeden dzień jazdy. Zapasy jedzenia od Garetha już się kończą, dlatego uważam, że nie miała to być bardzo długa podróż. Myślę, że możemy również założyć, że przynajmniej Gareth prowadził nas w dobrym kierunku. Jeśli wrócimy do jakiegoś miejsca, gdzie jeszcze jechaliśmy razem, albo gdzie byliśmy wkrótce po rozstaniu z nim, przybliżymy się do pierwotnego szlaku.

Wszystko, co mówi Dimitri, w jakiś tajemniczy sposób układa się w doskonale sensowną całość. Nie potrafię wskazać roztropniejszego sposobu postępowania. Po raz pierwszy od wielu godzin na moje usta powraca uśmiech.

- Świetnie. A więc na co czekamy?

Rozdział 31

Wracamy tą samą trasą przez las, a ja coraz bardziej cieszę się, że Dimitri ma tak dobrą orientację w terenie. On dokładnie wie, dokąd trzeba jechać, ja natomiast tracę poczucie kierunku wkrótce po opuszczeniu miejsca, gdzie zdradził nas Emrys. Słońce świeci bezpośrednio nad naszymi głowami. Jesteśmy nadal w lesie, gdy postanawiamy zatrzymać się, żeby napoić konie.

Dimitri zsiada ze swojego wierzchowca i przywiązuje go do drzewa nad rzeką. Ten natychmiast zanurza pysk w wodzie i łapczywie pije, podczas gdy Dimitri wchodzi głębiej w las, pewnie za potrzebą. Podprowadzam Sargenta do rzeczki, wijącej się między drzewami. On pije, a ja odkręcam swoją manierkę.

Wtedy właśnie, pochylając się nad lustrem krystalicznej wody; dostrzegam je.

Na początku widzę po prostu wodę. Ale kiedy zniżam się do jej tafli, żeby napełnić manierkę, zamiast pofalowanej powierzchni mam już przed sobą stosunkowo niezamazany obraz.

Zafascynowana, przybliżam się jeszcze bardziej. Moja umiejętność odczytywania zdarzeń z lustra wody została odkryta w Londynie, wkrótce po przybyciu, ale nigdy nie przychodziło mi to łatwo. W przeszłości zawsze musiałam wkładać w to spory wysiłek, lecz nie teraz. Tym razem dość wyraźny rysunek pojawia się bez trudu. Zajmuje mi tylko chwilę, żeby zauważyć, że odbicie przedstawia nie jedną, a wiele osób. Jadą konno, pędem przez las, a w tle słychać ciężki tętent kopyt - choć może w rzeczywistości nie słyszę go, lecz bardziej domyślam się na podstawie obrazu.

Staram się dostrzec coś więcej, bo postaci powiększają się. Przemieszczają się leśną drogą na białych rumakach. Wkrótce wiem już, kto to jest. Nie wyglądają tak, jak na Równinie. Tam Dusze mają brody i długie włosy spływające na plecy jak potargany jedwab. Chodzą w łachmanach i uzbrojone są w płomiennie czerwone miecze. Lecz żeby przeniknąć do materialnego świata, muszą przybrać jakiś namacalny kształt.

Obraz w wodzie ukazuje mi mężczyzn, jakich mogłabym spotkać na londyńskiej ulicy, gdyby nie to szczególne dzikie spojrzenie, które rozpoznam w każdym ze światów. Mają na sobie spodnie i kaftany. Kulą się na koniach, nie siedzą wyprostowani w siodle, ze wzniesionymi mieczami. Ale ja wiem, kim są.

Nie potrafię określić ich liczby. Jadą nieprzeliczoną cizbą, dokładnie wiedząc, po co. Rozmiary i intencje tej hordy przerażają mnie, ale największy strach wzbudza we mnie mężczyzna na samym przodzie - krew prawie zamarza mi w żyłach.

Jest jasnowłosy i piękny - i widać, że agresja to dla niego zwykły stan. Jego twarz nie jest maską chwilowej emocji. Jeźdźcy za jego plecami najwyraźniej się spieszą, co pokazuje nawet pomarszczone lustro wody. On natomiast z chłodną determinacją posuwa się naprzód, absolutnie pewien sukcesu. Zdaję sobie sprawę, w jak poważnych opałach znaleźliśmy się z Dimitrim, kiedy na szyi przywódcy zauważam znak węża, widoczny dzięki rozpiętemu kołnierzowi.

To Straż Samaela. Samael wysłał ich, żeby nie dopuścili do znalezienia stron.

Albo odebrali je nam, gdybyśmy je posiadli.

Nie wiem, jak daleko się znajdują, ale pewne jest, że nadciągają. Chcą mnie dopaść.

Tylko jedno mogę zrobić - wstaję znad wody i biegnę.

- Dimitri! Dimitri! - krzyczę, rozglądając się za nim nad brzegiem. - Musimy jechać! Już!

Dimitri pojawia się trochę dalej w dole rzeki, ma zatroskaną twarz.

- O co chodzi? Co się stało?

- Straż. Nadjeżdżają. Nie wiem, jak daleko są ani kiedy mogą nas złapać, ale zbliżają się.

Dimitri nie podważa moich słów. Zadaje pytania, zmierzając w kierunku swojego wierzchowca.

- Ilu ich jest?

- Nie wiem. Dużo - kręcę głową.

- Na koniach? - pyta, błyskawicznie wskakując na grzbiet.

Przytakuję.

- Wsiadaj daj mi swoją pelerynę - nakazuje, odwiązuje swoją.

- Co takiego? - Polecenie jest tak niespodziewane, że nie jestem pewna, czy dobrze usłyszałam. Wsadzam jednak stopę w strzemień i sadowię się w siodle.

Dimitri wręcza mi swoją pelerynę.

- Mamy okrycia w innych kolorach, za to oba konie są czarne. Nie musi mówić nic więcej. Wiem, co chce zrobić, ale ja się na to nie zgodzę.

- Nie. Nie rozdzielimy się, Dimitri. To zbyt niebezpieczne, a ja nie pozwolę, żebyś ściągnął na siebie Dusze, chroniąc mnie.

- Posłuchaj mnie, Lia. Nie ma czasu na kłótnie. To jedyna nadzieja, żeby odzyskać karty Księgi. Zamienimy się pelerynami, naciągniemy kaptury, żeby zasłonić twarz, i pojedziemy do miasteczka w dolinie, które mijaliśmy wcześniej. Dowiozę cię tak daleko, jak się da.

Kiedy Dusze będą już blisko, ty pojedziesz do miasta, a ja odciągnę je w przeciwnym kierunku. Straż jest znana z okrucieństwa - ciągnie - ale w materialnym świecie magia pozwala jej członkom wyłącznie na przemieszczanie się. Przy odrobinie szczęścia dopiero po pewnym czasie domyślą się, że ścigają mnie, a nie ciebie. Poza tym masz kamień Lady Abigail. Będzie cię dodatkowo chronił.

Przy tych słowach czuję ciepło zmiłowego kamienia na piersi.

- Ale... co z tobą? Co zrobisz, jak cię złapią? - Na samą myśl, że mam zostawić Dimitriego z tyłu, robi mi się ciężko na sercu.

- Nie martw się o mnie - odpowiada łagodnie. - Jestem wystarczająco silny; żeby zająć się Duszami. Poza tym to nie mnie chcą złapać, a napaść na jednego z Obserwatorów byłaby pogwałceniem zasad.

Zgadzam się więc i odwiązuję pelerynę. Oddaję ją Dimitriemu w zamian za jego czarną, którą mocuję pod szyją, i pytam dalej:

- Co mam zrobić, kiedy dotrę do miasta? - Naciągam kaptur i rozglądam się po lesie. Wiem, że tracimy cenny czas, ale jednocześnie obawiam się, że o czymś zapomnimy; że nie padnie pytanie, na które nastąpiła pora właśnie teraz.

Dimitri podjeżdża do mnie tak blisko, że jego koń prawie dotyka Sargenta - bliżej się już nie da.

- Jeżeli starczy ci czasu, zapytaj o drogę do Chartres. Jeśli nie starczy; jedź do jakiegokolwiek kościoła i czekaj tam na mnie. Żadna z Dusz nie może naruszyć świętego miejsca, w żadnej postaci, inaczej zginie.

Jest tyle rzeczy; które chciałabym powiedzieć - ale już nie zdążę. Dimitri nachyla się i mocno całuje mnie w usta.

- Przyjadę po ciebie, Lia.

Potem uderza dłonią w bok Sargenta. Mój koń wyrywa się do przodu, a Dimitri podąża za mną. Pędzimy przez las, a ja zastanawiam się, czy jeszcze kiedyś go zobaczę. Czy wszystkie słodkie słowa, które zbierałam dla niego do tej pory, pozostaną na zawsze niewypowiedziane.

* * *

Tak jak było z Wilkami, czuję bliskość Dusz, nim je zobaczę czy usłyszę. Nie da się zaprzeczyć, że między nimi a mną jest jakiś przerażający związek, mimo że brzydzę się wszystkim, co się z nimi łączy. Przez pewien czas jadę szybko między drzewami, tuż za mną Dimitri, i mam pewność, że Dusze zbliżają się.

Nagle, niespodziewanie, rzeczywiście je słyszę.

Przedzierają się przez las, są za nami. Schylam się przy szyi Sargenta, błagając go, by biegł szybciej, by dotarł do polany, niedaleko której leżało miasteczko - być może Chartres. Przez pewien czas Dimitri jedzie za mną, ale kiedy trzask gałęzi staje się coraz głośniejszy, bliższy, kiedy zdaję sobie sprawę, że Dusze są tuż-tuż, tętent kopyt konia Dimitriego oddala się - wiem, że skręcił w prawo i zostałam sama.

Staram się nie myśleć zbyt długo i intensywnie o jego bezpieczeństwie ani o tym, że możemy się już nigdy nie spotkać. Jadę powrotną drogą, usiłując kierować się na znajomą polanę.

Nie jestem jednak pewna, czy zmierzam we właściwą stronę. Dopiero gdy docieram do dziwnego kamiennego słupa, który niewzruszenie tkwi w przysypanej suchymi liśćmi ziemi, czuję olbrzymią ulgę. Nie jestem już sama. Mijam go, udając się na polanę, która musi być niedaleko. Zaczyna się we mnie budzić nadzieja. Ufam, że dotrę do kościoła w miasteczku i będę tam bezpieczna.

Tak myślę, nim dochodzi mnie stukot kopyt konia, biegnącego coraz szybciej za mną. Oglądam się do tyłu i prawie zastygam z przerażenia.

Nie ściga mnie już cała horda Dusz. O nie. One prawdopodobnie postąpiły tak, jak przewidywał Dimitri, i popędziły za nim w przeciwnym kierunku. Lecz jedna z Dusz nie goni Dimitriego. Jedna zdołała wytropić mnie w lesie, mimo zamiany okryć.

To jasnowłosa mężczyzna, którego ujrzałam jako przywódcę hordy w obrazie odbitym w strumieniu. Jego koń przyspiesza, biegnie ze zdwojoną energią. Ja zaś przytulam się do szyi Sargenta, starając się na tyle wyprzedzić ścigającego, żeby zyskać czas na znalezienie kryjówki.

Udaje mi się. Mężczyzna zostaje za mną, a ja docieram do polany i pól, wśród których stoi kamienna zagroda. Tym razem nie mam dość odwagi, aby spojrzeć wstecz. Okrążam dom od tyłu i dojeżdżam do stajni. Nawet nie mam czasu, żeby odetchnąć z ulgą, kiedy widzę otwarte wrota.

Wpadam do ciemnego wnętrza i zeskakuję z siodła, mimo że koń nie zdążył się jeszcze zatrzymać. Rozglądam się i szybko stwierdzam, że w stajni są tylko trzy konie.

Trzy konie i sześć boksów.

Wprowadzam Sargenta do jednego z pustych boksów, w mgnieniu oka zdejmuję mu siodło i rzucam je na ziemię. Zamykam wrota na zasuwę i stoję w przejściu między boksami, szukając wzrokiem jakiejś kryjówki. Po sekundzie decyduję się wejść na stryszek.

Bryczesy znacznie ułatwiają wspinanie się po drabinie. Po chwili jestem już na górze. Wciskam się między skrzynki z narzędziami a stopy końskich derek, a tymczasem z zewnątrz

coraz głośniej dobiega odgłos końskich kopyt. Nadjeżdża jasnowłosa mężczyzna. Wykorzystuję zyskany czas, zdejmując kołczan z pleców i znajdując w nim sztylet. Zaciskam palce wokół wysadzanej klejnotami rękojeści. Z bronią w ręku czuję się lepiej. Członek Straży przybrał przecież postać zwykłego człowieka. Zraniony, będzie krwawił.

W przymglonym świetle popołudnia widzę unoszące się drobinki kurzu, które wnikają z zewnątrz przez szpary między deskami stajni. Wewnątrz jest dosyć ciemno, a ja staram się ukryć tak, by być jak najmniej widoczna i jednocześnie móc obserwować dolną kondygnację i boksy. Muszę śledzić rozwój wydarzeń, bo gdyby odkryto moją kryjówkę na górze, znalazłabym się w potrzasku. Staram się uspokoić oddech, podczas gdy konie stojące na dole przeżuwiają i przestępują z nogi na nogę. Wiem, że Dusze w ludzkiej postaci nie mają żadnych nadprzyrodzonych mocy. Przynajmniej nie w tym świecie. Trudno mi jednak uwierzyć, aby przywódca Dusz w jakiś sposób nie usłyszał albo nie domyślił się, że tu jestem.

Kiedy wreszcie spokojnie oddycham, z dołu dochodzą mnie odgłosy lekkich i ostrożnych kroków. Wyciągam szyję pomiędzy skrzynkami, staram się dostrzec coś poniżej. Ze zdziwieniem zauważam chłopca, którego wcześniej widziałam przy karmieniu kur. Spokojnie ogląda wnętrze stajni, a jego spojrzenie zatrzymuje się na stojącym w boksie Sargencie. Chłopiec unosi głowę i powoli się obraca, aż jego wzrok napotyka moje oczy. Patrząc na niego, unoszę palec do ust i w myślach błagam go, żeby mnie nie wydał. Jednocześnie chciałabym ostrzec go krzykiem, żeby uciekał, bo chociaż Dusze chcą złapać mnie, wyłącznie mnie, nie wierzę, że okażą litość nawet przypadkowemu dziecku.

Jest już jednak za późno. Nie mam czasu nic powiedzieć, bo drzwi stajni otwierają się ze skrzypieniem. Widzę jasną plamę włosów tropiciela, oświetlonych padającym z tyłu słońcem, kiedy tak stoi u wrót. Zatrzymuje się tylko na moment, potem wchodzi do środka i już nie widzę go w ciemnym wnętrzu, chociaż nadal słyszę jego skradające się kroki, gdy przemierza stajnię.

Nie spieszy się. Kroki są najpierw ciche, potem coraz głośniejsze, aż w końcu mężczyzna zatrzymuje się przy chłopcu. Pamiętając o tym, że stare budynki skrzypią i trzeszczą, wyciągam głowę tak, żeby coś widzieć, ale bez powodzenia. Moja kryjówka jest zbyt ciasna. Dostrzegam tylko wysokie, czarne buty mężczyzny i jego nogi. Tułów i głowa giną w mroku wnętrza.

Przez chwilę mężczyzna stoi w milczeniu. Potem odzywa się nienaturalnym, gardłowym głosem. Słysząc, że mówienie sprawia mu trudność. Nie wiem czemu, ale zaskakuje mnie to, że rozmawia z chłopcem po francusku.

- *Ou est la fille?* Gdzie dziewczyna?

To proste pytanie, lecz na dziwny dźwięk głosu mężczyzny przechodzi mnie dreszcz. To głos istoty, która nie wie, jak wydobywać dźwięki z ciała, w którym obecnie mieszka.

W przestrzeni stodoły rozlega się cichutki głosik chłopca.

- *Venez. Je vous montrerai.* Proszę za mną. Pokażę.

Serce prawie przestaje mi bić, a adrenalina krąży w żyłach. Z obłędem w oczach rozglądam się za jakąś drogą ucieczki z poddasza.

Lecz chłopiec nie prowadzi mężczyzny na stryszek. Idzie w kierunku otwartych wrót z przodu stajni. Tropiciel nie od razu za nim podąża. Przez pewien czas stoi w milczeniu, prawie czuję, jak rozgląda się wokoło. Wciskam się jak najgłębiej, boję się nawet oddychać. Znowu słyszę odgłosy kroków. Zbliżają się do prowadzącej na stryszek drabiny. Staram się oszacować wysokość poddasza i swoje ryzyko, gdybym zdecydowała się zeskoczyć na dół, widząc wspinającego się na górę mężczyznę. Wkrótce jednak kroki cichną i oddalają się.

W ciszy stajni rozlega się niespodziewanie głos chłopca.

- *Elle est partie il y a quelque temps. Cette voie. A travers le champ.* Dziewczyna odjechała chwilę temu. Tędy. Przez pole.

Udaje mi się wychylić tak, że widzę, jak chłopiec wskazuje mężczyźnie leżące w oddali pola.

Nastaje chwila absolutnego spokoju, podczas której zastanawiam się, czy tropiciel jednak zawróci i przeszuka stajnię, wszystkie jej zakamarki. Za niedługi moment znowu słyszę kroki. Zbliżają się, bo mężczyzna przechodzi do tylnej części pomieszczenia. Początkowo nie rozumiem, dlaczego traci czas, a nie rusza natychmiast przez pola, odjeżdżając sprzed stajni. Potem słyszę konie kręcące się na dole i dociera do mnie, że zostawił swojego wierzchowca z tyłu budynku.

Kiedy mija drabinę prowadzącą na stryszek, odczuwam taką ulgę, że o mało nie wybucham płaczem. Na szczęście udaje mi się zachować spokój, oddycham lekko i bezgłośnie, dopóki nie jestem pewna, że doszedł do tylnych wrót. Odgłosy wsiadania na konia są stłumione, gdyż dochodzą z zewnątrz, ale oddalający się tętent nie pozostawia żadnych wątpliwości - mężczyzna odjechał. Czekam jeszcze kilka minut w ciszy po jego odjeździe, usiłując opanować swoje galopujące serce.

- *Il est parti, mademoiselle. Vous pouvez descendre maintenant!* - woła z dołu chłopiec, informując mnie, że niebezpieczeństwo minęło i mogę zejść.

Ostatni raz rozglądam się po stajni, bo strach jest silniejszy ode mnie. Dopiero potem wkładam sztylet z powrotem do kołczanu i ośmielam się zejść po drabinie. Zeskakuję na ziemię, a chłopiec na mnie czeka. Jest wylękniony; maleńki, sztywny z przerażenia w moich

ramionach.

- *Merci, petit homme.* - Odsuwam się, żeby lepiej mu się przyjrzeć. Mam nadzieję, że mój francuski jest wystarczający; żeby przynajmniej dowiedziała się, w jakim kierunku odjechał mój prześladowca. - *Que voie lui avezvous envoye?*

Chłopiec odwraca się w stronę wrót z przodu stajni.

- *A travers le champ. Loin de la ville.* Przez pole. W stronę przeciwną niż miasto.

Miasto, w którym jest kościół.

Nachylam się i patrzę głęboko w brązowe oczy chłopca. Odpycham od siebie myśl, że są podobne do oczu Dimitriego. Nie mogę sobie pozwolić na sentymentalizm, bo muszę się dowiedzieć, jak nazywa się to miasto na horyzoncie.

- *Quel est le nom de la ville? Celui avec l'eglise grande?* - Czekanie na odpowiedź prawie zapiera mi dech.

Chłopiec odpowiada jednym słowem, ale więcej mi nie trzeba.

- Chartres.

Rozdział 32

Siedząc w siodle, rozglądam się po polach przy stajni i rozważam wszystkie opcje.

Chłopiec powiedział mi, że skierował przywódcę Straży w stronę przeciwną niż miasto, ale mimo to nie ma pewności, czy mężczyzna nie zmienił trasy i nie pojechał mnie szukać do Chartres. Zwłaszcza jeżeli przypuszcza, że tam ukryte są strony Księgi.

Kręcę się na koniu i patrzę na las za domem. Tam, w gęstwinie, jest więcej kryjówek niż na otwartej przestrzeni ciągnącej się w kierunku miasta. Nie wiem jednak, co stało się z Dimitrim ani gdzie jest reszta Dusz. Gdybym weszła do lasu, z łatwością mogłabym wpaść w ich ręce. W Chartres natomiast mam zapewniony bezpieczny azyl w kościele.

A także możliwość odnalezienia brakujących stron. Jeżeli tylko się da, jeżeli istnieje jakikolwiek sposób, aby je osiąść, dokonam tego.

Wpatruję się w panoramę miasta, a potem wbijam pięty w boki Sargenta. Koń rzuca się naprzód, jego kopyta dudnią z całej siły o ziemię. Niesie mnie przez pola, jakby gnał go sam wiatr.

Jakby wiedział, w jakim jesteśmy niebezpieczeństwie.

Otwarta przestrzeń przeraża mnie, chociaż jasno świeci słońce, złocąc trawy na łąkach i zboża, które ciągną się jak okiem sięgnąć we wszystkich kierunkach. Mimo że piękne, pola nie zapewniają mi żadnej kryjówki. Na tę myśl moje serce się buntuje. *Koniec z ukrywaniem się*, powtarzam sobie.

Jednak przez cały czas jazdy mam wrażenie, że zaraz wyskoczę ze skóry. W pewnej mierze spodziewam się nawet, że lada chwila usłyszę za sobą tętent, gdy nadciągnie mój prześladowca. Miasto już się przybliży, wreszcie jestem w Chartres i wjeżdżam w główną ulicę.

Nie jest tak małe, jak wyglądało z daleka, ale po zakurzonych ulicach chodzi niewiele osób. Chyba nigdzie się nie spieszą. Gdy przejeżdżam, przyglądają mi się zarazem z ciekawością i niechęcią. Patrząc na ich nieporuszone twarze, przypuszczam, że zakłóciłam im spokój jednego z niezliczonych, nudnych, pozbawionych wydarzeń dni.

Mój popołudniowy pobyt w Chartres nie zapowiada się natomiast tak spokojnie: kiedy skręcam w jedną z bocznych uliczek, starając się kierować w stronę wież katedry, dostrzegam jasnowłosego mężczyznę, który rozmawia na rogu z jakąś starszą kobietą. Siedzi w siodle.

Nawet z tej odległości rozpoznaję zwierzęcą barwę jego głosu. Naraz przestaje mówić i, jakby wyczuwał moją obecność, odwraca ku mnie głowę.

Nie wiem, ile czasu mija, nim ruszam z miejsca. Wszystko zaczyna się dziać tak szybko, a zarazem zbyt wolno. Wiem tylko, że gdy spinam Sargenta w stronę katedry, mężczyzna również pogania swojego konia, porzucając swoją rozmówczynię w połowie zdania - nawet nie zdążyła zamknąć ust.

Pędzę przez miasto, mając pościg tuż za sobą. Jadę desperacko zygzakiem przez płataninę uliczek, mając nadzieję, że dotrę do świątyni. Dopiero po paru próbach wiem, gdzie jestem. Dwa razy zwiodły mnie małe zaułki, które zdawały się prowadzić do katedry, a oddalały mnie od niej. Jasnowłosy mężczyzna, który najwyraźniej nie zna miasta, gubi się w nim jak zwyczajny człowiek. Chociaż chwilami zdaje mi się, że łatwo mógłby odciąć mi drogę, on podąża krok w krok za mną.

Nareszcie docieram do ulicy prowadzącej na wzgórze i właśnie tam widzę napis CATHEDRA LE NOTRE-DAME DE CHARTRES. Rzeczywiście za zakrętem znajduję katedrę, ze szczytu wzgórz królującą nad miastem. Wieże wznoszą się wysoko ponad prastare kamienne mury i zdają się sięgać nieba. Sargent oddycha głośno i chrapliwie, ucieka jednak pod górę przed nadciągającym pościgiem.

Przygotowuję się do zeskoku i biegu w stronę kościoła, mkniemy bowiem do głównego wejścia do katedry. Jest coraz bliżej i bliżej, w końcu tuż przed nami. W zasadzie nie zatrzymuję się u stóp imponującej fasady - zeskakuję na ziemię gwałtowniej, niż się spodziewałam. Siła uderzenia zapiera mi dech, potykam się, ale staram się odzyskać równowagę, bo widzę jasnowłosego mężczyznę doganiającego mnie na ostatniej prostej.

Nigdy nie byłam zadowolona ze spodni bardziej niż teraz, gdy pędzę po schodach w stronę potężnych, drewnianych, łukowato wyciętych drzwi katedry. Wbiegam po dwa stopnie naraz. Łuk telepie mi się na plecach, bo staram się biec jak najszybciej, ale też nie przewrócić się na gładkich ze starości kamiennych schodach. Jeżeli się potknę, to po raz ostatni w życiu - tropiciel jest zaraz za mną. Jego kroki są szybsze niż moje, rozlegają się coraz bliżej, w końcu tuż za moimi plecami.

Dopadając drzwi, nie odwracam się. Po prostu chwytam za potężną żelazną klamkę i pcham, aż w wejściu pojawi się szpara. Tylko tyle mi trzeba. Wślizguję się do środka, zatrzaskując drzwi za sobą.

Jestem w chłodnym, bezpiecznym wnętrzu katedry.

Natychmiast odsuwam się od drzwi i opieram o ścianę. Po szalonej gonitwie przez miasto i na wzgórze, do kościoła, cisza w głównej nawie jest ogłuszająca. Mój oddech,

wydobywający się z płuc głośno i z trudem, odbija się echem od kamiennych murów. Przez moment stoję, spoglądając podejrzliwie na drzwi i czekając, aż zacznę oddychać spokojnie. Mimo zapewnień Dimitriego i tak obawiam się, że ścigający mnie mężczyzna może wtargnąć do środka. Tak się nie dzieje, dlatego po pewnym czasie ośmielam się odsunąć w głąb przepastnego kościoła.

Katedra jest przeogromna, a sklepienie tak wysokie, że ginie gdzieś w mroku ponad moją głową. Kunsztowne witraże roztaczają delikatną tęczę barw na ścianach i posadzce. Oglądam misterne kamienne rzeźby przedstawiające świętych i sceny z Biblii. Pomieszczenia za ołtarzem skrywa ciemność, ale idę dosyć szybko w tamtą stronę. Prześladowca być może nie wejdzie do kościoła, ale rozmiary świątyni sprawiają, że czuję się bezbronna. Za dużo tu tajemnic. A ja mam tylko znaleźć świętą grotę i stwierdzić, czy tam ukryte są zaginione stronice.

Przechodzę obok ołtarza i docieram do wielkiego korytarza. Ponieważ często podróżowałam z ojcem, wiem, że w miejscach o historycznym znaczeniu ustawiane są specjalne oznaczenia dla zwiedzających. Szukam więc jakichś wskazówek na ścianach i przesuвам się ku tylnej części katedry. Po drodze mijam kilkoro zamkniętych drzwi, nie mam jednak odwagi, żeby je otworzyć.

Dochodzę do mniejszego przejścia, gdzie widzę słaby promień słońca padający od strony bocznych drzwi. Idę za światłem do wyjścia i z ulgą dostrzegam, że drzwi są tylko lekko uchylone. Otwieram je jeszcze odrobinę i wyglądam przez szparę.

Początkowo jestem rozczarowana, bo drzwi wychodzą na małą uliczkę. Nierozsądnie byłoby marnować czas, przebywając w miejscu, które leży w zasadzie poza sanktuarium. Potem jednak coś przyciąga moją uwagę. To napis na mniejszym budynku nieopodal katedry.

Brzmi: MAISON DE LA CRYPTTE. To krypta!

Oczywiście nie wiadomo, czy strony są ukryte właśnie w krypcie, ale nie po to przyjechałam z tak daleka, żeby siedzieć bezczynnie, podczas gdy członek Straży czai się na mnie przed katedrą. Przez moment zastanawiam się, czy nie zaczekać na Dimitriego, ale już po sekundzie odrzucam ten pomysł. Dimitri z pewnością pomógł mi przedostać się przez las, kiedy podążaliśmy na wyspę, jednak tutaj dotarłam zupełnie sama, przemierzając wiele mrocznych, strasznych ścieżek.

Jeżeli się pospieszę, przejście przez uliczkę prowadzącą do wejścia do budynku zajmie mi mniej niż minutę. Wątpię, że samo sąsiedztwo katedry zapewni mi jakąkolwiek ochronę, ale nie mam wyboru. Nim wymknę się przez uchylone drzwi, patrzę wokoło, sprawdzając, czy uliczka jest pusta. Musi już być dosyć późno, bo domy po obu jej stronach nikną w świetle

wieczoru. Wydaje mi się, że w tym krótkim czasie, kiedy przebywałam w kościele, znacznie się ochłodziło. Wkrótce nastanie noc. Ta myśl dodaje mi sił. Szybko i bez przykrych incydentów docieram do wejścia do krypty i otwieram drzwi, które - choć duże - wyglądają na miniaturowe w porównaniu z wrotami katedry.

Zamykam je za sobą i staję w niewielkim, skromnym pomieszczeniu. Nie ma tu rzeźbionych ornamentów ani witraży; a jednak moją duszę ogarnia głęboki spokój. Nie wiem dlaczego, ale w tym miejscu, prostym i bezpretensjonalnym, czuję się jak w domu, prawie jak na Altus. Na piersi zaczyna promieniować znajome ciepło żmijowego kamienia. Dotykam go - jest gorący.

Wchodzę głębiej, ale z ulgą widzę, że pomieszczenie jest nieduże. Ma bardzo mało drzwi i tylko jeden korytarz. Przypuszczam, że budynek dobudowano nad grota bez żadnego szczegółowego planu, ponieważ cała uwaga skupiała się na katedrze. Dochodzę do końca pomieszczenia i już po chwili znajduję wąskie wejście prowadzące na kręte schody. Stopnie są wyciosane w kamieniu. Schodzę po nich bez wahania, a im niżej się - znajduję, tym bardziej rozgrzewa się żmijowy kamień pod moją koszulą.

Żeby utrzymać równowagę, trzymam się ściany. Z głębi krypty dochodzi zapach stęchlizny. Wkrótce woń wilgotnej ziemi otacza mnie ze wszystkich stron. Mam wrażenie, jakbym podążała w jakieś znajome miejsce, w dodatku wiem, że przez tysiące lat te mury widziały niejedno. Chroniły i skrywały to, co było cenne dla Sióstr.

Gdy wreszcie docieram do samego dna groty; jestem zaskoczona jej wielkością. Wszystkie ściany są z kamienia; choć nie sięgają takich wyżyn jak ściany katedry; również i to sklepienie mam wysoko nad głową. Krypta jest dość obszerna, mierząc wszerz. Prawdę mówiąc, jest większa niż pomieszczenie nad nią. Jej wnętrze oświetlają jedynie rzędy pochodni ustawionych wzdłuż ścian, dlatego moje oczy muszą przez dłuższą chwilę przyzwyczajać się do tego nikłego światła.

Wtedy moją uwagę zwraca stojący naprzeciwko ołtarz.

Przechodzę przez całą długość krypty; starając się jak najciszej stąpać. Nikt nie zganiłby mnie za zwiedzanie tego miejsca, ale za to, co muszę zrobić, żeby odzyskać zaginione strony - z pewnością. Zbliżam się do ołtarza i przyglądam się zdobiącej go figurze. To piękna, choć często spotykana rzeźba przedstawiająca kobietę w udrapowanych szatach; przypuszczam, że to Maryja.

U stóp Strażniczki. Nie Dziewicy, lecz Siostry.

Ostatni raz rozglądam się dookoła, po czym ruszam w stronę posągu. Padam przed nim na klęczki. Kamienna podłoga u jego stóp jest zimna i twarda. Drażni moje kolana nawet

przez spodnie.

Przypatruję się uważnie posadzce, szukając miejsca, które nadawałoby się na skrytkę. Już po chwili odrzucam ten pomysł. Ogarnia mnie rozpacz, gdyż widzę, że powierzchnia pomiędzy ołtarzem a posągiem to jednolita masa szarych kamieni, bez żadnych znaków, o ile można to dostrzec w słabym świetle.

Tak mi się wydaje na początku. Lecz potem zauważam na którymś z kamieni przecinającą go ciemniejszą linię, ledwie smugę.

Odsuwam się nieco, żeby przyjrzeć mu się z większej odległości. Dochodzę do wniosku, że może jestem za blisko, żeby odszukać jakiś znak. Po chwili faktycznie widzę, że przedłużenie tej samej linii znajduje się na następnym kamieniu, i jeszcze dalszym. Zaczynam rozumieć. Ścieram rękawem kurz i aż podskakuję z przejęcia. Oddalam się na kilka kroków, żeby sprawdzić swoją teorię.

Czuję, że moją twarz rozjaśnia uśmiech, mimo że tutaj nikt nie może go zobaczyć i że nigdy nie przypuszczałabym, iż ucieszę się na widok tego symbolu.

Na ziemi, u moich stóp, wyrysowany jest bowiem ten sam znak, który widnieje na moim medalionie. Ciemna, zakrzywiona linia znaczy siedem kamieni, tworząc kształt Jorgumanda. Chociaż jest poszarzały, zatarty, przykryty wielowiekowym brudem, w środku dostrzegam nawet literę C.

C jak *chaos*. Chaos stuleci.

Pospiesznie klękam i sprawdzam wszystkie kamienie oznaczone symbolem w nadziei, że któryś jest obłuzowany. Po chwili zdaję sobie sprawę, że to bezcelowe. Każdy kamień noszący znak Jorgumanda mocno tkwi w podłożu, a mnie już bolą palce od prób podważenia ich. Jest jednak jeszcze jeden kamień, ten w środku, z literą C. Wyczuwam, że się rusza i myślę, jaka byłam głupia.

Powinnam była od razu się domyślić, że to ten.

Sięgam do kołczanu i wyciągam sztylet. Różnobarwne klejnoty na rękojeści błyszczą, pomimo że w grocie jest dosyć ciemno. Przypominam sobie, jak znalazłam go w pokoju Alice, w naszym domu w Birchwood. Do połyskującej klingi nadal przyczepione są drewniane wióry, pochodzące z podłogi w moim pokoju, którą Alice zniszczyła, kiedy wycięła zakłęty krąg wyrysowany przez mamę. Moja siostra chciała bowiem, żebym była bezbronna wobec Dusza podczas podróży po Równinie.

Tym razem sztylet zostanie użyty w szlachetniejszych celach.

Niełatwo jest obruszać kamień z literą C. Muszę długo wydrapywać ziemię, drobne kamyki i starą zaprawę, wpychając sztylet coraz głębiej i głębiej w szczeliny pojawiające się

wokół. Co parę minut sprawdzam postęp prac i denerwuję się, że kamień nadal tylko lekko się kołysze. Zupełnie tracę poczucie czasu. Wreszcie kamień zaczyna się bardziej ruszać i wydaje mi się, że zaraz go całkiem wyjmę.

Wkładam sztylet z powrotem do kołczanu i staram się objąć kamień palcami. Szczeliny nie są duże, ale wciąż usiłuję przesunąć kamień na boki, żeby go wyjąć. Przez jakiś czas bezskutecznie to popycham go, to ciągnę. Ustawiłam się pod nieodpowiednim kątem, nie mam miejsca, żeby dobrze złapać kamień. Próbuję pociągnąć go prosto w górę, nie na skos. Łamię resztki paznokci, a z palców leje się krew - jednak po chwili czuję, że szpary po bokach kamienia są szersze. Jak najgłębiej wciskam w nie palce. Przygryzam wargi, żeby nie krzyknąć z bólu, ponieważ kamienie znajdujące się obok ranią i kaleczą już i tak obolałe opuszki. Wiem, że nie dam rady bez końca próbować, bo za chwilę ręce odmówią mi posłuszeństwa. Obejmuję więc kamień z całej siły.

Potem ciągnę.

Jest cięższy, niż na to wygląda. Ręce mi się trzęsą, kiedy podnoszę go z ziemi. Przez chwilę obawiam się, że go nie udźwignę. Ale nie puszczam.

Jakimś cudem udaje mi się go utrzymać tak długo, aż przesuwam go poza obręb otworu, jaki pozostał w ziemi. Nie zwracam uwagi na swój przyspieszony oddech. Odkładam kamień i zaglądam do pozornie bezdennej zagłębienia. W dziurze jest całkiem czarno. Wkładam dłoń do tej ciemnej, wilgotnej jamy i staram się coś namacać. Nie przejmuję się robakami, pleśnią i brudem ani innymi dziwnymi rzeczami, na które natykają się moje palce w drodze na dno otworu.

Jest znacznie głębszy, niż myślałam. Mieści się w nim prawie cała moja ręka, aż po ramię. Na dnie jednak natychmiast wyczuwam coś delikatniejszego, cieplejszego w dotyku niż twarde kamienie wokół. Łapię ten przedmiot i wyciągam na powierzchnię. To kwadratowy kawałek skóry.

Wkładam kamień z powrotem i upewniam się, że miejsce u stóp posągu wygląda tak, jak je zastałam. Wtedy podchodzę do ołtarza i rozwijam zawiniątko, które tak długo czekało na mnie pod ziemią.

Dławi mnie w gardle, kiedy w środku znajduję skrawek cienkiego, kruchego papieru. Podnoszę go z kawałka skóry i delikatnie rozkładam. Jest chyba stary jak świat. Nawet po rozłożeniu jest cały pomarszczony, wygładzam go więc leciutko i wpatruję się w zapisane na nim słowa.

Dopiero wtedy widzę, że to nie jeden, ale dwa zniszczone skrawki papieru.

Trzymam po jednym w każdej dłoni i przyglądam się im po kolei w bladym świetle grotty.

Już po chwili zaczynam rozumieć.

Jeden skrawek jest równym prostokątem o gładkich brzegach, pokrytym łacińskim tekstem. Poznaję - to ten sam format, jaki ma *Librum Maleficii et Disordinae*, Księga Chaosu, znaleziona prawie rok temu w bibliotece ojca w naszej posiadłości Birchwood Manor, Łacina nigdy nie była moją mocną stroną. Dopiero tłumaczenie Jamesa pozwoliło mi po raz pierwszy zakosztować gorzkiego smaku proroctwa.

Dlatego z prawdziwym zadowoleniem odkryłam, że pod pierwszym skrawkiem papieru jest drugi. To strona najwyraźniej wyrwana z innej książki, nie tak schludna i czysta jak stronica z Księgi Chaosu. Poza tym jest bardzo mała. Również zawiera słowa przepowiedni, zapisane gęstym, pospiesznym pismem.

Najważniejsze jednak jest to, że te gęsto i pospiesznie zapisane słowa są po angielsku. Zostały przetłumaczone dawno temu, jakby jakaś osoba z przeszłości domyślała się, że kiedyś stanę w tej krypcie w Chartres i zapragnę zapoznać się z treścią ostatniej strony proroctwa.

Z ulgą podkładam stronę z Księgi Chaosu pod karteczkę z tłumaczeniem. Przysuwam głowę do słabo świecących pochodni.

I czytam.

Lecz wśród chaosu i obłądu powstanie ta jedna,

Co Ród pradawny powiedzie i Kamień uwolni,

Spowita świętością Sióstr,

Chroniona przed Bestią.

Wyzwoli tych, których wiąże Proroctwo,

Ich przeszłość i bliski koniec.

Święty Kamień uwolniony ze świątyni,

Sliabh na Cailli,

Portal Pozaświatów.

Siostry Chaosu

Powrócą do brzucha węża

U kresu Nos Galon-Mai.

Tam, w Kręgu Ognia,

Rozpalonego Kamieniem, połączą się

Cztery Klucze, ze znakiem Smoka,

Anioł Chaosu, znamię i medalion.

Bestia, dzięki Siostróm

*U wrót Strażniczki odparta,
Obrzędkiem Upadłych.
Otwórz ramiona, o, Pani Chaosu,
A nastąpi spustoszenie wieków
Lub zamknij je, a zniweczysz
Jego pragnienie wieczności.*

Kiedy dochodzę do końca, zdaję sobie sprawę, że to tylko jedna strona. Nie ma brakujących kart Księgi. Jest zaledwie jedna. A chociaż tu i teraz nie potrafię rozwikłać jej przesłania, mam głębokie przekonanie, że jest wszystkim, czego potrzebuję.

Nie pozwalam sobie na luksus zabrania strony ze sobą. Przecież któraś z Dusz może już czyhać na mnie przed kryptą. Dlatego czytam i czytam, póki nie nabiorę pewności, że znam treść stronicy na pamięć. Wkrótce wiem, że zawsze będę umiała wypowiedzieć te słowa, nawet gdybym miała je powtórzyć na łożu śmierci, co, mam nadzieję, nastąpi nieprędko.

Wtedy biorę obie kartki, przytykam je do jednej z pochodni i patrzę, jak płoną.

Rozdział 33

- *Bonsoir. Puis-je vous aider a trouver quelque chose?* Dobry wieczór. Czy mam panience pomóc coś znaleźć? - pyta mnie ksiądz.

Przyglądam mu się uważnie. Spotkałam go w pomieszczeniu prowadzącym do krypty, do którego właśnie weszłam po schodach. Zobaczył mnie jednak dopiero wtedy, gdy oddaliłam się już od wejścia do groty. Podchodząc bliżej, przypatruję się szyi księdza, ale z ulgą dostrzegam brak znamienia charakterystycznego dla członków Straży.

- *Non, Pere. Je me promenais la cathédrale et suis devenu perdu* - uśmiecham się nerwowo, podając wymówkę, że się zgubiłam. Potem na wszelki wypadek dodaję, że sama trafię do wyjścia. - *Jepeux trouver ma voie en aniere d'ici, merci.*

Kapłan kiwa głową, obrzucając moje bryczesy pogardliwym spojrzeniem. Zupełnie zapomniałam, że mam je na sobie, dlatego teraz, mimo że sytuacja jest poważna, mam ochotę głośno się roześmiać. Przez krótką chwilę zapominam, że nadal może mi grozić śmiertelne niebezpieczeństwo. O niczym bardziej nie marzę, jak o podzieleniu się swoją wesołością z Luisą i Sonią. Ta myśl sprowadza uśmiech na moje usta, bo wiem, że im także byłoby trudno powstrzymać się od chichotów.

Mijam księdza i kieruję się do drzwi. On stoi na środku pomieszczenia, taksując mnie spojrzeniem, jakbym była pospolitym przestępcą. Nie biorę mu tego za złe - w końcu mam na sobie męskie ubranie i nie wyglądam schludnie.

Ponieważ muszę opuścić to miejsce, otwieram drzwi i rozglądam się w obie strony; najpierw ostrożnie, potem śmielej, stopniowo przekonując się, że uliczka jest pusta. Kiedy mam prawie absolutną pewność, że przejdę bezpiecznie, wymykam się z budynku i pospiesznie przecinam uliczkę. Z westchnieniem ulgi dopadam bocznych drzwi katedry; ale kiedy chcę je otworzyć, okazuje się, że są zamknięte na klucz.

Próbuję jeszcze raz, ciągnę z całych sił, ale one ani drgną. Nagle słyszę za sobą jakiś dźwięk. Chociaż chciałabym zachować spokój, krew natychmiast zaczyna mi pędzić w żyłach. Odwracam się, żeby sprawdzić, co się dzieje. To coś innego, niż się spodziewałam, ale tylko pozornie.

Z muru biegnącego wzdłuż uliczki zeskakuje duże, białe kocisko. Leniwym krokiem zbliża się do mnie. Chciałabym wierzyć, że to zwyczajny kot, ale w jego zachowaniu jest coś,

co nie daje mi spokoju. Przyczynę poznaję dopiero wówczas, gdy zwierzę zaczyna mi patrzeć prosto w oczy swoimi szmaragdowymi ślepiami. Chwilę potem całe świeci ostrym blaskiem i zmienia się w jasnowłosego prześladowcę. Zmiana postaci najwyraźniej nie stanowi dla niego trudności, mężczyzna dalej przesuwa się w moją stronę, a jego usta wykrzywia złowrogi grymas. Powolność jego ruchów nie umniejsza mojego strachu. Właśnie ten spokój mnie przeraża - widocznie jest tak pewny ostatecznego sukcesu, że nie musi się spieszyć, aby mnie dopaść.

Przesuwam się wzdłuż muru katedry; centymetr po centymetrze, w kierunku tych jednych drzwi, które nie powinny być zamknięte - głównego wejścia, przez które na początku dostałam się do środka. Nie mam odwagi, żeby spuścić wzrok z mężczyzny. Staram się ocenić, kiedy będę mieć większe szanse: gdy odwrócę się i puszczę biegiem, czy gdy dalej będę grać w tę grę, której reguły on mi narzuca.

Jestem jeszcze daleko od wylotu uliczki, kiedy mężczyzna przyspiesza i idzie bardziej zdecydowanym krokiem. Ruch powoduje, że kołnierz jego ubrania rozchyła się, pozwalając mi dostrzec znak węża układający się wokół jego szyi jak opaska. Skręcam się ze strachu, a jednocześnie ten symbol dziwnie mnie pociąga.

Decyzji, żeby rzucić się biegiem, nie podejmuję świadomie. Nakazuje mi to instynkt, krzycząc, że to jedyna szansa ucieczki przed członkiem Straży Samaela i przed moim własnym mrocznym uczuciem, jakie łączy mnie ze znakiem węża.

Kamień pod moimi stopami jest śliski. Nie mogę biec tak szybko, jak bym chciała, gdyż obawiam się upadku. Za mną przez cały czas narasta tempo zbliżających się kroków. Do głównego wejścia jest już niedaleko, ale podczas tej próby ucieczki czas przedziwnie wydłuża się i wygina. Kiedy skręcam za róg, w stronę fasady, myślę, że się udało. Zapominam jednak, że biegnę po gładkiej powierzchni - i przewracam się, uderzając o ziemię tak mocno, że aż zęby mi dzwonią.

Po paru sekundach podnoszę się i pędzę dalej, ale uciekam zbyt wolno. Przez upadek zmalał dystans między mną a ścigającym mnie mężczyzną. Wprawdzie mknę w końcu w górę po schodach do wejścia, ale wieczorny wiatr przynosi mi już ostry zapach jego potu.

Nareszcie jestem u szczytu schodów i chwytam klamkę wielkich drewnianych drzwi - ale wtedy prześladowca rzuca się na mnie. Upadamy obydwój. On chwytam mnie mocno za stopę, a ja usiłuję doczołgać się do wejścia, żeby schronić się we wnętrzu kościoła. Łuk i kołczan spadły mi z pleców, leżą kawałek dalej.

- Oddaj... mi... te... strony... - skowycze napastnik. Jego głos wije się jak wąż, wydaje mi się, że słowa pełzną mi po plecach.

- Nie mam ich! - krzyczę w nadziei, że tak odzyskam wolność, że mężczyźni zależą tylko na stronicach, a nie, jak mogę podejrzewać, na mojej śmierci. - Puść mnie! Nie mam ich!

Nie odpowiada. Jego milczenie przeraża mnie bardziej niż jakiegokolwiek słowa. Trzymając mnie za nogę, ciągnie do siebie, a wąż na jego szyi zdaje się wić, sunąć ku mnie, tak że prawie słyszę jego syk.

Patrzę na fasadę kościoła - czy nie ma tam Dimitriego albo kogokolwiek, kto mógłby mi pomóc. Ale ratunek nie nadejdzie. Ani ze strony Dimitriego, ani Sióstr. Moje umiejętności też na nic się nie zdadzą. Kątem oka jednak zauważam kołczan. Wystają z niego częściowo wysunięte strzały, lecz to nie one mogą mi się przydać. Cała moja nadzieja w sztylecie matki, który wypadł z kołczanu i leży trochę dalej. Przypomina mi, że wybawienie zależy ode mnie samej.

Ode mnie, od mojej siły i woli, które rozwijałam, żyjąc na tym świecie.

Biorę zamach drugą nogą i, rozwścieczona, kopię napastnika w twarz. Jego chwyt rozluźnia się, ale i tak udaje mu się pociągnąć mnie kawałek za sobą, gdy uderzenie odrzuca go w tył. Staram się doczołgać do kołczanu, opierając się na ramionach i wlokąc mężczyznę za sobą, lecz on po chwili otrząsa się i znowu mocniej łapie moją stopę. Zaczyna wlec mnie w swoim kierunku, wydając gardłowy jęk.

Jest w tym głosie dzikość i ból, które docierają do najgłębszych zakamarków umysłu, przypominając o mojej roli w wypełnieniu przepowiedni i o zadaniu walki z Duszami. Kopię więc jeszcze raz, z całą mocą - moja swobodna stopa po raz kolejny ląduje na twarzy mężczyzny. Cios jest tak silny, że cała drzę. Nie sposób nie myśleć, że to dzięki ciotce Abigail i jej żmijowemu kamieniowi napastnik rozluźnia chwyt. Tyle mi wystarcza, żeby przesunąć się odrobinę dalej i zacisnąć palce na rękojęści sztyletu.

Nie wiem, czy ciepło żmijowego kamienia daje mi więcej siły, czy tylko sprawia, że nie czuję się samotna, ale mam wrażenie, jakby ciotka Abigail, z całą swoją mocą i mądrością, była przy mnie. Nie ma znaczenia, jak to naprawdę jest - ważne, że teraz kolistym ruchem kieruję sztylet w stronę napastnika i ranię go w szyję tak poważnie, że puszcza moją stopę.

Oczy wypełnia mu zdumienie, a potem z rany wytryskuje krew, tworząc coraz większą plamę na białej koszuli. Wąż na szyi mężczyzny znów się porusza, syczy ze złością w moją stronę, lecz jest bezsilny. Po chwili twarz napastnika zmienia się w pyszczek kota, który ukazał mi się w uliczce, następnie w twarz robotnika, szlachcica i z powrotem w tę samą, niepokojąco przystojną. Coś mi mówi, że muszą być to wszystkie postaci, jakie przybierał, odkąd przedostał się w przeszłości do materialnego świata przez którąś z Bram.

Nie czołgam się już do wejścia. Postanawiam biec. Udaje mi się podnieść, więc rzucam się do drzwi. Popychając je dłonią, nawet nie czuję ich ciężaru; zatrzymuję je za sobą i staram się złapać oddech. Wchodzę tyłem do wnętrza kościoła, oddalając się od drzwi, nie spuszcza z nich oczu. Czuwam dosyć długo, bo obawiam się, że mężczyzna wtargnie do środka, nawet ryzykując śmierć, która grozi mu za naruszenie świętości tego miejsca, niedostępnego dla Duszy.

Nie mam pojęcia, ile czasu potrzebuję, żeby upewnić się, że mężczyzna nie wejdzie. W końcu z ulgą osuwam się na posadzkę, opierając się plecami o ścianę nadal patrząc na drzwi.

Dimitri na pewno przyjdzie. Nie wiem kiedy; ale to oczywiste jak fakt, że dwa razy dwa jest cztery. Obejmuję kolana rękami, powtarzając szeptem słowa ze znalezionej strony; by utrwalić je sobie w pamięci.

Siedzę w ciemnym kościele i szepczę, i czekam.

* * *

Osobą, która przychodzi, jest Alice.

Leżę uśpiona we wnętrzu katedry, z plecami wspartymi o mur. Nagle czuję jej obecność. Otwieram oczy - Alice stoi przy końcu bocznej nawy, ciągnącej się od wejścia do ołtarza. Z daleka jej postać wydaje się tak przejrzysta, jak tej nocy; kiedy pojawiła się na schodach w Milthorpe Manor. Kiedy jednak się przybliżyła, że zgrozą zauważam, że przybiera coraz bardziej fizyczną formę, a gdy staje przede mną, ma nieomal materialne ciało, nie jest ulotną istotą, jakie podróżują po Równinie. Nie jestem zdziwiona faktem, że jej umiejętności niezmiernie się rozwinęły.

Alice przygląda mi się z takim wyrazem twarzy; jakiego wcześniej u niej nie widziałam. Wydaje mi się, że to zabójcza mieszanka nienawiści i podziwu.

- A więc - odzywa się - znalazłaś to, czego szukałaś.

Nawet w tej na poły materialnej formie moja siostra budzi we mnie grozę i lęk. Unoszę głowę, starając się przemawiać odważnie.

- Tak, a teraz jest za późno, żeby ktokolwiek - ty czy Dusze - mógł mi to odebrać. Zniszczyłam to.

Alice ani drgnie. Zastanawiam się, czy wiedziała o tym wcześniej, czy obserwowała mnie, przebywając na Równinie.

- Brakujące strony same w sobie nigdy nie były dla nas ważne, poza tą kwestią, że mogły pomóc ci doprowadzić prorocstwo do końca. Nas interesuje tylko jedno zakończenie, a do tego strony nie są potrzebne.

- To znaczy, że wszystko działa się po to, żebym nie odnalazła stron, a nie żeby mi je odebrać... - To nie jest pytanie. Myślę o Wilkach, koniu morskim, Emrysie... Jako pomocnicy Dusz działali w ich interesie, próbując powstrzymać mnie przed dotarciem do Chartres.

Wszystko sprzyściło się przeciwko mnie, abym nie rozwiązała przepowiedni.

- Oczywiście - Alice uśmiecha się z przechyloną głową. - Teraz pewnie myślisz, że wygrałaś, że skoro znalazłaś strony, zrozumiesz prorocstwo do końca i rozwiążesz je tak, jak ci się podoba. - Jej oczy gwałtownie poważnieją. - Lecz jesteś w błędzie, Lia. W wielkim błędzie.

- Nie rozumiem, o czym mówisz, Alice.

Moja siostra podchodzi bliżej, tak że zatrzymuje się tuż przede mną. Przysiada na piętach, patrzymy sobie w oczy.

- Zrozumiesz, Lia, zrozumiesz... - W jej szmaragdowych oczach pełga płomień. - Co z tego, że znalazłaś, czego szukałaś. Pewnych rzeczy nadal nie masz. Aby je zdobyć, musiałabyś znać odpowiedzi na jeszcze więcej pytań. Narazić się na większe niebezpieczeństwo. A co najważniejsze, nie masz jednej rzeczy, której nigdy, przenigdy nie będziesz mieć.

- Niby czego, Alice?

Moja siostra milczy tylko chwilę, a potem odpowiada jednym krótkim słowem:

- Mnie.

Jej uśmiech jest tak pusty, że po plecach przechodzi mi zimny dreszcz. Nie mam pojęcia, o co jej chodzi, ale brak mi czasu na rozważania. Na ułamek sekundy nasze spojrzenia spotykają się, potem Alice znika, a ja znowu zostaję sama w ciemnościach katedry.

Rozdział 34

Spaceruję ruchliwymi ulicami, trzymając się blisko bram domów i uważnie przyglądając się przechodniom.

Ktoś mógłby pomyśleć, że po długiej i niebezpiecznej podróży, jaka doprowadziła mnie do brakującej strony z Księgi Chaosu, nie powinnam się bać spacerów po mieście, ale prawdę mówiąc, ta eskapada zwiększyła jedynie moją podejrzliwość. Przypominam sobie jasnowłosego mężczyznę pod katedrą w Chartres i sposób, w jaki zmieniała się jego twarz: najpierw w pyszczek kota, a potem znów w ludzką twarz robotnika i dżentelmena. Wiem, że inni członkowie Straży Samaela mogą być w pobliżu, w każdym miejscu i o każdej porze. Instynktownie kieruję wzrok ku szyjom nieznanym mężczyznom i kobietom. Sprawdzam, czy nie ma na nich znaku wijącego się węża.

Przechodzę przez brukowaną alejkę oraz starą żelazną bramę i głęboko oddycham z zadowoleniem, znalazłszy się w parku. Kieruję się do jego centralnej części, nad staw. Odkąd wróciłam z Francji, często spędzam tu popołudnia, spacerując pośród zieleni. Teren parku troszeczkę przypomina mi łagodne wzgórza wyspy Altus.

Przechadzając się, myślę o Dimitrim. Czasami mi towarzyszy, ale samotne spacerowanie również sprawiają mi przyjemność. Myślę o jego głębokich oczach i ciemnych włosach, które kręczą się na szyi. Bardzo się cieszę, że wrócił ze mną do Londynu. Obiecał, iż pozostanie przy mnie, dopóki nie doprowadzę do zakończenia proroctwa, bez względu na to, co przyniesie nam los. Jego obecność jest dla mnie sporą pociechą, choć otwarcie bym się do tego nie przyznała.

Dimitri dotarł do katedry w Chartres dopiero następnego dnia rano, po tym, jak odszukałam ukryte stronice. Czekałam na niego oparta o ścianę, mimo że pewien ksiądz proponował, że znajdzie mi gdzieś mieszkanie. Chciałam być w katedrze, kiedy przyjedzie Dimitri. Chciałam, żeby to mnie najpierw zobaczył, kiedy wejdzie do środka.

Dojechaliśmy do jakiegoś portowego miasta i wsiedliśmy na statek odpływający do Londynu. Wróciliśmy do Milthorpe Manor, gdzie po dotarciu do swojego pokoju niemal natychmiast zapadłam w twardy sen, który trwał prawie całą dobę. Gdy się obudziłam, był przy mnie Dimitri - czuwał na krześle przy łóżku.

Od tamtego dnia stale był ze mną. Zamieszkał w siedzibie Towarzystwa pod matczynym,

niekiedy nadopiekuńczym okiem Elspeth. Mimo że Dimitri otwarcie wyraża swoje uczucia do mnie, ja jeszcze nie zdołałam pogodzić swoich uczuć do niego z tymi do Jamesa, których resztki przetrwały w moim sercu. Dopisałam tę kwestię do listy spraw, których chwilowo nie rozważam dla dobra wypełnienia się proroctwa.

Poza tym niechętnie zastanawiam się nad przyszłością. W przeszłości pojawiło się zbyt wiele pytań, a kolejne dopiero na mnie czekają. Może stałam się przesadna, ale wydaje mi się to nieroztropne, żeby kusić los, zakładając, że w ogóle mam przed sobą jakąś przyszłość.

I mimo że towarzystwo Dimitriego sprawia mi ogromną przyjemność, mam takie chwile i dni, kiedy wolę w samotności rozważać to, co się wydarzyło, i to, co jeszcze nastąpi.

Nie mam wątpliwości, że czekają mnie zmiany.

Natychmiast po powrocie z Chartres otrzymałam wiadomość od Philipa, że odnalazł Helenę Castillę, trzeci Klucz, i wraca do Londynu, planując, jak ją tutaj ściągnąć. Nic więc dziwnego, że zastanawiam się, jak pojawienie się kolejnej dziewczyny wpłynie na moje dość kruche teraz relacje z Sonią i Luisą.

Wspomnienie Soni rzuca się cieniem na moje serce. Są momenty, kiedy przypominam sobie dawną Sonię, nieśmiałą dziewczynę, moją zaufaną przyjaciółkę, najwierniejszą towarzyszkę podczas strasznych dni po śmierci Henry'ego i po wyjeździe z Nowego Jorku. Wtedy tęsknię za nią i chciałabym się z nią spotkać, przytulić, usiąść razem z nią przy kominku i opowiedzieć jej, co się zdarzyło od dnia, kiedy w jej szklanych oczach ujrzałam obłęd zadany przez Dusze.

Trudno mi jednak nie słyszeć tego drugiego, cynicznego głosu w moim umyśle.

On mówi: *A jeśli to się powtórzy?*

Będę musiała znaleźć jakieś rozwiązanie, żeby znowu wszyscy byli razem i żeby sprostać różnorodnym zadaniom stawianym przez proroctwo - bo do Londynu wraca zarówno Philip, jak i Sonia, Luisa i Edmund, którzy przybędą z Altus. Nie mam żadnych dokładnych wiadomości na temat stanu Soni. Mogę tylko zakładać, że jest zdrowa, ale to nie znaczy, że będę umiała darzyć ją zaufaniem.

Na razie z zaskoczeniem przyznaję, że najbardziej ufam Dimitriemu.

Zaraz po przyjeździe do Londynu spisałam słowa, które znajdowały się na znalezionej przeze mnie stronicy. Dimitri i ciotka Virginia mogli więc przestudiować je przy świetle lampy w naszej bibliotece w Milthorpe Manor. Kiedy skończyli i z całą pewnością stwierdzili, że nie zapomną ani słowa, spaliłam i tę kartkę.

Od tamtego czasu staramy się rozszyfrować tajemnicze przesłanie. Odpowiedzi udaje nam się znaleźć rzadko i z trudem, ale jest jedna część, którą nareszcie rozumiem.

Bestia, dzięki Siostrze u wrót Strażniczki odparta, Obrządkiem Upadłych.

W ciszy swojej sypialni powtarzałam te słowa szeptem raz po raz, wiedząc, że są kluczem do rozwikłania niepomyślnej wiadomości. Gdy widziałam Alice w katedrze w Chartres, w jej oczach było coś mrocznego, nienazwanego.

Powiedziała: *A co najważniejsze, nie masz jednej rzeczy, której nigdy, przenigdy nie będziesz mieć.*

A ja zadałam najgłupsze w świecie pytanie: *Niby czego, Alice?*

Mnie.

Zrozumiałam to w ciemnościach nocy i ogarnęła mnie taka groza, aż usiadłam na łóżku, powtarzając wyuczone na pamięć słowa i pojmując je wreszcie.

Aby doprowadzić proroctwo do końca, potrzebne jesteśmy obydwie: Alice i ja.

Strażniczka i Brama.

Boję się pomyśleć, z czym to może się wiązać. Jak mamy współpracować, dążąc do rozwiązania przepowiedni, skoro jesteśmy po przeciwnych stronach? Na razie współpracuję więc z Dimitrim, aby rozwinąć umiejętności, którymi zostałam obdarzona. Z jego pomocą wprawiam się w rzemiośle Zaklinaczki, choć, w przeciwieństwie do mojej siostry, nie mam złych zamiarów. Nadal trenuję łucznicstwo, a korzystając ze wsparcia Dimitriego i ciotki Virginii, usiłuję odkryć sens końcowych słów proroctwa.

Przede wszystkim jednak chciałabym zamknąć swój umysł i serce przed moją siostrą. Staram się nie myśleć o naszym ostatnim spotkaniu w katedrze w Chartres. Wolę nie pamiętać widoku jej płonących oczu, rozgorączkowanych pragnieniami Duszy.

Bowiem bez względu na to, co przyniesie przyszłość, jedno wiem na pewno: Alice miała rację.

Kiedy proroctwo zostanie doprowadzone do końca, jedna z nas będzie musiała zginąć.